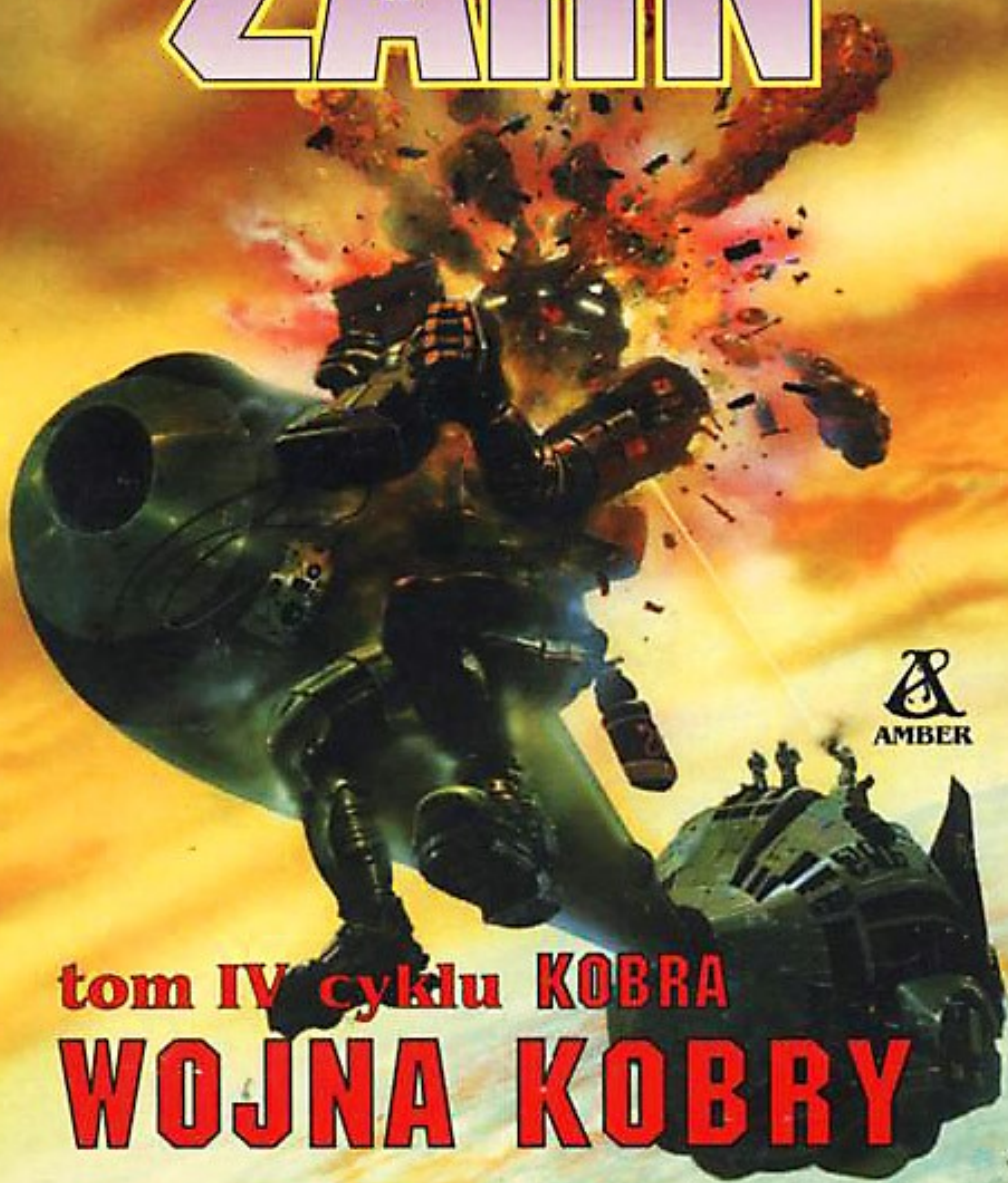


WIELKIE SERIE SF

# TIMOTHY ZAHN



  
AMBER

tom IV cyklu KOBRA

# WOJNA KOBRY

Timothy Zahn

# Wojna Kobry

*Cobra Strike*

Cykl: Kobra, tom 4

tłumaczenie: Andrzej Syrzycki

# TIMOTHY ZAHN

BY THE HUGO-WINNING AUTHOR OF  
"CASCADE POINT"  
AND COBRA!

# COBRA STRIKE



65551-5 \$3.50



# ROZDZIAŁ 1

Przez dłuższą chwilę Pyre leżał nieruchomo w hamaku i zastanawiał się, co go obudziło. Prześwietlające przez liście drzew promienie słońca uświadomiły mu, że zbliża się wieczór. Zdał sobie sprawę, że przespał cały dzień, i zrobiło mu się trochę głupio. Pomyślał, że zbudził się, ponieważ całe jego ciało wypoczęło mu się być o wiele bardziej zmęczony, niż początkowo sądził.

Zaczął właśnie wysuwać rękę ze śpiwora, kiedy nagle usłyszał czyjeś stłumione pokasywanie.

Zamarł bez ruchu, włączywszy wzmacniacze słuchu na największą czułość. Naturalne odgłosy lasu rozbrzmiały mu w uszach niczym głośny ryk... a oprócz tych dobrze znanych dźwięków usłyszał ciche głosy ludzi. Musiało ich być wielu, co najmniej dziesięciu.

"Polowanie?" — pomyślał z niejaką nadzieją. Wiedział jednak, że podczas takich wypraw rozmowom towarzyszą zazwyczaj odgłosy kroków, nie słyszał ich jednak. Od czasu do czasu ktoś przynosił tylko ciężar ciała z nogi na nogę. Nawet myśliwi, podkradający się do zwierzyny, powinni robić więcej hałasu... co znaczyło, że nieoczekiwani goście byli zapewne bardziej wędkarzami niż myśliwymi.

A w pobliżu, o ile mu było wiadomo, znajdowały się tylko dwie ryby warte tak dokładnie zaplanowanej akcji: on sam i "Dewdrop".

Niech to diabli.

Powoli, poruszając się jak najciszej, zaczął wyplątywać się z leżącego w hamaku śpiwora i otaczającej go obronnej klatki. Jeżeli go śledzili, robił błąd, ale bez względu na to, czy zauważą jego obecność, czy nie, nie miał zamiaru dać się schwytać związany niczym prosię. W pewnej chwili klatka zaskrzypiała, dźwięk ten rozbrzmiał mu w uszach niczym wybuch granatu atomowego, ale na szczęście nikt więcej tego nie usłyszał. W następnej minucie stał już na gałęzi, na której rozwiesił hamak, przyciskając mocno plecy do pnia drzewa.

Niedoszła zwierzyna gotowa była przedzierzgnąć się w myśliwego. Ciche głosy dochodziły z części lasu oddzielającej go od "Dewdrop", zaczął więc schodzić po pniu, zatrzymując się na każdej gałęzi i nasłuchując.

Nie zauważywszy żadnego Qasamanina, dotarł na ziemię, ale dobiegające coraz wyraźniej głosy, pozwoliły mu lepiej zorientować się, gdzie znajduje się obława dzięki czemu przestał się dziwić, że dali mu spokój. Wyglądało na to, że wszyscy zostali rozstawieni wzdłuż skraju lasu rosnącego najbliżej "Dewdrop" oraz że zwracali uwagę i broń tylko na statek. Organizowanie takiej akcji po prawie tygodniu od chwili lądowania musiało świadczyć o tym, że dzieje się coś złego. W tej chwili nie było ważne, czy to ktoś z grupy zwiadowczej zaważył sprawę, czy też może był to jeden z przejawów wyolbrzymiającej wszystko qasamańskiej paranoi. Liczyło się tylko...

Liczyło się to, że życie Joshuy Moreau znalazło się w niebezpieczeństwie. A jeżeli go zabili, kiedy Pyre spał, wówczas...

Kobra przygryzł mocno wewnętrzną część policzka. Uspokój się! — warknął do siebie. — Przestań i zamiast wpadać w panikę, zacznij myśleć. Fakt, że Qasamanie nie zdecydowali się jeszcze na zaatakowanie "Dewdrop", oznaczał, że widocznie nie byli do tego gotowi... a jeżeli tak, to może Joshua i inni wciąż jeszcze żyli. Qasamanie wiedzieli, że atak na grupę zwiadowczą musiał zaalarmować załogę statku, a byli zbyt sprytni, by uderzyć.

Jeżeli ani Cerenkov, ani ludzie na statku nie mieli pojęcia, co się święci, wszystko zależało teraz od Pyre'a.

Nie miał wielkiego wyboru. Jego awaryjna słuchawka była urządzeniem umożliwiającym łączność tylko w jedną stronę; nie mógł więc porozumieć się ze statkiem. Urządzenie do komunikacji laserowej było dobrze ukryte i zapewne nie wpadło w ręce Qasaman, lecz jeżeli nawet ich kordon nie znajdował się dokładnie w tamtym miejscu, to z pewnością musiał stać niedaleko. Pozabijać ich wszystkich? To byłoby zbyt ryzykowne, może nawet samobójcze, i z pewnością zmusiłoby Qasaman do natychmiastowego rozpoczęcia akcji.

Gdyby jednak Qasamanie nie widzieli się nawzajem, może udałoby się unieszkodliwić po cichu jednego albo dwóch stojących najbliżej kryjówki, nie alarmując przy tym pozostałych. Wyciągnąć szybko laser, znaleźć jakieś bezpieczne miejsce — chociażby na wierzchołku drzewa, jeżeli to będzie konieczne — i nawiązać łączność ze statkiem. Może wspólnie Uda się wymyślić jakiś sposób, żeby sprzątnąć Moffowi sprzed nosa całą grupę.

Zwracając uwagę na zeszcłe, szeleszczące przy każdym kroku liście, Pyre ruszył ostrożnie w stronę kryjówki, rozglądając się na wszystkie strony. Oceniał, że zostało mu już tylko pięć metrów, kiedy nagle w uszach zabrzmiał mu przenikliwy jazgot.

Odruchowo odskoczył w bok. Zanim jeszcze mózg zdążył zinterpretować ten dźwięk, awaryjna słuchawka odebrała silne zakłócenia. Jednym płynnym ruchem wyszarpnął ją z ucha, ale kiedy echo tego dźwięku zamierało w jego mózgu, uświadomił sobie z przerażeniem, że się spóźnił. Zakłócenia o tak dużej sile musiały oznaczać, że Qasamanie chcieli uniemożliwić ludziom wszelką łączność radiową w promieniu co najmniej kilkudziesięciu kilometrów. A to z kolei oznaczało, że postanowili rozpocząć swoją akcję... — Gifss — usłyszał nagle jakiś syk.

Znieruchomiał na widok dwóch maskujących się Qasaman. Stali zaledwie o kilka metrów przed nim. Wymierzone w niego pistolety wydały mu się większe od tych, które widywał zazwyczaj, a rozłożone do lotu skrzydła mojków świadczyły o tym, że i ptaki również mają się na baczności. Jeden z mężczyzn mruknął coś i zaczął iść powoli w stronę Pyre'a, nie przestając mierzyć w pierś Kobry.

Nie było czasu na zastanawianie się nad skutkami jakiegokolwiek akcji, ani na żadne rozmyślenia poza jednym: w jaki sposób wyjść cało z opresji, nie alarmując przy tym wroga. Było jasne, że napastnikom chodzi o to, by załoga "Dewdrop" nie dowiedziała się o ich obecności. Jeżeli więc Pyre tym samym pokrzyżuje ich plany. Jego atak musi być szybki i skuteczny.

Pyre jeszcze nigdy w życiu nie zabił człowieka. Był tego bliski owego pamiętnego dnia, dawno temu, kiedy w ciągu kilku zaledwie sekund najstraszliwszej wymiany laserowego ognia, jaką udało mu się widzieć w tamtych czasach, i kiedykolwiek potem. Jonny Moreau i jego rzekomo zmartwychwstały towarzysz zastrzelili kilka Kobr — niedoszłych kacyków Challinora. Był wtedy kilkunastoletnim chłopcem, mieszkańcem borykającej się z wieloma problemami osady, i przeżył widok tylu zmasakrowanych ciał ludzkich, że później przez długi czas nie mógł uwolnić się od koszmarów — zwłaszcza, że dzięki wcześniejszemu poparciu planów Challinora czuł się za to wszystko współodpowiedzialny. Nie chciał więc brać na swoje sumienie śmierci następnych ludzi.

Ale nie miał wyboru. Żadnego. Jego broń soniczna mogła z tej odległości ogłuszyć napastników, wiedział jednak, że nie na długo... a poza tym, zakres częstotliwości, na który byli wrażliwi ludzie, zapewne różnił się od tego, na który reagowały ich mojoki. Trzeba zaś było unieszkodliwić wszystkich naraz, zanim ktokolwiek — czy to Qasamanin, czy mojok — będzie miał czas ostrzec innych.

Zbliżający się do niego napastnik znajdował się tymczasem w odległości dwóch metrów, przepisowo nie zasłaniając celu swojemu partnerowi. Cztery szybkie mrugnięcia okiem, żeby nastawić celownik nanokomputera na właściwe cele, delikatne naciśnięcie językiem podniebienia w celu uruchomienia systemu

automatycznego naprowadzania na cel... i kiedy Qasamanin otwierał usta, żeby coś powiedzieć, Pyre strzelił.

Lasery jego małych palców rozbłysły nitkami światła, bo Pyre ruchami dłoni i nadgarstków reagował na rozkazy sterowanych przez komputer serwomotorów. Jak wszystkie odruchy Kobry, i te były niesamowicie szybkie, toteż cała akcja dobiegła końca w czasie krótszym niż mrugnięcie okiem.

To nie było zbyt trudne — pomyślał, kucając pod pnem drzewa i czekając, czy cichy odgłos padających na ziemię ciał nie zwróci czyjejś uwagi. — Właściwie było całkiem łatwe. Popatrzył na trupa, który upadł niemal tuż przed nim, i na jego głowę z wypaloną w niej laserem dziurą, częściowo zasłoniętą teraz przez leśne runo. Kiedy jednak przeniósł wzrok na mojoka, który zginął tak szybko, że wciąż jeszcze obejmował szponami gruby naramiennik, zaczął gwałtownie drzeć i musiał ze sobą walczyć, żeby nie zwymiotować.

Czekał tak przez pot minuty, aż ustąpią najgorsze skurcze mięśni i smak żółci w ustach, zanim zaczął ponownie skradać się do kryjówki. Nie mając w uchu słuchawki, której jazgot odwracałby jego uwagę, zdołał przebyć pozostałą część drogi bez żadnych przygód. Raz tylko, kiedy wyjmował urządzenie, zobaczył jakiegoś Qasamanina. Tamten jednak był odwrócony w inną stronę i Pyre zdołał ukończyć pracę, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Zagłębiwszy się bardziej w las, szedł na południe. Liczył na to, że Qasamanie nie naszpikowali swoimi oddziałami całego tego przeklętego lasu. Nawet gdyby to uczynili, zawsze mógł wspiąć się na drzewo i z jego wierzchołka spróbować nawiązać łączność ze statkiem.

Przesadna ostrożność tubylców nie sięgała jednak tak daleko. Linia kordonu kończyła się zaledwie sto metrów od kryjówki; Pyre odszedł dalsze pięćdziesiąt metrów, a później ponownie skręcił w stronę granicy lasu. Zauważył rosnący tam krzak, i pomyślał, że będzie mógł wycelować antenę laserowego nadajnika w dziób "Dewdrop" bez zwracania na siebie uwagi obserwatorów z wieży kontrolnej po drugiej stronie lotniska. Leżąc na ziemi, rozstawił urządzenie tak szybko, jak tylko umiał, i naprowadził celownik anteny na miejsce na dziobie, w którym znajdowała się większość gniazd z czujnikami. Pomodliwszy się w duchu, pstryknął przełącznikiem.

— Tu Pyre — mruknął do mikrofonu. — Odezwcijcie się, jeżeli mnie ktoś słyszy.

Nikt się jednak nie odezwał. Odczekał kilka sekund, a później nieznacznie przesunął celownik w bok i spróbował po raz drugi. Nadal żadnej odpowiedzi.

Mój Boże — pomyślał — czyżby udało się im zabić wszystkich na pokładzie? Uważnie popatrzył na kadłub, starając się dostrzec na nim ślady po kulach czy odłamkach. Może zastosowali jakiś gaz, który przedostał się na pokład, nie uszkadzając kadłuba? Czując, jak trwoga ściska go za gardło, jeszcze raz nieznacznie zmienił położenie celownika.

— ... Almo, jesteś tam? — usłyszał. — Odezwiij się, Almo! Ciało Pyre'a odprężyło się w poczuciu nagłej ulgi.

— Jestem tu, pani gubernator — odetchnął głośno. — Obawiałem się, że przydarzyło się wam coś złego.

— Ta-a, niewiele brakowało — odparła ponuro Telek.

— W jakiś sposób się zorientowali, że ich szpiegujemy, a teraz zastanawiamy się, czy chcą wziąć statek szturmem, czy też z uwagi na własne bezpieczeństwo uznają, że lepiej będzie wysadzić go w powietrze.

— Ma pani jakieś wiadomości od grupy zwiadowczej? — zapytał Pyre, zmuszając się, by jego głos nie zdradzał dręczącego go niepokoju.

— Wciąż jeszcze są w autokarze razem z Moffem i chyba na razie nic się nie stało. Ale nie wiozą ich do Sollas, a zapewne do następnego miasta. Mieliśmy nadzieję, że uda się nam skontaktować z tobą w porę i że będziesz mógł się do nich dostać, zanim oddalą się od statku.

— No i? — przynaglił ją Pyre.

Telek zawahała się.

— No cóż... Oceniamy, że autokar powinien minąć skrzyżowanie z główną drogą wiodącą do Sollas za jakieś dziesięć do piętnastu minut, ale to ponad dwadzieścia kilometrów stąd...

— Ilu Qasaman jest w środku? — przerwał jej bezceremonialnie.

— Zwyczajna sześciuosobowa eskorta — powiedziała. — Rzecz jasna, także ich mojoki. Nie wiem jednak, czy nawet gdyby udało ci się dotrzeć tam na czas, będziesz mógł uwolnić ich w taki sposób, żeby nikomu nic się nie stało.

— Coś wymyślę. Tylko nie odlatujcie, dopóki nie wrócę... albo dopóki nie stanie się jasne, że nie wrócimy wcale.

Nie czekając na odpowiedź, przerwał połączenie i zaczął wycofywać się na czworakach zza skrywającego go krzaka, w głąb zbawczego lasu. Pozostawił jednak ukryty laser, aby mógł z niego skorzystać później. Dwadzieścia kilometrów w dziesięć minut. Beznadziejna sprawa, nawet gdyby miał biec po równej drodze, zamiast przedzierać się przez leśne gąszcze... pocieszał się jednak tym, że



może Qasamanie zaplanowali to wszystko zbyt sprytnie. Sześciu strażników w zwykłym autokarze nie stanowiło skutecznej ochrony, nawet jeśli uwzględnić ich mojoki i fakt, że pilnowali tylko czterech i to nieuzbrojonych więźniów. Gdyby Pyre był na ich miejscu, postarałby się przy pierwszej okazji zamienić autokar na jakiś bezpieczniejszy pojazd... a jeżeli rozumował prawidłowo, wprost idealnym miejscem do takiej przesiadki byłoby znajdujące się na południe od nich skrzyżowanie dróg.

Jeżeli jego domysły są słuszne, cała grupa powinna spędzić tam kilka minut. Całkiem możliwe, że przesiadka zajmie tyle czasu, iż będzie mógł dotrzeć na miejsce, zanim zdążą udać się w dalszą drogę.

Tylko że wówczas będzie miał do czynienia nie tylko z szóstką strażników, ale i z całym oddziałem wojska, który sprowadzą, aby ochraniał całe przedsięwzięcie. Nic jednak nie mógł na to poradzić. Nadszedł czas, żeby Almo Pyre, Kobra, stał się wreszcie tym, kim powinien być dzięki swoim implantowanym urządzeniom. Nie myśliwym czy szpiegiem, czy nawet pogromcą aventińskich kolczastych lampartów.

Ale wojownikiem.

Zaczął biec najszybciej, jak potrafił. W gąszczu otaczających ze wszystkich stron drzew, skierował swe kroki na południe. Wszystko zależało teraz tylko od niego.

Wszystko zależało teraz tylko od niego. York głęboko odetchnął i zaczął stosować dobrze znanemu komandosowi techniki odprężania mięśni i uspokajania nerwów, żeby lepiej przygotować się do akcji. Na tle ciemniejącego nieba dostrzegł nieco z przodu, po prawej stronie zarysy pierwszych budynków Sollas, a ze zdjęć lotniczych pamiętał, że wkrótce droga skręci i zaczną oddalać się od miasta. Nadszedł więc czas, by rozpocząć akcję... i przekonać się, jak groźne potrafią być naprawdę te mojoki.

Wieczne pióro i pierścień miał jak zwykle przygotowane w lewej dłoni. Zdjąwszy zegarek z kalkulatorem z lewego przegubu, umieścił pióro w specjalnym otworze w opasce, a potem sprawdził, czy styki są dokładnie połączone. Wsunął pierścień we właściwe miejsce na oprawce pióra i po chwili podręczny pomocnik komandosa był gotów. Uzbrojenie urządzenia wymagało tylko wystukania trzech cyfr na klawiaturze kalkulatora.

Owinąwszy pasek zegarka wokół paków prawej dłoni, niedbałym ruchem umieścił przedramię na oparciu znajdującego się przed nim fotela. Kilka kilometrów wcześniej Moff powierzył pilnowanie więźniów jednemu ze swoich ludzi, a

ten wpatrywał się teraz w Rynstadta i Joshuę. Masz tylko jeden strzał — powtórzył York w myślach, a potem wymierzył pióro w strażnika i nacisnął spust

Qasamanin szarpnął się, kiedy mikroskopijna strzałka wbiła mu się głęboko w policzek, a pistolet w jego dłoni zatoczył szeroki łuk, jak gdyby wypatrując celu. Odruch ten okazał się daremny; jego oczy zaczynały już tracić blask pod wpływem mieszaniny bardzo silnych środków paraliżujących, York przesunął nieco pióro, kierując je w mojoka znajdującego się na ramieniu umierającego Qasamanina, i po chwili druga strzałka trafiła do celu tak samo pewnie jak pierwsza... ale kiedy chciał wycelować w mojoka na ramieniu Moffa, w autokarze rozpętało się prawdziwe piekło.

Były to niesamowicie mądre ptaki. Martwy Qasamanin nie zdążył osunąć się na podłogę, a pięć pozostałych mojoków poderwało się do lotu, pikując na Yorka niczym srebrzysto-niebieskie Furie. Zdołał wystrzelić jeszcze dwukrotnie, ale nie trafił ani razu. Ptaszyska dopadły go, wpiły się szponami w prawą rękę i twarz i przyciskały go do siedzenia. Przez mgłę paniki ogarniającej jego umysł słyszał pełen przerażenia głos Rynstadta i niezrozumiałe krzyki Qasaman. Ptaki oślepiały go, tłukąc skrzydłami po twarzy, lecz nie musiał patrzeć, by wiedzieć, że rozrywają mu prawe przedramię i rozszarpują dłoń, by dobrać się szponami i dziobami do pomocnika komandosa. Urządzenie było wciąż owinięte wokół dłoni, chociaż York od dawna przestał myśleć o jego ochronie. Cała prawa ręka paliła go żywym ogniem, szturmując mózg falami piekącego bólu... i nagle z łopotem skrzydeł ptaki odleciały. Skrzeczały tylko na niego, siedząc na oparciach sąsiednich foteli i ramionach swoich panów, ale kiedy popatrzył na to, co zrobiły z jego ręką...

Emocjonalny wstrząs połączył się z fizycznym bólem... i Decker York, który podczas służby na pięciu innych światach widywał wielu zabitych i rannych, pogrzyżył się w azylu omdlenia niczym kamień ciśnięty w głębię nieświadomości

Zanim ogarnęła go ciemność, pomyślał, że chyba już nigdy się nie obudzi.

— Och, mój Boże — szepnął Christopher. — Mój Boże.

Telek przygryzła mocno kostki palców prawej dłoni, którą trzymała przy ustach zaciśniętą w pięść. Ręka Yorka... Bardzo chciała odwrócić wzrok od ekranu, ale nie pozwalał jej na to jakiś wewnętrzny nakaz, podobnie jak Joshui. Przypomniało jej to szaleńczą, przeprowadzaną na ślepo sekcję ręki Yorka... z rym jednak, że pacjent wciąż żył. Na razie.

Stojący obok niej Nnamdi zakrztusił się i wybiegł z pomieszczenia. Prawie tego nie zauważyła.

Wydawało się, że trwało to całą wieczność, ale musiało upłynąć najwyżej kilka sekund, zanim Rynstadt znalazł się obok Yorka z niewielkim plastikowym pojemnikiem z gojącą pianką, który trzymał w trzęsącej się dłoni. Zaczął nerwowo spryskiwać jego rękę, ale zanim opróżnił pojemnik, Cerenkov zdołał ocknąć się z paraliżującego go strachu i doskoczył, wyjmując własny. Udało im się powstrzymać upływ krwi z najobficiej krwawiących ran.

Przez cały ten czas Joshua nawet nie drgnął.

Przeraził się nie na żarty — pomyślała Telek. — Dla takiego dzieciaka musiał to być okropny widok.

— Pani gubernator? — odezwał się w interkomie głos F'ahla, tak głośno, że aż podskoczyła. — Czy przeżyje?

Zawahała się. Co prawda krwotok został powstrzymany, ale znała się na tym zbyt dobrze, aby mieć jakiegokolwiek złudzenia.

— Nie ma na to najmniejszych szans — odezwała się do F'ahla bardzo cicho. — Przed upływem godziny powinien znaleźć się w sali operacyjnej na pokładzie "Dewdrop".

— A Almo...?

— Tylko on mógłby przynieść go tutaj, zanim nie będzie za późno. Nie może jednak tego zrobić. Jeżeli tylko spróbuje, sam straci życie.

Słowa te paliły jej usta, chociaż wiedziała, że to prawda. Qasamanie i ich ptaki nie byli już tak łatwowierni, i Pyre nie zdoła zbliżyć się do autokaru nawet na odległość dziesięciu metrów. Obawiała się, że mimo to będzie próbował, a wtedy...

Nie było jednak innego wyjścia.

— Kapitanie, proszę przygotować "Dewdrop" do startu — powiedziała, odrywawszy w końcu wzrok od ekranu, by spojrzeć na Justina leżącego na tapczanie. Miał mocno zaciśnięte pięści i jeżeli nawet zdawał sobie sprawę z tego, że właśnie skazała na śmierć jego brata, nie dał tego po sobie poznać.

— Zanim wystartujemy, trzeba zniszczyć jak najwięcej granatników oraz innego uzbrojenia na szczycie wieży i na skraju lasu a także mieć nadzieję, że "Dewdrop" da sobie radę z resztą.

— Rozumiem, pani gubernator.

Telek zwróciła się w stronę drzwi pomieszczenia, przy których stali z ponurymi minami Winward i Link.

— Nie uda się nam zabrać wszystkich — odezwała się bardzo cicho.

— Doszedłem do tego samego wniosku — burknął Winward. — Kiedy mamy wyjść?

Przygotowania statku do startu powinny zająć co najmniej dziesięć minut.

— Za jakiś kwadrans — powiedziała. Winward kiwnął głową.

— Będziemy gotowi — odrzekł.

On i drugi Kobra odwrócili się i opuścili pomieszczenie.

— Pakiety ratunkowe z pełnym wyposażeniem! — krzyknęła w ślad za nimi Telek.

— Jasne — dobiegła z korytarza ich odpowiedź.

Nie oszukała nikogo i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Nawet jeżeli obaj przeżyją strzelaninę, nie było najmniejszej szansy, żeby "Dewdrop" mogła po nich wrócić i wziąć na pokład. Zakładając, rzecz jasna, że i statek nie zostanie trafiony podczas walki.

No cóż, przekonają się o tym za pół godziny albo nawet wcześniej. Zanim to jednak nastąpi...

Zanim nastąpi, będzie mnóstwo czasu na obserwowanie, jak Pyre umiera, próbując uwolnić swoich towarzyszy.

Ponieważ był to jej obowiązek, Telek skierowała ponownie wzrok na monitory. W ustach pozostała jej gorycz klęski i poczuła się bardzo, bardzo stara.

## ROZDZIAŁ 2

Joshua czuł, jak mocno bijące serce podchodzi mu do gardła, a w oczach kręcącą się łązy współczucia dla kolegi. Obraz zmasakrowanego ramienia Yorka, niewidocznego teraz pod białą skorupą piany tamującej upływ krwi i gojącej rany, utkwił mu w pamięci tak mocno, jak gdyby miał w niej pozostać na zawsze. Och, Boże, Decker — poruszył bezgłośnie ustami. — Decker! — on sam nie zrobił nic, by mu pomóc. Ani podczas nieudanej próby ucieczki, ani potem. Rynstadt i Cerenkov pospieszyli z pomocą, wyciągając podręczne zestawy medyczne, a on bojąc się przeraźliwie Qasaman i mojków nie kiwnął nawet palcem. Gdyby to zależało od niego, York wykrwawiłby się na śmierć.

Ludzie spodziewają się po nas nadzwyczajnych czynów — pomyślał. Czuł się jak małe dziecko. Jak tchórzliwe dziecko.

— Musimy zabrać go na pokład — mruknął Cerenkov i uniósł poplamioną krwią dłoń, aby otrzeć sobie policzek. — Potrzebne będą transfuzje i Bóg wie, co jeszcze.

Rynstadt mruknął coś w odpowiedzi, ale tak cicho, że Joshua go nie usłyszał. Oderwawszy wzrok od ręki Yorka, popatrzył na przód autokaru i ujrzał obserwującego ich Moffa z pistoletem skierowanym w ich stronę. Joshua machinalnie zauważył, że autokar przyspieszył, a przez przednią szybę zobaczył skupisko słabych, oddalonych świateł. Jakaś nie otoczona murem wioska czy też może strzeżone skrzyżowanie?

Po namyśle doszedł do wniosku, że to drugie. Mimo zapadającego mroku udało mu się dojrzeć zarysy połowy tuzina pojazdów stojących obok niskiego, przypominającego szopę domu.

A obok nich dziesiątki kręcących się Qasaman.

Ich autokar zatrzymał się obok. Zaledwie zdążył stanąć, kiedy drzwi otworzyły się i do środka wpadł barczysty Qasamanin. Zamienił z Moffem kilka chrapliwie brzmiących, szybko wypowiedzianych zdań i popatrzył podejrzliwie na Aventinian.

— Bachuts! — rozkazał i zrobił wymowny gest w stronę otwartych drzwi autokaru.

— Yuri? — mruknął Rynstadt.

— Oczywiście — odparł z goryczą Cerenkov. — A mamy jakieś inne wyjście?

Pozostawiwszy Yorka na swoim miejscu, obaj precyzyjnie się obok przybyła i wyszli z pojazdu. Joshua zrobił to samo, chociaż czuł palącą go coraz silniej złość.

Na zewnątrz czekało już czterech uzbrojonych po zęby mężczyzn, stojących półkolem przed drzwiami autokaru. Towarzyszył im pomarszczony starzec. Joshua zwrócił uwagę na jego przygarbione plecy i resztki siwych włosów rosnących po bokach łysiejącej głowy. Jego spojrzenie było jednak zdumiewająco przenikliwe — wręcz przerażająco przenikliwe — i to właśnie on odezwał się do trójki więźniów.

— Jesteście oskarżeni o szpiegowanie Qasamy — powiedział. Mimo wyraźnie brzmiącego obcego akcentu, można było zrozumieć go bez trudu. — Wasz towarzysz o nazwisku York jest ponadto oskarżony o zabicie Qasamanina i jego mojoka. Jakiegokolwiek następne próby stosowania przemocy zostaną ukarane natychmiastową śmiercią. Udacie się teraz pod eskortą do miejsca, gdzie zostaniecie przesłuchani.

— A co z naszym przyjacielem? — zapytał go Cerenkov, ruchem głowy wskazując wnętrze autokaru. — Musi zostać zbadany przez lekarza i poddany natychmiastowej operacji.

Starzec powiedział coś do mężczyzny wyglądającego na dowódcę ich nowej eskorty, a tamten odpowiedział mu równie szybko.

— Zostanie poddany leczeniu na miejscu — zwrócił się starzec do Cerenkova. — Jeżeli umrze, poniesie tym samym zasłużoną karę za swoje przewinienie. Wy udacie się teraz z nami.

Joshua nabrał głęboko powietrza w płuca.

— Nie — odezwał się bardzo stanowczo. — Musimy zabrać naszego przyjaciela na pokład statku. I to zaraz. W przeciwnym razie wszyscy zginiemy, nie udzieliwszy odpowiedzi na żadne z waszych pytań.

Starzec przetłumaczył te słowa, a czoło dowódcy zmarszczyło się, kiedy udzielał odpowiedzi.

— W waszym położeniu nie możecie stawiać warunków — warknął starzec.

— Mylisz się — odparł Joshua tak spokojnie, jak tylko potrafił, chociaż obraz zmasakrowanej ręki Yorka mieszał mu się z widokiem rozmawiających z nim Qasaman. Gdyby domyślili się, że blefuje... Lecz nawet kiedy unosił zaciśniętą w

pięć lewą rękę, wiedział, że jest tylko zwyczajnym tchórzem. Na myśl o tym, że mogłoby przydarzyć mu się coś podobnego jak Yorkowi, czuł, jak żołądek zaczyna podchodzić mu do gardła... nie miał jednak innego wyjścia. — To urządzenie na moim nadgarstku jest bombą, umożliwiającą mi autodestrukcję — powiedział starcowi. — Jeżeli rozewrę palce, uprzednio go nie wyłączysz, zostanę rozerwany na strzępy. A wraz ze mną wszyscy pozostali. Oddam wam to urządzenie tylko wówczas, kiedy pozwolicie mi osobiście zanieść Yorka na pokład statku.

Po przetłumaczeniu jego słów zapadła krótką, pełną napięcia cisza.

— Wciąż uważasz nas za głupców — odezwał się dowódca, a starzec przetłumaczył jego słowa. — Dostaniesz się na pokład i nie wrócisz.

Joshua pokręcił lekko głową.

— Nie — odpowiedział. — Na pewno wrócę.

Dowódca splunął pogardliwie, ale zanim miał czas odpowiedzieć, podszedł do niego Moff i zaczął mu coś szeptać do ucha. W pewnej chwili dowódca zmarszczył brwi, ale później zacisnąwszy usta, kiwnął głową. Potem odwrócił się do jednego ze swoich ludzi i wydał mu rozkaz. Qasamanin natychmiast zniknął w ciemności, a Moff odwrócił się do starca i zaczął coś tłumaczyć, ale tak cicho, że i tym razem Joshua nie zdołał nic usłyszeć. Tamten tylko kiwnął głową i zwrócił się do Joshuy.

— Jako gest naszej dobrej woli, Moff wyraził zgodę na spełnienie twojego życzenia, ale pod jednym warunkiem: do czasu powrotu będziesz miał zawieszony na szyi ładunek wybuchowy. Jeżeli pozostaniesz na statku przez czas dłuższy niż trzy minuty, wywołamy eksplozję.

Joshua poczuł, jak coś ściska go za gardło i w ciągu kilku następnych chwil myśli o zdradzie i podstępie mieszały się w jego głowie niczym mętna ciecz, z prześwitującym przez nią promykiem nadziei. Z pewnością istniało wiele innych, o wiele łatwiejszych sposobów, by go zabić... ale jeżeli chcieli być pewni, że "Dewdrop" już nigdy nie wystartuje, nie było prostszego sposobu przemycenia ładunku wybuchowego na pokład. Taki sposób pozbawiał ich jednak szansy zapoznania się z napędem gwiazdowym... ale może nie zależało im na tym aż tak bardzo... z drugiej strony, jeżeli nie podejmie ryzyka, York z pewnością umrze... ale jaki mógł być prawdziwy powód tego gestu dobrej woli, skoro i tak mieli w rękach wszystkie karty...?

Odwrócił się do Cerenkova i Rynstadta, którzy także czekali w napięciu.

— Co mam zrobić? — zapytał szeptem, nadal bijąc się z myślami.

Cerenkov lekko wzruszył ramionami.

— To twoje życie i ty ryzykujesz — powiedział. — Musisz sam podjąć decyzję.

Jego życie... Nagle zdał sobie sprawę z tego, że wcale nie chodzi tylko o to. Gdyby pozostał z nimi, żaden nie miałby szansy ocalenia... Cerenkov i Rynstadt wspólnie z Justinem może będą mieli taką szansę.

Od tego, co postanowi, będzie zależało życie ich wszystkich. Plan Corwina — główny powód, dla którego obaj bracia Moreau znaleźli się na pokładzie statku — i wszystko inne było teraz w jego trzęsących się ze zdenerwowania rękach.

— Zgadzam się — powiedział w końcu do starca. — Przystaję na wasze warunki.

Starzec przetłumaczył jego słowa, a dowódca zaczął wydawać rozkazy swoim ludziom.

Kilka następnych minut minęło bardzo szybko. Cerenkova i Rynstadta zabrano do innego, wyraźnie opancerzonego autokaru, który po chwili zniknął w mroku, jadąc dalej tą samą, wiodącą na południowy zachód drogą. Nieprzytomnego wciąż Yorka przeniesiono na noszach do drugiego, również opancerzonego pojazdu. Wkrótce po nim znaleźli się tam Joshua i Moff, do których dołączył także tłumacz. Kiedy pojazd skręcił na północ, kierując się w stronę Sollas i "Dewdrop", jeden z eskortujących ich Qasaman ostrożnie zapiął na szyi Joshuy taśmę z ładunkiem wybuchowym.

Urządzenie wyglądało bardzo niewinnie, składało się z dwóch pękatych cylindrów, umieszczonych po obu stronach szyi i złączonych za pomocą elastycznej, ale sprawiającej wrażenie bardzo wytrzymałej, plastikowej taśmy o szerokości trzech centymetrów i grubości kilku milimetrów. Joshua pomyślał, że utrudnia mu oddychanie... ale może tak mu się tylko wydawało. Przesuwając od czasu do czasu językiem po wargach, starał się zbyt często nie przełykać śliny, a potem zmusił się do myślenia o Yorku i jego szansach przeżycia.

Jazda trwała zdumiewająco krótko.

Autokar zatrzymał się o jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt metrów od głównej śluzy "Dewdrop". Dwaj Qasamanie wyciągnęli składany stolik na kółkach, rozstawili go, umieścili na nim wciąż leżącego na noszach Yorka, a potem wrócili do pojazdu. Moff gestem nakazał Joshui, by przystanął, a następnie wyjął niewielkie pudełko i po kolei zbliżył je do obu cylindrów na szyi młodego Aventinianina. Joshua usłyszał dobiegające z ich środka dwa ciche trzaski i wyczuł wytwarzane przez nie lekkie drżenie.



— Masz tylko trzy minuty, nie zapomnij — odezwał się Moff znośnym angielskim, patrząc młodzieńcowi prosto w oczy.

— Wróć — obiecał Joshua.

Wydawało mu się, że droga do śluzy statku trwa całą wieczność. Chciał znaleźć się tam jak najszybciej, ale musiał bardzo uważać na leżącego Yorka. Zdecydował się w końcu na niezbyt szybki trucht, modląc się przez całą drogę, żeby ktoś obserwował, co się dzieje, i otworzył właz, kiedy będzie blisko... i żeby zdążył opowiedzieć wszystko jak najszybciej... i żeby było można przełożyć naszyjnik przed upływem wyznaczonych mu trzech minut...

Zostały mu już tylko dwa kroki, kiedy śluza się otworzyła. Ze środka wyszedł szybko jeden z członków załogi i uchwycił za przeciwległe końce drążków noszy. Po kilku następnych sekundach znaleźli się w komorze śluzy, gdzie czekali już na nich Christopher, Winward i Link.

— Usiądź — odezwał się Christopher, kiedy ktoś wyrwał z rąk Joshuy parę drążków.

Kolana Joshuy nie potrzebowały zachęty i opadł na wskazane mu krzesło jak wór piachu.

— Ta rzecz na mojej szyi... — zaczął.

— ...to bomba — dokończył za niego Christopher. Mówiąc to, wodził miniaturowym czujnikiem po taśmie naszyjnika, a na czole pojawiły mu się drobne krople potu.

— Wszystko wiemy. Nie udało im się zakłócić twoich sygnałów. Siedź teraz spokojnie, a my zobaczymy, czy uda się nam ściągnąć to draństwo, tak by nie uruchomić tego piekielnego zapalnika.

Joshua zgrzytnął zębami i zamilkł, a kiedy siedział nieruchomo, do komory wszedł Justin, ubrany tylko w bieliznę. Bliźniacy przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy... widok twarzy Justina sprawił, że połowa ciężaru przygniatającego barki Joshuy uleciała tak nagle, jakby nigdy jej tam nie było. Nie czuli się jeszcze bezpieczni — nie mogło być o tym nawet mowy — ale zadowolenie w oczach Justina powiedziało mu wymowniej niż jakiegokolwiek słowa, że spisał się na medal, podejmując decyzję mogącą dać im wszystkim chociaż niewielką szansę.

Justin był z niego bardzo dumny, a to liczyło się w tej chwili najbardziej.

Chwila radości szybko minęła, a Justin, klękawszy obok brata, zajął się zdejmowaniem jego butów. Joshua w tym czasie odpiął pas i zsunął spodnie, a kiedy zaczynał rozpinać bluzę, usłyszał, jak Christopher cicho chrząknął.

— No dobra, jesteśmy w domu — powiedział. — Bocznik trzeba założyć tutaj i tutaj. Dorjay?

Joshua poczuł, jak między szyję i opaskę wsunięto mu coś zimnego.

— Nie ruszaj się — mruknął stojący teraz za nim Link. Usłyszał cichy trzask termoutwardzalnego plastiku... nagle ucisk na szyi zelżał i Winward zdjął mu rozłączoną opaskę przez głowę. — Znikaj z krzesła — polecił mu zwięźle. — Justin?

Na miejscu zwolnionym przez Joshuę usiadł teraz jego brat, a Winward nasał mu ostrożnie opaskę na szyję.

— Jak z czasem? — zapytał Christopher, kiedy on i Kobry dociskali jej oba końce i rozpoczęli uciążliwą pracę mającą na celu przywrócenie przerwane połączenia.

— Dziewięćdziesiąt sekund — odezwał się głos F'ahla z interkomu. — Jeszcze macie dużo.

— Jasne — burknął Link, ciężko oddychając. — Popracuj tak jak my i wtedy nam to powiedz. Uważaj, Michael.

Joshua zdjął bluzę i zegarek i z mocno bijącym sercem przyglądał się temu, co robią Christopher, Winward i Link. Gdyby nie udało im się zakończyć roboty, zanim...

— W porządku — oznajmił nagle Christopher. — Wygląda jak nowy. Jeszcze tylko usuniemy ten bocznik...

Odłączył przewody, a cylindry pozostały na swoim miejscu. Justin bardzo powoli wstał z krzesła i wyciągnął rękę po bluzę, a kiedy Christopher wysunął spod opaski zabezpieczającą płytkę, był już prawie zupełnie ubrany.

— Nie wiem, dokąd mogli zabrać Yuriego i Marcka — odezwał się Joshua, kiedy Justin zapinał na swoim przegubie jego zegarek.

— Ja wiem — odrzekł Justin i kiwnął głową. — Byłem przecież tobą, nie pamiętasz?

— Ta-a. Chodziło mi tylko... uważaj na siebie, dobrze?

Justin uśmiechnął się z przymusem.

— Nic mi się nie stanie, Joshua, możesz się nie martwić. Szczęście rodu Moreau nie opuściło mnie.

Kiedy już wyszedł przez otwór śluzy, Joshua w pełni zrozumiał znaczenie tego, co się stało, i uświadamiając sobie, że ma nogi jak z waty, z powrotem opadł

na krzesło. Szczęście rodu Moreau — pomyślał. — Świetne. Po prostu znakomite. Najgorszy z tego wszystkiego był fakt, że Justin naprawdę wierzył w swoją niczym nie uzasadnioną nietykalność. Wierzył w nią, kierował się nią w tym, co robił... a kiedy Joshua siedział beczynn timer, ciesząc się względnym bezpieczeństwem "Dewdrop", jego brat mógł bardzo łatwo przypłacić życiem swoje naiwne przekonania.

— Niech będą przeklęci — syknął, nie zwracając się właściwie do nikogo poza wszechświatem... i Moff, i Qasamanie, i Rada Światów Kobr, która go tu wysłała, i nawet jego brat Corwin, który to wszystko wymyślił. — Niech ich porwą wszyscy diabli.

Poczuł nagle na ramieniu czyjąś dłoń. Spoglądając w górę i czując, jak do oczu zaczynają mu napływać łzy, zobaczył pochylającego się nad nim Linka.

— Kapitan F'ahl i gubernator Telek będą chcieli zapoznać się z twoją analizą obecnej sytuacji — oznajmił.

Z pewnością będą chcieli — pomyślał z goryczą. Jedynym powodem, dla którego chcą mieć taką informację, była prawdopodobnie chęć odwrócenia jego uwagi od tego, co dzieje się teraz z jego bratem. Kiwnął jednak machinalnie głową i wstał z krzesła. Czuł się zbyt zmęczony, by się sprzeczać, a poza tym może naprawdę powinien zająć umysł innymi problemami.

Po drodze przepuścił Linka przodem i wpadł na chwilę do kabiny, by się ubrać. Kiedy w końcu znalazł się w świetlicy, ale dostrzegł nigdzie Yorka, ale za nim jeszcze miał czas zapytać, jego najgorsze obawy rozproszyła Telek.

— Stan Yorka się nie pogarsza, przynajmniej na razie — powiedziała, spoglądając przelotnie na niego, a potem przenosząc wzrok znów na ekran ukazujący to, co się działo na zewnątrz statku. — Podłączyliśmy go już do monitorów i podajemy teraz dożylnie wszystkie niezbędne leki; staramy się utrzymać go w takim stanie do momentu, aż podejmiemy decyzję, co zrobić z jego ręką.

Oznaczało to: w którym miejscu będziemy musieli ją amputować. Odsunąwszy od siebie tę myśl, Joshua zbliżył się do stołu, stanął za plecami Telek i popatrzył ponad jej głową na ekran. Moff i Justin wsiadali właśnie do opancerzonego autokaru. Joshua zauważył z niejaką ulgą, że z szyi jego brata zdjęto wybuchową opaskę, podobnie jak i "autodestrukcyjny" zegarek, za pomocą którego udało mu się wywieść Qasaman w pole.

— Co zamierza teraz zrobić? — zapytał Telek. — To znaczy, daliście mu jakiś plan działania, prawda?

— Taki, jaki w tych warunkach udało nam się opracować — burknął Winward, siedzący przed innym monitorem. — Zakładamy, że zabiorą go w to samo miejsce, do którego zawieźli przedtem Yuri'ego i Marcka. Kiedy już znajdzie się w środku... no cóż, mamy nadzieję, że Almo ich śledził, kiedy kierowali się na południowy zachód. Mając Kobrę między sobą i na zewnątrz, powinni dać sobie radę z każdym więzieniem, do jakiego mogli zawieźć ich Qasamanie.

— Almo miał nas śledzić?

— Zamierzał próbować. Gdyby nie udało mu się dotrzeć do skrzyżowania w porę...

Zawiesił głos i lekko wzruszył ramionami.

— Spodziewamy się, że będzie podążał za nimi tak długo, aż ich dogoni. To jedyne logiczne wyjście, jakie mu pozostaje.

Podążać za nimi... nie będzie jednak wiedział, że Moff planował wysłanie w pewnym odstępie czasu dwóch autokarów. Joshua wzdrygnął się na myśl o tym, że Almo mógł szamotać się teraz między dwoma pojazdami pełnymi uzbrojonych Qasaman i ich mojków. Trwające nadal zakłócenia uniemożliwiały ostrzeżenie Pyre'a, że może zostać wzięty w kleszcze.

Telek pochyliła się na krzesło, wypuszczając powietrze z cichym sykiem.

— No cóż, panowie — powiedziała. — Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, żeby ratować Marcka i Yuriego. Teraz należałoby się zastanowić, w jaki sposób unieszkodliwić granatniki i inny sprzęt wojskowy wokół "Dewdrop", tak by mieli dokąd powrócić, jeżeli będą mogli. Zajmijmy się więc tym problemem, dobrze?

Obok kryjówki Pyre'a przemknął szybko opancerzony autokar. Choć w małych oknach nie było widać żadnego światła, wzmacniacze wzroku pozwoliły mu zidentyfikować siedzące w nim dwie osoby. Jedną był bez wątpienia Moff, a drugą zapewne ten sam kierowca, który prowadził wcześniej w stronę Sollas pojazd, wioząc Joshuę i prawdopodobnie ciężko rannego Deckera Yorka. Wracał teraz, jadąc tą samą drogą, którą przed pół godziną odwieziono Cerenkova i Rynstadta. Najważniejszym pytaniem było jednak: kto znajdował się w środku autokaru?

Pyre potarł ręką czoło, rozmazując brud i krople potu. York, Joshua i Moff pojechali w stronę Sollas. Moff, najprawdopodobniej sam, wraca niedługo potem. Czyżby zdecydowali się na rozdzielenie grupy, zabierając Rynstadta i Cerenkova aa południe i starając się uwięzić Joshuę i Yorka gdzieś w Sollas? To było możliwe, ale w myśl zasady, iż zwykle starano się trzymać więźniów jak najdalej od

"Dewdrop", mało prawdopodobne. Czy zabrali Yorka do szpitala, żeby leczyć prawdopodobnie bardzo groźną ranę ręki? Jeśli tak, dlaczego zawieźli tam i Joshuę?

Warkot silnika autokaru cichnął coraz bardziej. Jeżeli Pyre miał za nimi podążać, powinien zdecydować się jak najszybciej.

Kiedy po raz pierwszy puścił się szaleńczym biegiem przez las po to, by ratować towarzyszy, nie miał najmniejszych wątpliwości, że postępuje słusznie. Dużo o tym myślał... i chociaż z ogromnym bólem przychodziło mu przyznanie się do tego nawet przed samym sobą, wiedział, że jest jeszcze coś ważniejszego.

Jeżeli rozpatrywać problem z czysto militarnego punktu widzenia, członkowie grupy zwiadowczej nie byli najważniejsi. Można nawet pozwolić, by zginęli. O wiele ważniejsze jest bezpieczeństwo "Dewdrop" ze wszystkimi zebranymi dotychczas danymi na temat Qasamy.

"Dewdrop" musiała być zatem wolna, a trzy czwarte wszystkich Kobr znajdowało się wciąż na pokładzie.

Warkot autokaru ucichł gdzieś na południowy zachód od miejsca, w którym stał. Nastawiwszy wzmacniacze wzroku na największą czułość, Pyre zaczął okrążyć skrzyżowanie dróg ze wszystkimi stojącymi tam pojazdami i Qasamanami. Przez kilka następnych kilometrów mógł pozostawać pod osłoną lasu, ale jeżeli zamierza zaskoczyć obsługę dział umieszczonych na szczycie wieży kontrolnej zanim znajdzie się na lotnisku, będzie musiał przedostać się w obręb miasta. Grupa zwiadowcza rzadko przebywała po zapadnięciu zmroku na ulicach Sollas, a już na pewno nie na jego obrzeżach, i Pyre nie miał pojęcia, na ilu Qasaman może się natknąć, zanim uda mu się przedostać do centrum miasta. Gdyby tak udało mu się ukraść ubranie jakiegoś tubylca, nie umiał jednak wymówić po qasamańsku ani słowa, a nawet gdyby umiał, natychmiast rozpoznano by go po tym, że nie ma mojoka.

Ocecił, że zostawił za sobą skrzyżowanie tak daleko, iż może pozwolić sobie na niewielki hałas. Zwracając uwagę i na Qasaman, i na leśne drapieżniki, zaczął biec coraz szybciej. Cokolwiek miał zrobić, byłoby lepiej, gdyby na natchnienie nie musiał czekać zbyt długo. Za pięć, najwyżej za dziesięć minut, Sollas miało gościć u siebie pierwszego Kobrę.

## ROZDZIAŁ 3

Implantowane czujniki Joshuy miały reputację najlepszych, jakie istniały w Światach Kobr, a jednak Justin, siedząc w podskakującym na wybojach autokarze naprzeciwko człowieka, którego "widział" prawie bez przerwy od tygodnia, uświadomił sobie z niemiłym wstrząsem, jak bardzo upośledzona była jego znajomość realiów Qasamy. Wszystko było mu znane i zarazem nie znane: tkanina siedzenia, na którym spoczywały teraz jego dłonie, wyboista droga, wstrząsy, które odczuwał całym ciałem, a ponad wszystko ostre, egzotyczne zapachy, jakie ze wszystkich stron drażniły jego powonienie — czuł się tak, jak gdyby wstąpił na płaszczyznę obraza i stwierdził, że pokazywany tam świat istnieje rzeczywiście.

Wszystko to sprawiło, że był zdenerwowany. Miał w sposób niewykrywalny zastąpić brata, a czuł się jak nowicjusz. Wystarczyło tylko, żeby Moff powziął jakieś podejrzenia, a zabiorą go o setki kilometrów od Cerenkova i Rynstadta i będą badali tak długo, dopóki nie dowiedzą się prawdy.

Kiedy nie jesteś pewien skuteczności swojej obrony, przejdź do ataku — pomyślał.

— Muszę przyznać, Moff — powiedział — że twoi ludzie mają zdumiewającą zdolność uczenia się języków obcych. Od jak dawna umiesz mówić po angielsku?

Spojrzenie Moffa powędrowało ku starcowi, który siedział o dwa fotele dalej, a ten wyrzucił z siebie potok szybkiej, qasamańskiej mowy. Moff odpowiedział mu w podobny sposób, a sędziwy tłumacz zwrócił się w stronę Justina.

— To my zadajemy pytania — odrzekł. — Ty masz obowiązek tylko odpowiadać.

Justin zachnął się.

— Daj spokój, Moff. To przecież żadna tajemnica. Twój człowiek mówi naszym językiem nie gorzej ode mnie. Poza tym i ty powiedziałaś coś zaraz po uruchomieniu tej drobnej polisy ubezpieczeniowej na mojej szyi, więc daj spokój i powiedz, w jaki sposób uczycie się naszej mowy w takim tempie?

Kiedy mówił, kątem oka spoglądał na starca, starając się zorientować, czy nie będzie miał jakichś kłopotów ze słownictwem lub gramatyką. Stwierdził jednak, że nawet gdyby tak było, po jego twarzy nie można tego poznać. Moff patrzył na Justina jeszcze przez chwilę potem, kiedy starzec zakończył tłumaczyć jego słowa, a później powiedział coś z namysłem i z takim wyrazem twarzy, że Justin jeszcze zanim usłyszał, jak starzec przetłumaczył jego słowa, poczuł przechodzące mu po plecach ciarki.

— Wygląda na to, że odzyskałeś sporą część odwagi — oznajmił. — Ci na statku musieli powiedzieć ci coś, co podniosło cię na duchu. Co to było?

— Przypomnieli mi, jak zareagują zwierzchnicy waszej planety, kiedy się dowiedzą, jak potraktowałeś przedstawicieli pokojowej misji dyplomatycznej — odciął się Justin.

— Ach, tak? — zapytał Moff, a starzec przetłumaczył jego słowa. — Możliwe. Już wkrótce się przekonamy, czy i to nie jest jednym z twoich kłamstw. Stanie się tak, kiedy dotrzemy do Purmy, a może nawet jeszcze wcześniej.

— Podejrzenie mnie o mówienie nieprawdy uważam za obelgę — rzekł Justin.

— Możesz się obrażać, jeśli chcesz. I tak dowiemy się wszystkiego, kiedy tylko zbadamy cylindry, które zawiesiliśmy ci na szyi. Justin poczuł, jak nagle zaschło mu w gardle.

— Co to znaczy? — zapytał, modląc się w duchu, by straszliwe podejrzenie, które mu przyszło do głowy, okazało się bezzasadne.

Niestety, stało się inaczej.

— W cylindrach umieściliśmy kamery i urządzenie rejestrujące dźwięk — odezwał się tłumacz. — Chcieliśmy w ten sposób uzyskać chociaż przybliżone dane na temat sytuacji panującej na waszym statku i liczebności jego załogi.

A smacznym, dodatkowym, darmowym kąskiem, będzie zapis nieoczekiwanej zamiany bliźniaków Moreau. Kiedy to zobaczą...

— I tak niewiele ci z tego przyjdzie — powiedział, starając się włożyć w swoje słowa tyle pogardy, na ile było go stać w tej chwili. — Nie kłamaliśmy ani w sprawie liczby członków załogi, ani niczego innego o naszym stadni. Czego się spodziewałeś — setek uzbrojonych żołnierzy ściśniętych w takiej łupinie?

Moff zaczekał, aż tłumacz skończy mówić, a później wzruszył ramionami. Wygląda na to, że naprawdę nie rozumie po angielsku — pomyślał Justin, kiedy Moff i starzec zamieniali ze sobą kilka, szybko wypowiedzianych po qasamańsku

zdań. — Zapewne nauczył się na pamięć tylko jednej kwestii, chcąc przypomnieć mi o trzyminutowym limicie, a my daliśmy się na to nabrać jak małe dzieci. Głupota, głupota i jeszcze raz głupota.

— Zobaczymy, co tam jest — odezwał się starzec. — Może dopiero wówczas będziemy mogli zdecydować, co z wami wszystkimi zrobić.

Założyłbym się, że będziecie — pomyślał Justin, ale nic nie powiedział. Moff usiadł wygodniej w fotelu, okazując tym samym, że uważa rozmowę za skończoną, przynajmniej na razie, a Justin usiłował wprawić w ruch swoje szare komórki.

No dobrze. Przede wszystkim szpiegowskie kamery Qasaman nie mogły przekazywać na żywo obrazu z pokładu "Dewdrop". Qasamanie musieliby w tym celu uwolnić przynajmniej jedno pasmo częstotliwości od zakłóceń, a coś takiego z pewnością zostałyby odkryte przez naukowców. Moff i jego ludzie nie mogli więc wiedzieć niczego na temat zamiany braci Moreau — i nie dowiedzą się o tym, dopóki ci w Sollas nie obejrzą taśm i nie ogłoszą alarmu. Zakłócanie łączności radiowej oznaczało, że Justin jest bezpieczny tak długo, jak długo autokar jest w ruchu. Gdyby więc zdecydował się na działanie, zanim dotrą do następnego miasta — Purmy, czy tak nazwał je Moff? — zupełnie by ich zaskoczył.

Tak, ale wówczas, jeżeli chce uwolnić Rynstadta i Cerenkova, musiałby sam przeszukać całe miasto.

Justin skrzywił się. Mógłby wprawdzie pozwolić sobie na to, by nie wiedzieć, dokąd ich zabrano, ale tylko pod warunkiem, że Pyre udał się w ślad za tamtym autokarem zamiast czekać na autokar Justina. Tego jednak nie był pewien, a nie zamierzał niepotrzebnie ryzykować. Powinien więc zaczekać, aż zabiorą go do pozostałych więźniów, chociaż wówczas będzie musiał poradzić sobie z dodatkowymi strażnikami i ich mojokami, których z pewnością będzie mnóstwo... A teraz powinien się modlić, żeby autokar nie zatrzymał się poza miastem przed jakimś szlabanem czy posterunkiem wyposażonym w system łączności dalekością.

Niech to diabli. Gdyby tak się stało, wszystkie jego plany spaliłyby na panewce. Jak dotąd, Moff traktował go dość łagodnie, ale takie postępowanie było uzasadnione tygodniową obserwacją charakteru i sposobu reagowania Joshuy. Gdyby się zorientował, że jego miejsce zajął ktoś inny, z pewnością podjąłby bardziej drastyczne środki ostrożności... a było wiele sposobów na to, by uniemożliwić działanie nawet Kobreze.

Przez przednią szybę autokaru widział w świetle reflektorów tylko drogę i ściany lasu rosnącego po obu jej stronach. Żadnych świateł, które świadczyłyby o



bliskości miasta... Działając bardzo ostrożnie, ale i metodycznie, Justin uruchomił swój system naprowadzania na cel i po kolei nastawił celowniki i na wszystkie mojoki w autokarze. Tak na wszelki wypadek.

Usiadłszy wygodniej w fotelu, zajął się obserwowaniem drogi, trzymając dłonie w taki sposób, żeby nic nie mogło przeszkodzić mu w szybkim przystąpieniu do akcji. Starał się odprężyć.

— Jak myślisz, co ich zatrzymało? — odezwał się cicho Rynstadt siedzący przy małym, składanym stoliku ustawionym w samym środku celi.

Stojący przy zakratowanym oknie Cerenkov machinalnie popatrzył na przegub, na którym nie miał już zegarka, a później z cichym parsknięciem opuścił rękę wzdłuż ciała. — Całą "biżuterię" zabrano im w chwilę po opuszczeniu skrzyżowania dróg w pobliżu Sollas — z pewnością zawdzięczali to miotaczowi strzałek Yorka i rzekomo umożliwiającemu "autodestrukcję" urządzeniu Joshui. Brak możliwości oceny upływu czasu był zawsze dla Cerenkova dość dużą udręką, a teraz, w obecnej sytuacji, traktował go jako rodzaj wyrafinowanej, chociaż subtelnej tortury.

— To jeszcze niczego nie dowodzi — odezwał się do Rynstadta. — Nie jesteśmy tu zbyt długo, a jeżeli przewiezienie Deckera na pokład statku zajęło im więcej czasu, niż sądzimy, Moff i Joshua mogą być dopiero w drodze.

— A jeżeli... — zaczął Rynstadt, ale urwał, nie kończąc zdania. — Tak, może masz rację — dodał. — Moff z pewnością będzie chciał być tutaj, zanim zabiorą się do tego idiotycznego przesłuchania.

Cerenkov tylko kiwnął głową, czując, jak głęboko narasta w nim frustracja spowodowana koniecznością niemyślenia nawet o rzeczach dla nich tak ważnych, jak na przykład to, czy Joshui naprawdę pozwolono przetransportować Deckera na pokład "Dewdrop"... i czy to Joshua, czy może już Justin będzie tym, kto już wkrótce znajdzie się razem z nimi w celi. Po tym jednak, co pokazał im starzec na skrzyżowaniu, Cerenkov wolał nie zakładać, że żaden ze stojących pod całą strażników nie rozumie ani nie mówi po angielsku.

Musiał więc zachować myśli i podejrzenia tylko dla siebie. Czas płynął nieubłaganie... i w miarę upływu minut Cerenkov zaczął się czuć tak, jak gdyby on i Rynstadt stali na tafli roztapiającego się coraz szybciej lodu. Jeżeli Justin został zmuszony do przedwczesnego rozpoczęcia akcji... tłumaczyłoby to jego spóźnienie, ale zarazem pozostawiało ich obu zdanych wyłącznie na własne siły.

Nagle, nieco po prawej stronie, dostrzegł błysk światła. Przysunawszy twarz do szyby, ujrzał pojazd podobny do tego, jakim przywieziono tu jego i Rynstadta. Autokar po chwili się zatrzymał i podeszła do niego grupa Qasaman.

— Wygląda na to, że przyjechali — rzucił przez ramię, starając się nie okazywać podniecenia. Wiedział, że zaraz zacznie się prawdziwa zabawa... zwłaszcza że dopóki nie rozpocznie akcji, nawet oni nie byli pewni, który z bliźniaków znajdzie się w ich celi. Sytuacja może wówczas wyglądać groźnie, a on nie chciał znaleźć się na linii ognia, ani też z przesadną ostrożnością oczekiwać rozkazu: "Padnij!" Moff, lub któryś z jego ludzi mógłby to zauważyć, a wówczas...

W pewnej chwili jednak wszystkie jego myśli zamarły jak skute lodem. Autokar ruszył i zaczął się oddalać, a Qasamanie, którzy wyszli przedtem na jego powitanie, wracali do budynku... ale sami. Nie było z nimi nikogo.

Pusty autokar? — pomyślał w pierwszej chwili Cerenkov, ale tak naprawdę w to nie wierzył. Pojazd tymczasem przyspieszył, kierując się ku centrum miasta... Przeczucie mówiło mu, że są w nim i Moff, i Justin. Coś zatem musiało się wydarzyć. Coś złego. Tak złego, że Qasamanie zdecydowali się rozdzielić więźniów, a co gorsze, podjęli tę decyzję nagle, pod wpływem jakiegoś impulsu.

A Cerenkov i Rynstadt przebywali zamknięci w innej celi. W bardzo dobrze strzeżonej, prywatnej celi.

Cerenkov powoli odwrócił się i odszedł od okna.

— No i... — przynaglił go Rynstadt.

— Fałszywy alarm — mruknął. — To nie byli oni.

Justin patrzył przez tylne okno autokaru, jak budynek, obok którego się zatrzymali, zostaje w tyle. Widząc, jak autokar przyspiesza, zdał sobie sprawę, że w taki czy w inny sposób przegrał. Moff mógł starać się udawać, jak umiał, że zatrzymali się tylko po to, żeby wysłuchać wieści z Sollas, ale Justin przyglądał się kierowcy, kiedy Moff przez dłuższy czas rozmawiał z witającymi ich Qasamanami, i widział na jego twarzy wyraz zdumienia, kiedy powiedziano mu, że ma jechać dalej. Prawie na pewno Cerenkova i Rynstadta przetrzymywano w budynku, który stawał się coraz słabiej widoczny. Udawana obojętność Qasamanina utwierdziła Justina w przekonaniu, że Moff nie chce, żeby zwracał szczególną uwagę na tamten budynek.

A zatem już wiedzieli. Obejrzeni taśmę, zobaczyli wszystko co chcieli, i przesłali ostrzeżenie, a Moff zabierał go do jakiegoś wyjątkowo dobrze strzeżonego miejsca na długie przesłuchanie, a może i szczegółowe badania. Justin musiał za-

czyć działać bardzo szybko: zabić lub unieszkodliwić wszystkich w autokarze i uciec, zanim Qasamanie postanowią, co z nim zrobić.

Zdażył ustawić swoją dookólną broń soniczną na optymalną częstotliwość umożliwiającą mu oszałamianie ludzi i miał ją właśnie uruchomić, kiedy nagle przysłała mu do głowy rozsądna myśl.

Bez względu na to co osiągnie, dla każdego, kto będzie badał autokar po akcji, musi stać się jasne, że ataku dokonał ktoś znajdujący się w jego środku. W środku... A w dodatku ktoś, kogo bardzo dokładnie przeszukano i pozbawiono wszystkiego, co tylko mogłoby sprawiać wrażenie, że jest bronią.

Na czoło Justina wystąpiły krople zimnego potu. Jakie wnioski wyciągnęliby z tego Qasamanie? Czy domyśliliby się całej prawdy, czy tylko jej części, na podstawie której dośpiewaliby sobie całą resztę? Odpowiedzi na te pytania nie były, rzecz jasna, w tej chwili ważne — "Dewdrop" z pewnością będzie daleko, zanim miejscowi eksperci zakończą przetrząsanie szczątków. Jeżeli jednak rada zdecyduje się na przyjęcie oferty Troftów i wyśle na Qasamę następne Kobry, uprzedzanie tubylców o ich możliwościach mogłoby mieć fatalne skutki.

Co zatem powinien robić? Ostrzelać autokar z zewnątrz, kiedy będzie uciekał, i mieć nadzieję, że zmyli to badających go później Qasaman? Czy poczekać, aż zabiorą go do miejsca, w którym obecność ukrytego, uzbrojonego człowieka byłaby możliwa? A może nawet całkiem prawdopodobna — z pewnością gdzieś w ciemnościach czaił się Pyre, który przecież nie zaatakował budynku, gdzie przetrzymywano Cerenkova i Rynstadta. Może znalazł się na skrzyżowaniu zbyt późno i w tej chwili podążał w ślad za autokarem Justina.

Usłyszał nagle, że Moff coś mówi. Odwrócił się w jego stronę i poczekał, aż starzec przetłumaczy jego słowa.

— Teraz przynajmniej rozumiem, skąd wziął się u ciebie ten nagły przyływ odwagi po opuszczeniu statku — powiedział.

Przez chwilę Justin się zastanawiał, czy nie udać, że nie wie, o co chodzi, ale po krótkim namyśle zdecydował, że nie warto.

— Kluczową sprawą było ograniczenie czasu do trzech minut — powiedział. — Gdybyśmy mieli więcej czasu, domyślilibyśmy się, do czego są wam potrzebne te cylindry.

Moff kiwnął głową, kiedy usłyszał tłumaczenie.

— Nasi eksperci uznali, że dwie i pół minuty byłyby bezpieczniejszym wyjściem, ale tak duży pośpiech wydawał mi się niewskazany. Poza tym nie wiedziałem wówczas, że twoi ludzie wciąż utrzymują z tobą łączność wizyjną, a nie

chciałem też, by niewłaściwie zrozumieli nasze zbyt szybkie zbliżanie się do waszego statku. — Świdrował spojrzeniem twarz Justina. — Jestem bardzo ciekaw rozmowy, jaką odbyłeś ze swoim duplikatem — oznajmił.

— Mogę się założyć, że jesteś — odparł Justin.

— Powinienem ci też powiedzieć, że ktoś z naszych władz sądzi, iż stanowisz dotychczas dla nas nie znane, ale poważne zagrożenie, i powinieneś być jak najszybciej zlikwidowany.

Justin zdał sobie nagle sprawę z tego, że czterech z ośmiu znajdujących się w autokarze Qasaman ma wyciągnięte pistolety, a dwa są wymierzone prosto w niego.

— A ty, co o tym sądzisz? — zapytał.

Przez bardzo długą chwilę Moff przyglądał się w milczeniu Justinowi. Siedzący na jego ramieniu mojk, czując widocznie wzrost napięcia, zaczął nerwowo rozkładać i składać skrzydła.

— Zgadzam się z tym, że jesteś niebezpieczny — odezwał się w końcu, a starzec przetłumaczył. — Nie wiem, czy nie popełniamy błędu, zachowując cię przy życiu po to, by poznać twoją tajemnicę. Dopóki jednak się nie dowiemy, co przeciwko nam knujesz, dopóty nie będziemy wiedzieli, w jaki sposób skutecznie się bronić. A zatem zabieramy cię w pewne miejsce, w którym zostaniesz poddany bardzo szczegółowemu przesłuchaniu.

— A później likwidacji?

Moff nie odpowiedział... ale i tak przebieg tej rozmowy pozwolił Justinowi podjąć decyzję. Qasamanie zakładali, że wojna jest możliwa, a dawanie im dodatkowych atutów, jeżeli nie był do tego bezwzględnie zmuszony, oznaczało zdradę tych, którzy mogą znaleźć się tu po nim. Chciał także zobaczyć miejsce, które uznawali za dość bezpieczne, żeby sprostać nieznanemu zagrożeniu. A poza tym...

Jeszcze raz popatrzył Moffowi prosto w oczy.

— Pytam z czystej ciekawości: w jaki sposób doszliście do wniosku, że was szpiegujemy?

Moff zamyślił się i zacisnął wargi. Później, lekko wzruszywszy ramionami, zaczął mówić.

— Twój duplikat prawidłowo zinterpretował dzisiaj rano znaczenie ogłoszenia obok bramy w naszej wiosce, Huriseem — powiedział tłumacz. — Oznaczało to, że wbrew naszym wysiłkom w dalszym ciągu utrzymujecie łączność wi-

zyjną ze statkiem. Musieliście więc mieć jakieś urządzenie, o którym nam nie mówiliście, a które zostało zaprojektowane w taki sposób, żeby nie można go było wykryć.

Justin zmarszczył brwi.

— I to wszystko, co mieliście przeciwko nam?

— To jedno wystarczyło, by poddać was przesłuchaniu. W podobny sposób nie wykryta przez nas broń Yorka i fakt, że ją później użył, pozwoliły nam stwierdzić, że nasze podejrzania są słuszne.

— I zapewne to ty odkryłeś, że mamy ukrytą kamerę? — zapytał Justin.

Moff tylko raz kiwnął głową, ten prosty gest stanowił jedynie stwierdzenie faktu, a nie chęć chełpienia się czy fałszywą skromność. Justin także skinął głową, a później zamilkł, wiedząc, że ostatni fragment jego myślowej łamigłówki znalazł się na właściwym miejscu. Podczas ucieczki nie zamierzał zabijać więcej osób, niż to będzie konieczne, ale pozostawianie przy życiu świadka obdarzonego tak dużym darem obserwacji, jak Moff byłoby kardynalnym błędem. Nie; będzie musiał poczekać, dopóki nie znajdą się u celu i dopóki Pyre nie da znać o swojej obecności. Jeżeli będą razem, obie Kobry długo każą Qasamanom zastanawiać się, w jaki sposób udało im się uciec.

Usiadł wygodniej i starał się zapamiętać trasę, jaką przebywał autokar, jadąc szerokimi ulicami Purmy. Wspominał historie z czasów wojny, które kiedyś opowiadał mu ojciec.

Nie zabudowany obszar na południowo-zachodnim skraju Sollas, który nieco dalej na pomoc stanowił lotnisko, nie mógł mieć więcej niż sześćdziesiąt metrów, ale Pyre nie czuł się wcale pewnie, kiedy pokonywał go, biegnąc ku najbliższemu nieoświetlonemu budynkowi. W żadnym zresztą domu na skraju Sollas nie paliło się wiele świateł — czyżby miało to być jeszcze jedno ustępstwo na rzecz przemierzających te strony stad bololinów? Pyre miał wrażenie, jak gdyby przez cały ten czas obserwowało go co najmniej tysiąc ciekawskich Qasaman. Dwa tysiące oczu, tysiąc wylotów luf pistoletów...

Dotarł jednak do budynku bez żadnych przeszkód i przez minutę stał w jego cieniu, zastanawiając się nad kolejnym ruchem. Trzypiętrowy dom, przy którym się zatrzymał, wybudowany był z cegieł. Instruktorzy, którzy byli pierwszymi Kobrami, w ciągu kilku miesięcy poprzedzających wyprawę nauczyli go, jak wspinać się na takie domy. Pyre wiedział, że kiedy znajdzie się na dachu, będzie mógł przeskakiwać z jednego budynku na drugi, aż dotrze w pobliże wieży kontrolnej, stojącej na skraju lotniska.

Popatrzył na gładką ścianę domu i skrzywił się z niesmakiem. W teorii było to bardzo łatwe. Większość ulic, które musiałby w ten sposób pokonać, była jednak bardzo szeroka, przeznaczona widocznie dla stad bololinów. Pokonanie jednej nie stanowiło problemu dla jego wspomaganych przez serwomotory mięśni, ale nie był pewien, czy chciałby próbować tej sztuczki kilkanaście razy.

Nagle usłyszał jakiś szmer dochodzący zza rogu domu. Zagryzłszy zęby, ustawił wzmacniacze słuchu na największą czułość, i wówczas dobiegły odgłosy kroków co najmniej kilku osób.

Przysunawszy się do ściany, ostrożnie wychylił głowę na ulicę. W odległości nie większej niż dwieście metrów, przy najbliższym skrzyżowaniu, zobaczył grupę sześciu Qasaman stojących w nieforemnym kręgu i półgłosem rozmawiających ze sobą. Po kilku chwilach trzech odłączyło się od pozostałych i zaczęło powoli iść ulicą w jego kierunku.

Pyre wycofał się. Nie sądził, że Qasamanie okażą się tacy ostrożni, żeby chcieli wystawić posterunki, chociaż wszyscy zagrażający im ludzie byli trzymalni w zamknięciu i dobrze pilnowani.

Chyba że...

Oczywiście. Znaleźli ciała żołnierzy, których zabił i porzucił w lesie.

Pyre cicho zaklął. Sprawy toczyły się tak szybko, że zupełnie zapomniał o tak oczywistym dowodzie swojej obecności. Nic dziwnego, że strażnicy byli tacy czujni, a ponieważ widzieli się nawzajem, nie pozostawili mu innego wyjścia. Zahaczywszy palce o krawędzie cegieł nad głową, powoli zaczął się wspinać po murze.

Droga wydała mu się bardzo długa, tym bardziej, że nie miał w tych sprawach doświadczenia. Na jego szczęście patrol nie spieszył się na wyznaczone miejsce, tak, że Pyre dotarł prawie na sam dach, kiedy strażnicy skręcali za róg domu, na którym się znajdował. Zamarł bez ruchu i wstrzymał oddech, ale nie zauważyli go ani Qasamanie, ani ich mojoki. Po kilku chwilach mógł wznosić wspinaczkę, ale teraz starał się robić to tak, by nikt go nie usłyszał.

Zapewne tylko dzięki temu udało mu się ocalić życie. Dotarłszy do niskiego okapu okalającego dach domu, Pyre wysunął powoli głowę... i znalazł się oko w oko z kłęczącym od niego o trzy metry Qasamaninem, szukającym czegoś w leżącym przed nim małym płóciennym worku.

Szeroko otwarte oczy i otwierające się usta tubylca uświadomiły mu, że go zaskoczył. Sięgnął odruchowo do olstra, a wówczas ręka Pyre'a wysunęła się zza okapu i nitka światła z małego palca trafiła w pierś mojoka. Qasamanin nie za-

niechał jednak próby wyciągnięcia pistoletu z olstra i druga nitka trafiła go w to samo miejsce, co ptaka. Przewrócił się na bok i znieruchomiał. Na jego twarzy jednak nadal malowało się zaskoczenie.

W sekundę później Pyre znalazł się na dachu. Przeszedł go dreszcz na myśl o tym, że tylko cudem udało mu się uniknąć śmierci. Poza tym był pewien, że grożące mu niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Jeżeli strażnicy na dole usłyszeli jakiś hałas... albo jeśli obserwatorzy na innych dachach widzieli, co się stało...

Włączywszy wzmacniacze wzroku, ostrożnie uniósł głowę i rozejrzał się po dachach sąsiednich domów. Dach budynku stojącego na południe był pusty, ale na domu wzniesionym po przeciwnej stronie zobaczył sylwetkę Qasamanina. Żołnierz trzymał przy oczach urządzenie podobne do niewielkiej elektronicznej lornetki i obserwował skraj lasu. Spojrzenie poza okap na ulicę upewniło Pyre'a, że strażnicy nie zostali zaalarmowani; podczołgał się więc do zabitego Qasamanina i przyciągnął do siebie jego płócienny worek. W środku znalazł taką samą lornetkę, przez jaką patrzył tamten obserwator, pojemnik z jakimś płynem i kawałek nadziewanego warzywami placka.

Wyglądało więc na to, że obserwatorzy na dachach, podobnie jak ich kole-dzy pilnujący ulic, dopiero teraz zajmują przydzielone im posterunki. To wyjaśniałoby, dlaczego udało mu się dotrzeć bez przeszkód ze skraju lasu do pierwszych domów miasta. Nie zauważony przez nikogo znalazł się za pierwszą linią straży. I... co dalej?

Rozmyślając o tym, zapatrzył się na martwego ptaka. Cokolwiek miałby zrobić, będzie potrzebował chociażby niekompletnego przebrania. Ostrożnie, starając się nie krzywić, obrócił martwego strażnika na plecy i zdjął z niego kurtkę. Mężczyzna miał pod nią coś w rodzaju zrobionego na drutach swetra. Pyre rozciął go, spruł kawałek dosyć grubej przędzy i przywiązał nią szpony mojoka do naramiennika. Później, wyglądziwszy pióra ptaka, obwiązał go innym kawałkiem włóczki. Nie wątpił, że z bliska nie uda mu się oszukać żadnego Qasamanina, ale liczył na to, iż nie będzie musiał do nich podchodzić. Nie podnosząc się z dachu, założył na siebie kurtkę martwego strażnika, która na szczęście okazała się dla niego za duża. Potem założył pas z bronią, wyciągnął z worka lornetkę, wstał i podszedł do skraju dachu bliżej centrum miasta.

Udało mu się tam dotrzeć bez wzbudzania czyichkolwiek podejrzeń. Spojrzał w dół i zobaczył jedną z węższych ulic, wiodących z północnego wschodu na południowy zachód. Dach stojącego po drugiej stronie budynku wydawał się pusty, ale na obu najbliższych skrzyżowaniach zobaczył trzyosobowe grupy rozglądających się strażników. Na szczęście nie patrzyli w górę, kierowali wzrok w

stronę obrzeży. Spojrzawszy jeszcze raz na dachy sąsiednich domów, Pyre złączył nogi, lekko ugiął je w kolanach, przytrzymał przywiązane gojaki i skoczył.

Serwomotory kolan okazały się aż nadto wystarczające. W sekundę później wylądował na dachu przeciwległego domu i przekoziołkował przez lewe ramię, żeby zmniejszyć siłę uderzenia. Przykleknąwszy na jedno kolano, podniósł do oczu elektroniczną lornetkę i starając się wyglądać jak jeden z qasamańskich obserwatorów, czekał, czy ktoś zareaguje.

Nikt jednak tego nie zrobił i Pyre po minucie wstał, przeszedł przez dach na drugą stronę domu i powtórzył całą operację. Po kolejnym skoku udało mu się zostawić za sobą i obserwatorów na dachach, i posterunki na skrzyżowaniach ulic, ale dopiero po dwóch następnych poczuł się trochę pewniej.

Nadszedł czas, żeby zdecydować, co dalej, gdyż każdy taki skok oddalał go coraz bardziej od "Dewdrop", a czuł, że teraz powinien skierować się na północ. Podążanie wprost na północ doprowadziłoby go jednak do centrum miasta, a mimo wyludnionych ulic na peryferiach, nie sądził, by dalej mogło mu iść równie łatwo. Wiedział, że w samym centrum znajduje się ratusz z biurem burmistrza i inne budynki dostojników z Sollas, toteż byłby bardzo zdziwiony, gdyby po okolicznych ulicach nie kręciło się mnóstwo osób. Będzie musiał jakoś ominąć ten ruchliwy rejon, starając się obierać drogę między tętniącym życiem centrum a posterunkami na granicy miasta...

W przeciwnym razie może się znaleźć w samym środku wrogiego otoczenia. W samym środku...

Pyre zatrzymał się na skraju kolejnego dachu i zaczął rozważać pomysł, który mu nagle wpadł do głowy. Zaatakowanie ośrodka politycznej władzy miasta byłoby czynem dowodzącym dużej odwagi i możliwości Kobry. Czegoś takiego przywódcy Sollas nie mogliby nie docenić. Z taktycznego punktu widzenia odwróciłyby uwagę Qasaman od "Dewdrop", a może także od Cerenkova i innych więźniów.

A jeśli już o tym mowa, może udałoby mu się pochwycić samego burmistrza jako zakładnika albo zagrozić zniszczeniem ważnego ośrodka władzy. Może mógłby w ten sposób przekonać Qasaman, żeby uwolnili więźniów, nie uciekając się nawet do groźby użycia brutalnej siły.

Tak czy inaczej, doszedł do wniosku, że gra jest warta świeczki.

Spojrzaszy raz jeszcze na ulicę, przeszedł ostrożnie przez okap i zeskoczył na ziemię, odbijając się w połowie drogi od gzymsu jakiegoś okna, żeby zmniejsz-



szyć końcowy wstrząs. Zerknąwszy w najbliższą przecznice, skierował się na północny wschód ku centrum miasta. Bez wysiłku biegł długimi susami, włączyny wzmacniacze wzroku i słuchu, żeby móc dostrzec w porę Qasaman, których bez wątpienia musiał napotkać na swojej drodze.

W świetlicy "Dewdrop" słyhać było nadal jazgot zakłóceń, który miał unieвозмоwić wszelką łączność radiową. Jego monotonia doskonale harmonizowała z widocznymi na ekranach nieruchomymi obrazami, przesyłanymi przez zewnętrzne kamery statku. Gdyby wierzyć tym obrazom, można by pomyśleć, że wszyscy mieszkańcy planety wyginęli wkrótce po tym, jak prawie przed godziną Joshua powrócił na pokład. Telek spojrzęła na zegarek, rozlewając przy tym kahve, której nawet nie spróbowała. Upłynęły już trzy minuty i nic nie wskazywało na to, żeby Qasamanie chcieli im odpowiedzieć.

— Spróbuj jeszcze raz — odezwała się do Nnamdiego. Kiwnęła głową i uniósł mikrofon do ust.

— Tu mówi doktor Hersh Nnamdi z pokładu aventińskiego statku "Dewdrop" — powiedział. — Chcemy rozmawiać z burmistrzem Kimmeronem, albo z kimś spośród przywódców Qasamy. Sprawa pilna. Czekamy na odpowiedź.

Odłożył mikrofon na kolana, a Telek zaczęła nasłuchiwać, kiedy najsilniejszy nadajnik kierunkowy "Dewdrop" wypluwał przetłumaczone na qasamański słowa Nnamdiego prosto w stronę pobliskiej wieży. Mimo zakłóceń, chociaż część sygnału powinna była dotrzeć. O ile Qasamanie pozostawali na nasłuchu.

Jeśli nie, tracili czas. Jeżeli tylko słuchali, a nie zamierzali odpowiadać, Winward mógł mieć jakąś szansę.

Mógł.

— Etap drugi — odezwała się Telek do Nnamdiego. — Postaraj się włożyć więcej uczucia w to, co mówisz.

Ujrzała, jak w jego twarzy drgnęła jakiś mięsień, ale posłusznie, znów uniósł mikrofon.

— Mówi doktor Hersh Nnamdi z pokładu "Dewdrop". Chcielibyśmy wysłać nieuzbrojonego członka załogi w celu omówienia z wami warunków uwolnienia naszych przedstawicieli. Czy zagwarantujecie mu bezpieczeństwo i umożliwicie rozmowę z kimś sprawującym władzę?

Nadal zakłócenia. Siedzący obok Nnamdiego Christopher poruszył się niespokojnie i spojrzęł na Telek.

— Zdaje sobie pani sprawę z tego, że jeżeli Justin i Almo udali się na południe i zaczęli działać, Kimmeron będzie wiedział o naszych superżołnierzach na pokładzie i powita Michaela ogniem wszystkich pistoletów i karabinów, jakimi dysponuje?

Telek, nie odzywając się, kiwnęła głową. Winward, rzecz jasna, także o tym wiedział. Popatrzyła ukradkiem na Kobrę, który siedział teraz przed innym monitorem i rozmawiał półgłosem o czymś z Linkiem. Wiedziała, że dyskutują na temat taktyki i strategii walki, chociaż nie mogła pojąć, na co to wszystko mogło im się przydać. Kule czy pociski, wystrzeliwane z dużej odległości przez ukrytego strzelca były czymś, z czym nie mogli walczyć. Nawet mimo tego, że byli Kobrami.

— Ktoś... k t o k o l w i e k... proszę się odezwać.

Głos Nnamdiego lekko zadrżał i Telek znów zwróciła na niego uwagę. Niechętnie przyznała przed samą sobą, że i jemu zaczyna udzielać się napięcie. Przydawało to jego słowom wiarygodności, ale jego nadmiar mógł okazać się niebezpieczny.

— Posłuchajcie, wysyłamy do was Michaela Winwarda, mojego zastępcę — ciągnął tymczasem Nnamdi. — Porozmawiajcie z nim, dobrze? Dalszy przelew krwi nie ma najmniejszego sensu. Jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia, o ile zgodzicie się na rozmowę.

Nnamdi przerwał i popatrzył na Telek. Prostując się na krześle, kiwnęła tylko głową. Naukowiec przesunął językiem po wargach i odwrócił głowę w stronę mikrofonu.

— Wysyłam go za minutę. Zgoda?

Natężenie zakłóceń nie uległo zmianie. Odłożywszy mikrofon, Nnamdi osunął się na krześle i zamknął oczy. Siedzący po drugiej stronie Winward zerwał się na równe nogi.

— Sądzę, że teraz kolej na mnie — powiedział, sięgając po wiszącą na oparciu krzesła bluzę, którą założył na czarny kombinezon przeznaczony do walki w nocy.

— Zestaw do utrzymywania łączności — przypomniał mu Link.

Winward kiwnął głową, zabierając leżący na stole przed Nnamdim komplet składający się z zawieszanej na szyi słuchawki i mikrofonu umożliwiającego przesyłanie sygnałów do pokładowego translatora.

— Pani gubernator, przede wszystkim postaram się zniszczyć nadajnik urządzenia zagłuszającego, ale gdybym go nie znalazł, zabiorę się od razu do tych granatników na wieży. Jeżeli usłyszysz pani dobiegające stamtąd wybuchy i odgłosy strzałów, proszę omieść skraj lasu ogniem miotaczy laserowych, a później wysłać na zewnątrz Dorjaya.

— Dobrze — odparła Telek, starając się mówić równie spokojnie. — Powodzenia... i niepotrzebnie nie ryzykuj.

Obdarzył ją przelotnym uśmiechem i wyszedł. Telek opadła na krzesło obok Nnamdiego, wpatrując się w stojący przed nią ekran... i po minucie ujrzała Kobrę zdążającego powoli w stronę wieży z dużą białą flagą trzymaną w wyciągniętej dłoni.

Kiedy szedł, nie padł żaden strzał ani nie poszybował w jego kierunku żaden pocisk. Telek słyszała głośne bicie własnego serca, kiedy jej uczucia oscyływały między nadzieją a obawą, że pokładanie zbyt wielkiej nadziei może zakończyć się katastrofą. Link, który stał teraz za jej plecami i ponad jej ramieniem spoglądał na ekran, dwukrotnie sięgał do monitora, żeby powiększyć obraz. Za drugim razem, ujrzeni oddział ośmiu Qasaman, którzy wyłonili się zza drzwi u podstawy wieży i czekali na Winwarda. Ośmiu Qasaman, i, rzecz jasna, tyle samo mojoków.

Kiedy Winwardowi zostało do przejścia już tylko kilka kroków, dwóch Qasaman podeszło do niego z wyciągniętymi pistoletami, na lufach których połyskiwały światła Sollas. Odebrali mu flagę i sprawnie przeszukali, czy nie ma broni. Później cała ósemka otoczyła go ze wszystkich stron i odprowadziła, ale nie do drzwi wieży, a gdzieś na bok. Predefilowali przed jej frontem, jak gdyby chcieli skręcić za róg. Czyżby zabierali go na rozmowy z kimś sprawującym tutaj władzę? — zastanowiła się Telek. — Może nawet z oficerem dowodzącym żołnierzami obsługującymi wymierzone w statek granatniki?

Zniknęli za rogiem budynku... a w minutę później wiatr przyniósł odgłos pojedynczego strzału.

## ROZDZIAŁ 4

Autokar zatrzymał się w końcu obok pogrążonego w mroku budynku, a Moff wskazał drzwi wymownym ruchem uzbrojonej w pistolet dłoni.

— Wysiadaj — odezwał się całkiem niepotrzebnie starzec. Starając się nie wykonywać żadnych niespodziewanych ruchów, Justin wstał i pozwolił Qasamanom wyprowadzić się z autokaru.

Widok budynku był dla niego wstrząsającym doświadczeniem, kiedy po chwili uzmysłowił sobie, co mu przypomina.

— Wygląda jak karłowata wersja wieży kontrolnej na skraju lotniska obok Sollas — stwierdził, kiedy Moff prowadził go ku drzwiom, strzeżonym przez strażników. — Wydaje się dziwnie nie na miejscu, zważywszy na fakt, że stoi w samym centrum miasta.

Moff nie odezwał się ani słowem. Przynajmniej dwoje drzwi — zauważył Justin, przyglądając się pozornie od niechcienia budynkowi. — Dwa piętra i wiele okien. Mnóstwo okazji do tego, żeby przedostać się do środka. Do dzieła, Almo... daj w łeb tym gościom, a potem przekonajmy się, co tam jest.

Podczas marszu ku drzwiom nie pojawiły się jednak żadne nitki światła. Moff zatrzymał się i odwrócił, kierując lufę pistoletu w pierś Justina.

— Założysz teraz ręce za plecy — odezwał się starzec, oddzielany od nich kordonem pilnujących ich Qasaman.

Justin usłuchał i po chwili poczuł, jak na przegubach zaciśnięto mu zimne metalowe obręcze. Almo, gdzie jesteś? — pomyślał nerwowo, rzucając ukradkowe spojrzenia w stronę sąsiednich domów.

Moff tymczasem wprowadził go między dwoma szpalerami strażników do środka budynku, tak silnie strzeżonego, że w opinii Qasaman powinien sprostać każdemu nieznanemu zagrożeniu.

Na czoło Justina zaczęły występować pierwsze krople potu. Nie przejmuj się — powiedział do siebie. — Na razie nie dzieje się nic złego. Jesteś zdany tylko na własne siły, ale przecież w tym celu cię przeszkolono. Dwoje drzwi i tylko dwa piętra, pamiętasz? Ucieczka stąd powinna być bardzo łatwa. Starając się nie

zwracać niczyjej uwagi, palcami zaczął obmacywać kajdanki unieruchamiające mu ręce. Obejmy na przegubach były zniechęcająco grube... ale połączono je krótkim łańcuchem, a nie litym prętem. Po chwili zorientował się, że może zakrzywić oba małe palce w taki sposób, żeby każdy spoczywał na jednym z ogniwi. Może zostanie przy tym poparzony, ale uwolnienie się nie powinno zająć mu więcej niż kilka sekund. Co prawda potrwa to znacznie dłużej, jeżeli system naprowadzania na cel zechce najpierw rozprawić się z mojkami... Czując dreszcz przerażenia na myśl o tym, że mógł tę pomyłkę przypłacić życiem, unieważnił poprzednio podane nanokomputerowi cele. Spokojnie, Justin — powiedział do siebie. — Zaczynasz powoli tracić głowę.

Moff poprowadził całą grupę korytarzem w stronę windy. Okazało się, że kabina już czekała.

— Dokąd teraz? — zapytał Justin, chcąc przerwać panujące milczenie.

Nikt jednak mu nie odpowiedział. Trzech strażników wprowadziło go do środka, a za nimi wsiedli także Moff i starzec. Spokojnie, chłopcze, spokojnie — pomyślał Justin, chcąc w ten sposób stłumić ogarniające go przerażenie. — Zorientuj się, dokąd chcą cię zabrać, a potem rozwal im głowy o ściany i wuj przez okno.

Moff nacisnął najniższy guzik w długiej kolumnie... i kabina zaczęła jechać na dół.

Na dół. Pod ziemię... i to bardzo głęboko, jeżeli każdy guzik oznaczał jedno piętro... tam, gdzie nie ma żadnych drzwi ani okien, przez które mógłby uciec. Justin zapewne po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, że jest przerażony. Ten sam wszechświat, który aż do tej chwili wydawał się stać zawsze po jego stronie, zostawał coraz dalej, coraz wyżej nad dachem kabiny. Pozostawiał go w otoczeniu uzbrojonych strażników i reagujących błyskawicznie śmiercionośnych, pomagających im ptaków... Justin zdał sobie sprawę tak jasno, jak nigdy dotąd, że mężczyźni, z którymi miał się wkrótce spotkać w podziemiach, będą chcieli go zabić. Nie wiedzieli, że nazywa się Moreau, nie obchodziło ich, że jest Kobrą... a kiedy dowiedzą się wszystkiego, zginie.

Wpadł w panikę.

Wszystkie poprzednie pomysły, żeby dowiedzieć się, czym jest to miejsce, wszystkie plany ukrywania umiejętności Kobry, nawet zamiar zabijania tylko w ostateczności — wszystko to wyleciało mu z głowy, wyparte przez falę paniki, która nagle wezbrała i zalała cały umysł. Poczuł, że zaczyna się dusić w tej klatce, otoczony tyloma wrogimi, uzbrojonymi mężczyznami, tyloma mojkami... i zanim miał czas uświadomić sobie, co robi, poderwał się do akcji.

Uruchomił równocześnie i broń soniczną, i lasery małych palców: te pierwsze w celu ogłuszenia ludzi, te drugie dla przecięcia łańcucha opinającego bransoletki na przegubach. W sekundę później poczuł w głowie paraliżujący ból, w kolejnym przyptywie paniki zdał sobie sprawę z tego, jakim szaleństwem było użycie broni sonicznej w tak ograniczonej przestrzeni. Szarpnąwszy konwulsyjnie rękami, po raz drugi uruchomił lasery... i nagle łańcuch puścił, uwalniając mu dłonie.

Krótkotrwały impuls broni sonicznej i błyski światła nie uszły jednak uwagi strażników. W chwili, w której unosił ręce, poczuł uchwyt silnych palców. Pilnujący go Qasamanie przytrzymali go mocno... ale Justin, pomagając sobie serwo-motorami mięśni, wykręcił ich ręce w bok, a później uniósł obu strażników i zderzył ich z całej siły głowami. Poczuł, że uścisk palców zelżał... ale w tej samej chwili Kobra został zaatakowany przez pięć rozwścieczonych mojoków.

Justin nie wiedział, co się wówczas działo. Pamiętał tylko skrzeczenie ptaków, łopot ich skrzydeł i przerażające błyski laserów małych palców... W kilka sekund później świadomość przywrócił mu mdlący odór spalonego mięsa i własnych wymiocin. Podniósł się i chwiejnie wyprostował, spoglądając na jatkę, której był sprawcą. Wszystkie mojoki były martwe. Jeżeli zaś chodzi o Qasaman... Justin nie był pewien. Dwóch trafionych promieniami laserów w pierś i głowę z pewnością nie żyło, ale pozostali, nie wyłączając Moffa, prawdopodobnie byli tylko nieprzytomni. W tej chwili nie było jednak ważne, czy stracili przytomność z powodu poparzeń, czy działania broni sonicznej, czy też zostali ogłuszeni ciosami pięści. Nie mogli mu nic zrobić, a on nie chciał zastanawiać się nad tym problemem dłużej, niż musiał.

Winda wciąż jechała na dół... widocznie wszystko to trwało znacznie krócej, niż sądził. Do poddanego silnym wstrząsom umysłu Justina dotarła jednak świadomość faktu, że o ile w kabinie nie zainstalowano żadnych kamer, czekający na dole Qasamanie nie mają pojęcia, co się stało. Wciąż zatem mógł im uciec.

Nacisnął jeden z górnych guzików, który jak sądził, oznaczał parter, a później drugi i trzeci, ale uświadomił sobie, że inaczej niż na Aventinie, rozwiązanie techniczne qasamańskiej windy uniemożliwiało zmianę kierunku w czasie jazdy. Oznaczało to, że kabina będzie opadała tak długo, aż znajdzie się na wybranym przez Moffa piętrze, a tam będą już czekali na Justina następni, tak samo uzbrojeni Qasamanie.

Ułożył się twarzą do góry na leżących w kabinie nieruchomych ciałach i uniósł lewą nogę. Po chwili jego przeciwpancerne laser wycinał w rogu sufitu kwadratowy otwór... Justin zrozumiał, że nie mógłby już, po prostu nie mógłby

stawić czoła niczemu, co oczekiwało go na dole. Okleina sufitu kabiny i kryjąca się za nią cienka blacha nie stanowiły najmniejszej przeszkody dla jego lasera, ale zanim rozgrzany metalowy kwadrat wylądował na jego brzuchu, Justin zerwał się na równe nogi. Po sekundzie, którą zajęło mu odzyskanie równowagi, skoczył.

Nigdy przedtem, nawet podczas ćwiczeń, nie zdarzyło mu się wykorzystywać całej mocy, jaką zapewniały serwomotory, i aż syknął z bólu, kiedy wystrzeżił niczym niekształtny pocisk przez wypalony w suficie otwór. Dookoła dostrzegł różne przewody i liny, ledwo widoczne mimo zwiększonej czułości wzmacniaczy wzroku. Oświetlały go przelotne błyski światła ze szpar w drzwiach mijanych po drodze pięter... jeszcze jedno, i jeszcze, i trochę później jeszcze... stopniowo coraz bardziej zwalniał... w końcu zatrzymał się w powietrzu...

Odruchowo uchwycił za najbliższy przedmiot, ale kiedy poczuł, jak razem z nim zaczyna opadać, zorientował się, że trzyma obiema rękami główną linę nośną windy.

Udało mu się zatem uciec i na razie nie groziło mu, że zostanie trafiony przez któregoś z Qasaman na dole... ale nadal znajdował się w samym sercu ich fortecy i zostawił za sobą tak wyraźne ślady, że nawet małe dziecko trafiłoby na jego trop. Musiał pomyśleć, co dalej robić, i musiał rozwiązać ten problem jak najszybciej.

Było to dość dziwne, jednak dławiąca go panika minęła na tyle szybko, że znów mógł jasno analizować sytuację. Jego niesamowity skok uświadomił mu z całą wyrazistością, jaką moc dawało Kobrze jego implantowane wyposażenie, a także fakt, że jego ojciec też kiedyś był w podobny sposób uwięziony, a jednak uciekł. Zobaczył kolejny błysk światła w szparze drzwi, które mijał podczas lotu do góry kilka sekund wcześniej. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, odepchnął się od liny i skoczył w tamtą stronę. Udało mu się uchwycić palcami metalowe obramowanie, a stopy postawić na mechanizmie zanika. Przesunął je na jakiś niewielki występ i postarał się utrzymać równowagę, kiedy lina w dalszym ciągu opuszczała się o jakiś metr od jego ciała.

Ostrożnie, by nie odpaść, pozwolił sobie na głęboki, chociaż urywany oddech. Nazywam się Justin Moreau — przypomniał sobie z taką stanowczością, na jaką było go stać w tej chwili. — Jestem Kobrą, idącym w ślady ojca. Przeżyję. W jakiś sposób przeżyję. No, to świetnie. Od czego powinienem zacząć?

Jednej rzeczy mógł być absolutnie pewien: od parteru dzieliło go co najmniej kilka pięter. Przesunąwszy się nieco w bok, postarał się znaleźć lepsze

oparcie dla palców rąk, a potem odchylił się od drzwi na tyle, na ile uznał to za bezpieczne. Krawędź drzwi znajdujących się bezpośrednio nad nim widział dosyć dobrze w smudze światła, ale widok następnych zasłaniało mu zbyt wiele metalowych urządzeń i występów. Przeskakiwanie z piętra na piętro należało więc wykluczyć, tak samo jak wspinaczkę po tak wątpliwych szczeblach. Szczeblach? Drabina umożliwiająca konserwację szybu? Rzut oka na pozostałe ściany uświadomił mu jednak, że nie było niczego, co miałoby pełnić taką funkcję.

Drgająca o metr od niego lina zwolniła, potem się zatrzymała... a z samego dołu szybu dobiegł go cichy szum otwierających się drzwi kabiny.

Justin ponownie przesunął się w bok, ale w taki sposób, żeby móc wymierzyć lewą nogą prosto w otwór, który wypalił w suficie kabiny, zwiększając równocześnie czułość wzmacniaczy wzroku. Widok leżących na podłodze ciał sprawił, że znów przeszył go spazm mdłości, ale zanim mógł pozwolić sobie na następny, usłyszał dobiegające z dołu głośne okrzyki i jeden z Qasaman wskoczył do kabiny.

Niech to diabli — zaklął Justin, bezgłośnie poruszając wargami i po raz kolejny zastanawiając się nad tym, co ma robić. Czy powinien starać się wydostać z szybu, zanim Qasamanie na dole dojdą do wniosku, gdzie się znajduje, czy może byłoby lepiej zostać tam, gdzie jest, i spróbować zniechęcić ich do pościgu?

Okazało się, że ktoś inny zdecydował za niego. W widocznym w dole otworze pojawiła się twarz i pistolet, a w szybie rozbrzmiało echo strzału.

Rzecz jasna, strzału na oślep, jako że strzelec nie wiedział, gdzie jest Justin. Odpowiedź Kobry była o wiele dokładniejsza, a jego przeciwpancerny laser nawet na tę odległość okazał się aż nadto wystarczający. Właściciel broni zwałił się jak kłoda na leżące na podłodze ciała, a kiedy w otworze pojawiła się twarz następnego Qasamanina, Justin wystrzelił ponownie...

Z dołu dobiegł go odgłos zamykających się drzwi kabiny. Lina nośna drgnęła i zaczęła poruszać się do góry.

Justin przyglądał się jej przez chwilę, zanim zrozumiał, co się dzieje. Nie trudno było się tego domyślić. Kabina, osiągnąwszy najniższe piętro, do którego skierował ją Moff, reagowała teraz na polecenie Kobry, który podczas jazdy na dół naciskał guziki, chcąc wysłać ją z powrotem w górę. Odepchnąwszy się od drzwi, Justin skoczył i ponownie chwycił się liny.

Pomyślał, że przynajmniej na razie udaje mu się wyprzedzać o jeden krok swoich prześladowców.



Po gorączce poprzednich chwil, jazda w górę wydała się ciągnąć bez końca, Justin mógł jednak przyrzeć się odniesionym obrażeniom. Na obu dłoniach, a zwłaszcza na najmniejszych palcach, miał mnóstwo drobnych oparzeń od kropli roztopionego metalu, jakie całą wieczność temu odpryskiwały od topionych ogniw łańcucha jego kajdan. Kiedy dociskał dłonie do pokrytej gęstym smarem liny, metalowe obręcze, które pozostały, wpijały mu się boleśnie w przeguby. Krople czegoś, co najprawdopodobniej było krwią, ściekały mu po policzku z głębokiej rany nad lewym okiem, która paliła go żywym ogniem. Nigdy przedtem nie zdawał sobie sprawy, że któryś z mojków może znaleźć się tak blisko jego twarzy... a kiedy pomyślał, co mogłoby się wówczas zdarzyć... albo co może się jeszcze zdarzyć, kiedy...

Jego pesymistyczne rozważania przerwała brutalna rzeczywistość: kabina zwalniała. Oceniał, że znajdowała się o jakieś trzy piętra pod nim. Miał zamiar poczekać, aż jej drzwi się otworzą, a potem ześlizgnąć się po linie na dach, mierząc przez cały czas z przeciwpancerneho lasera w wypalony otwór. Gdyby nie zobaczył Qasaman, wskoczyłby do środka, przeszedł przez drzwi i puścił się biegiem ku wyjściu, licząc na to, że w ucieczce pomoże mu duża szybkość i zaprogramowane odruchy.

Drzwi kabiny otworzyły się, przez otwór w dole przedostało się jaskrawe światło... i w tej samej chwili cały szyb wypełnił się głośnym, nieprzerwanym hukem wielu strzałów.. Justin szarpnął się i omal nie puścił liny. Z kabiny w dole zaczęły wydobywać się kłęby dymu, a przebijające się przez nie błyski strzałów oświetlały cały szyb niezwykłym światłem. Kiedy niewidoczne kule siekały na strzępy wszystko, co znalazło się na ich drodze, w powietrzu zaczęły gwizdać odłamki stali...

Justin poczuł, jak zaczyna go znów ogarniać panika.

Rozejrzał się i w sączącym się z dołu świetle zobaczył, że znalazł się naprzeciwko innych drzwi wyjściowych z szybu. Kiedy kanonada na dole przybrała na sile, uniósł konwulsyjnie lewą nogę do poziomu i mierząc w nie, zatoczył nią nieregularną elipsę. W pierwszej chwili nie zastanowił się nad tym, że Qasamanie mogli ustawić po kilkunastu strażników obok drzwi windy na każdym piętrze. Nie przyszło mu też do głowy, że gdyby pomyślał choć trochę dłużej, może udało by mu się odnaleźć mechanizm umożliwiający awaryjne otwieranie, dzięki czemu mógłby wydostać się z szybu prędzej i znacznie ciszej. Liczyło się tylko to, że w każdej chwili lufy pistoletów mogły zostać skierowane w górę, a Justin pragnął wydostać się z tej śmiertelnej pułapki jak najszybciej. Uniósłszy do poziomu obie nogi, odepchnął się rękami z całej siły od liny i uderzył w drzwi. Pod wpływem tego ciosu osmolona elipsa wypadła jak cienka blaszka, a Justin wypadł z impe-

tem na korytarz, odbił się od przeciwległej ściany i przykucnął nieruchomo, z trudem łapiąc równowagę.

Przez chwilę się nie poruszała, drżąc nerwowo i próbując z wielkim trudem zorientować się, o co właściwie chodzi w tej absurdalnej sytuacji. Qasamanie byli przekonani, że znajduje się w dalszym ciągu w szybie... dowodził tego dobiegający stamtąd huk wystrzałów. Dlaczego zatem nie pilnowali wyjść z szybu na wszystkich piętrach?

Dlatego, że myśleli, iż wciąż jeszcze ukrywa się na dachu kabiny?

To było prawdopodobne. Sądziło, że do zabicia poprzednich dwóch strażników dysponował ukrytą bronią, której moc rażenia i zasięg nie pozwoliłyby mu na strzelanie z odległości większej niż kilka metrów. I zapewne nie mieli pojęcia, na jaką wysokość pozwalają mu skakać serwomotory kolan.

Justin wstał i pozwolił sobie na kilka głębokich oddechów, a potem postarał się ocenić swoją sytuację. Zobaczył, że na obu końcach korytarza znajdują się niewielkie okna, w których odbijała się jego postać.

Niewielkie, ale wystarczające do tego, żeby przez nie wyskoczyć. Wybrał to znajdujące się bliżej i puścił się ku niemu szybkim biegiem.

Prawie mu się udało. Chociaż pilnowanie wszystkich drzwi wyjściowych z szybu nie było dla Qasaman sprawą najważniejszą, nie znaczy, że w ogóle o tym zapomnieli. Co prawda odgłos skoków biegnącego Justina nie pozwolił mu usłyszeć ich znacznie cichszych kroków, za to ostrzegł go, mrożący krew w żyłach skrzek nadlatującego z tyłu mojoka. Justin konwulsyjnie wyrwał się w bok, odwrócił głowę... i na ułamek sekundy ujrzał tuż przed oczami ostre, zakrzywione szpony pikującego ku niemu ptaka... a potem władzę nad jego ruchami przejął nanokomputer.

Serwomotory nóg odrzuciły go pod ścianę, poza zasięg szponów, a końce piór skrzydła tylko musnęły go po twarzy. Rozwścieczony mojok przeleciał z rozpędu dalej i znów złowieszczo zaskrzeczał. W przeciwległym końcu korytarza wyrosło jak spod ziemi pięciu Qasaman z wyciągniętymi, gotowymi do strzału pistoletami, i cztery następne mojoki poderwały się do lotu w jego stronę.

Po raz drugi tej nocy na widok atakujących mojoków Justin stracił głowę. Uderzywszy plecami o ścianę korytarza, wyciągnął przed siebie poparzone ręce... i kiedy umysł sparaliżowało mu ogarniające go przerażenie, nanokomputer przemienił jego dłonie w dwie fontanny tryskające światłem z laserów małych palców.

Doszedł do siebie po kilku sekundach i stwierdził, że wszystkie mojoki są martwe. W drugim końcu korytarza zobaczył nieruchome ciała trzech Qasaman. Ci, którzy przeżyli — o ile w ogóle byli tacy — zniknęli.

Są świadkami tego, do czego może być zdolny Kobra — pomyślał Justin, ale dopiero znacznie później. Na razie zerwał się z podłogi i ruszył biegiem w stronę okna, starając się z nim rozprawić za pomocą broni sonicznej. Już po kilku sekundach określił i dostroił sygnał swojego generatora do częstotliwości rezonansowej okna a później powiększał jego amplitudę... i kiedy zostały mu już tylko dwa kroki, szkło prysnęło, wypadając wraz z większą częścią ramy. Jeszcze przyspieszywszy, Justin uniósł ręce i wyskoczył przez powstały otwór głową naprzód.

Trzy piętra pod nim, przed jasno oświetlonym wejściem do wieży, kręciło się wielu Qasaman, a ich cienie układały się na ziemi w dziwaczne wzory. Justin spostrzegł to wszystko w mgnieniu oka, ale zanim zdał sobie sprawę z tego, że najprawdopodobniej uda mu się wylądować poza oświetlonym obszarem, nanokomputer przyciągnął mu ręce i nogi do tułowia. Odruchowo napiął mięśnie, jak gdyby chciał mu się przeciwstawić, ale kiedy po kilku sekundach lotu jego kończyny wróciły na swoje miejsca, stwierdził, że i tym razem obliczenia nanokomputera okazały się bezbłędne. Przyjąwszy ponownie prawidłową, poziomą postawę, uderzył stopami o ziemię, a serwomotory przejęły nie tylko całą siłę uderzenia, ale zrównoważyły starający się go przewrócić moment pędu. W chwilę potem Justin biegł w stronę budynku znajdującego się dokładnie naprzeciwko wieży, w której starano się go uwięzić. Znalazłszy się przy nim, zakręcił i przemknął przed jego frontem, kierując się do najbliższego rogu, a potem skręcił...

Nie miał najmniejszej okazji stwierdzić, gdzie się znajduje, lecz kiedy przyspieszał, zorientował się, że ten sam wszechświat, któremu zawsze ufał, zawiódł go raz jeszcze. Zobaczył, że ulica ze stojącymi po obu jej stronach domami urywa się nagle, a przed nim zaczyna się rozciągać identyczna, porośnięta trawą, wolna przestrzeń, jaka otaczała Sollas. Autokar, którym go tu przywieziono, musiał przejechać niemal przez całe miasto, ergo Justin znajdował się teraz na południowo-zachodnim skraju Purmy.

Biegł zatem w stronę przeciwną do tej, w którą powinien biec, chcąc dostać się do miejsca uwięzienia Cerenkova i Rynstadta... z każdym krokiem oddalał się też coraz bardziej od "Dewdrop".

Powinienem zawrócić — pomyślał. — Zakręcić, przebiec dwie lub trzy przecznice, a później pobiec z powrotem, ale inną ulicą.

Jego umysł nakazywał jednak nogom nadal biec przed siebie, a kiedy przekroczył granicę między miastem a porośniętą trawą łąką, zdał sobie sprawę z

tego, że żadna siła we wszechświecie nie potrafiłaby zmusić go do powrotu. Po zostawił za sobą mojoki, a paraliżujący umysł strach przed ich szponami przerażał go jeszcze bardziej niż same szpony.

Jego ojciec stawiał czoło całej armii Troftów i poradził sobie z nimi bez mrugnięcia okiem, a on, jego jedyny syn, który został Kobrą, okazał się podłym tchórzem.

Miasto pozostało w tyle, ale kiedy powiększył czułość wzmacniaczy wzroku, zobaczył, że las rosnący wzdłuż drogi do Purmy skręca w tym miejscu ostro na południe. Dalmierz wzmacniaczy powiedział mu, że odległość od jego skraju przekracza kilometr... o wiele za dużo, jeżeli chciał tam zdążyć, zanim Qasamanie puszcza się za nim w pościg. Obejrząwszy się za siebie, Justin zwolnił, a później się zatrzymał. Położył się na brzuchu w wysokiej, sięgającej kolan trawie i zaczął obserwować skraj miasta.

Nie zauważył jednak niczego, co świadczyłoby o tym, że ktoś go ściga. Czy sądzili, że skierował się na pomoc, jak powinien? A może nie zorientowali się nawet, że uciekł z więzienia?

Nie było sposobu, by to rozstrzygnąć... a zresztą po przeżyciach ostatnich kilkunastu minut właściwie niewiele go to obchodziło. Wiedział, że bez względu na to, co zrobi, Cerenkov i Rynstadt zapewne i tak nie żyją, o ile nie uwolnił ich przedtem Pyre. Jeśli tego nie zrobił, bez względu na to, jak szybko do nich dotrze, w miejscu ich uwięzienia będzie roiło się od qasamańskich strażników.

Jego rany i obrażenia pulsowały zarówno ostrym, jak i tętym bólem, ale nie przejmował się nimi tak bardzo, jak ogarniającym go zmęczeniem. Powoli, lecz nieubłaganie powieki zaczęły mu się zamykać, głowa opadła na ramię, a dławiące go uczucie wstydu znalazło jedyne możliwe ukojenie.

Zasnął.

## ROZDZIAŁ 5

Po raz trzeci w ciągu ostatnich kilku minut Pyre ujrzał nadjeżdżający z przeciwnika samochód i po raz trzeci napiął wszystkie mięśnie, ale zmusił się do zachowania spokoju. Samochód minął go, nawet nie zwolniwszy, a Kobra odechnął z prawdziwą ulgą.

Ulgą przynajmniej tymczasową. O ile dobrze pamiętał przebieg ulic w Sollas, znajdował się zaledwie o dwa lub trzy domy od miejsca, do którego przed tygodniem zabrano Joshuę i pozostałych na spotkanie z burmistrzem Kimmeronem. Wędrówka Pyre'a dowodziła, że na razie nikt z Qasaman nie liczył się z możliwością dotarcia któregokolwiek z Aventinian do centrum miasta, ale było równie prawdopodobne, że tubylcy mogą dowiedzieć się tego w każdej chwili. Otoczenie ratusza musiało być patrolowane przez żołnierzy; poza tym wielu ludzi załatwiało tam swoje sprawy, zwłaszcza teraz, kiedy inni przedstawiciele tej rzekomo miłującej pokój społeczności toczyli wojnę z "Dewdrop". Pyre wiedział, że bezpośrednia konfrontacja, bez względu na siłę ognia, jaką dysponują Kobry, musiałaby kosztować życie wielu ofiar. I to po obu stronach.

Na razie jednak nie potrafił wymyślić niczego lepszego. Minął kilka zaparkowanych samochodów, ale zajrzawszy do środka, upewnił się, że ich mechanizmy napędowe zostały zablokowane, a on nie miał pojęcia, w jaki sposób mógłby je uruchomić. Mógł przeskakiwać z dachu na dach, lecz w miarę zbliżania się do celu stawało się to coraz bardziej ryzykowne, bo coraz więcej uszu mogłoby usłyszeć stłumiony łoskot jego lądowania i więcej oczu zobaczyć, jak to robi. Gdyby miał coś w rodzaju bomby zegarowej, mógłby wówczas odwrócić uwagę wszystkich, detonując ją automatycznie o kilka budynków od ratusza, ale żaden przedmiot, którym dysponował, nie nadawał się na bombę. Może materiał wybuchowy w pociskach do pistoletu, jaki zabrał zabitemu Qasamaninowi? Z pewnością był bardzo silny i musiało go być dużo... nie dałoby się zabić zwierzęcia wielkości bololina, gdyby za wystrzeliwanym pociskiem nie kryła się naprawdę spora siła.

Bololina...

W głowie zaświtał mu jakiś pomysł. Rozejrzawszy się, by się upewnić, że nikt go nie obserwuje, Pyre odszukał nieoświetlony fragment muru i zaczął się po nim wspinać.

Kiedy dotarł na dach, nie znalazł na nim tego, czego szukał, ale rzut oka na sąsiednie pozwolił mu dojrzeć właściwe miejsce o dwa domy dalej. Dokonał więc dwóch skoków z dachu na dach i po chwili przykucnął obok dosyć dużej, pomalowanej na żółto prostopadłościennej skrzynki wyposażonej w wielką tubę.

Syreny alarmu przeciwbololinowego.

Lasery małych palców bez trudu poradziły sobie z zamkiem skrzynki i po kilku chwilach Pyre przebierał ostrożnie palcami pośród płataniny przewodów i różnych elementów elektronicznych, znajdujących się w środku. Wiedział, że najlepszym sposobem uruchomienia takiego urządzenia byłoby skorzystanie ze źródła energii budynku, na którym je zamontowano, ale był także pewien, że wyłącznik znajduje się na samym dole i zapewne jest niedostępny... ale jeżeli Qasamanie byli tak samo przezorni, jak w innych przypadkach...

Okazało się, że byli. Awaryjny akumulator syreny zajmował prawie jedną czwartą objętości skrzynki.

Pyre zaczął przyglądać się drodze, którą biegły przewody, i po kilku minutach miał gotowe rozwiązanie. Należało tylko przeciąć główny kabel zasilający, żeby akumulator — i co ważniejsze, awaryjny wyłącznik — mógł uruchomić całe urządzenie. Kłopot w tym, że wyłącznik akumulatora zaprojektowano w sposób umożliwiający zwieranie go tylko za pomocą sygnału radiowego. Oznaczało to, że Pyre musi wymyślić jakąś inną metodę na to, żeby urządzenie zadziało.

W czasie, kiedy przecinał przewody i dokonywał niezbędnych zmian, wymyślił taką metodę. Miał nadzieję, że okaże się skuteczna.

Zajął mu jednak prawie cały kwadrans, zanim wszystko dokładnie połączył, ustawił i prowizorycznie zamocował na właściwych miejscach. Później, otarłszy pot z czoła, przez chwilę się rozglądał. Ratusz... to będzie zapewne ten budynek. Obejść go i znaleźć inny dom, na dachu którego możnaby zaczekać... tamten.

Skrzywił się, spojrzawszy na zegarek. Czas uciekał, a z każdą kolejną minutą wzrastało prawdopodobieństwo, że Qasamanie zabiją kogoś z zakładników albo rozpoczną akcję przeciwko "Dewdrop". Zszedłszy cicho po ścianie domu, zaczął biec opustoszałymi ulicami.

Szczęście go nie opuszczało. Po następnym kwadransie znalazł się na wybranym uprzednio dachu i stwierdził, że może działać. Wokół znajdującego się o

dwa domy dalej ratusza, sądząc po docierających do Pyre'a stłumionych odgłosach kroków, musiało przebywać wiele załatwiających tam swoje sprawy osób. O cztery budynki za ratuszem Pyre dzięki wzmacniaczom wzroku widział skrzynkę syreny alarmu przeciwbololinowego i spoczywającą teraz na niej elektroniczną lornetkę, którą zabrał pierwszemu zabitemu Qasamaninowi. Nabrawszy głęboko powietrza, Pyre nastawił celownik systemu naprowadzania na cel, a później uniósł lewą nogę i skierował na lornetkę strumień światła z przeciwpancernego lasera, ale o tak małej mocy, żeby jej nie zniszczyć. Światło przeszło przez soczewki i wyzwoliło impuls elektryczny, który dzięki przełączonym przewodom lornetki dotarł nie do jej obwodów elektronicznych, a do awaryjnego włącznika akumulatora...

Ciszę nocną rozdarło nagle głośne wycie syreny alarmowej.

Pyre tylko na to czekał. Wciąż pamiętał o zagrożeniu ze strony osób, które mogły go usłyszeć, ale w ciągu najbliższych kilku chwil nie było żadnej szansy, by ktokolwiek ze znajdujących się w dole Qasaman wychwycił odgłos jego lądowania. Podbiegł do krawędzi dachu i skoczył, przez chwilę obserwując biegnących w dole Qasaman. Opadł na dach sąsiedniego domu, przebiegł po nim jak najszybciej na drugą stronę i zacisnąwszy w myślach kciuki, ponownie skoczył.

Nie na dach samego ratusza, ale w miejsce znajdujące się mniej więcej w połowie wysokości ściany bocznej — po to, żeby osłabić siłę uderzenia nogami o ulicę. Budynek ratusza miał sześć pięter, a widoczne w wielu oknach światła świadczyły wymownie o tym, że w środku się coś dzieje. Pyre wiedział, jak bardzo ryzykuje, zeskakując na ulicę. Pamiętał jednak, że biuro burmistrza mieści się na parterze, i zakładał, biorąc pod uwagę qasamańską ostrożność, że wszystkie ważniejsze pomieszczenia znajdują się w podziemiach.

Gdy znalazł się na ulicy, nie miał czasu na żadne zastanawianie się czy planowanie. Większość spośród blisko trzydziestu Qasaman znajdujących się w zasięgu wzroku, kierując się sygnałem syreny, spieszyła w inną stronę niż on, ale dwaj strażnicy, stojący po obu stronach drzwi wejściowych, nie ruszyli się z miejsc... a widoczne na ich twarzach osłupienie nie udzieliło się ich mojom.

Ptaki nie zauważyły jednak wyciągniętego pistoletu i chociaż poderwały się do lotu, nie mogły zdecydować się na atak. Pyre namierzył je celownikiem systemu naprowadzania na cel i zestrzelił w locie, a kiedy strażnicy sięgnęli w końcu po broń, zastrzelił ich także. Odległość dzielącą go od drzwi pokonał w trzech długich susach i wślizgnął się do środka.

Nie zwracał większej uwagi na drogę, jaką wcześniej przebyła grupa Cerenkova, kiedy znalazła się w tym samym, co on, miejscu, ale na szczęście nie musiał

dokonywać wyboru. Podążył przed siebie głównym korytarzem do pierwszego skrzyżowania, gdzie skręcił w prawo. Na następnym skręcił w lewo, kierując się ku centralnej części budynku — a tam, w odległości nie większej niż dziesięć metrów przed sobą, zobaczył dwóch odzianych w liberie strażników, których widział już wcześniej, kiedy grupa zwiadowcza wchodziła do gabinetu Kimmerona.

Marszcząc brwi, popatrzyli na niego w osłupieniu, ale kiedy próbowali sięgnąć po broń, Pyre zastrzelił ich, a także ich mojoki, jeszcze zanim miały czas oderwać szpony od naramienników i wzbić się w powietrze. Zebrawszy wszystkie siły, pchnął oba skrzydła drzwi i wszedł do środka, trzymając ręce gotowe do strzału.

Widok, jaki ukazał się jego oczom, był niemal dokładnym powtórzeniem sceny, jaką widział Joshua — z dwoma istotnymi wyjątkami. Po pierwsze, te same opary, które przedtem tak zadziwiły i jego, i członków grupy zwiadowczej, były teraz tak intensywne, że poczuł, iż się dusi. Po drugie, wyściełany tron burmistrza był pusty.

Kilka dobrych chwil minęło, zanim Pyre odzyskał oddech i zdolność mowy. Dla Qasaman siedzących przy niskich stolikach wokoło tronu te kilka sekund zdecydowało o życiu. Pyre nie wiedział, czy opary tak bardzo zwiększyły jasność ich umysłów, czy sami urzędnicy byli ludźmi wyjątkowo spostrzegawczymi — w każdym razie, zanim miał czas zareagować, wszyscy zorientowali się, kim jest, i wybiegli z pomieszczenia. Sala przyjęć wyglądała tak, jak gdyby nigdy nikogo w niej nie było.

— Niech to diabli — mruknął pod nosem Pyre. Zauważył, że opary miały nie tylko dziwny zapach, ale i smak. Uderzywszy dwukrotnie górnymi zębami o dolne, nastawił czułość wzmacniacza słuchu na maksimum, wstrzymał oddech... i po chwili usłyszał dobiegający go spod którejś z wiszących w sali zasłon odgłos cichego, urywanego oddechu.

A więc jednak nie wszyscy wybiegli z pomieszczenia. Czy maruder był uzbrojony? To możliwe... ale żaden z pozostałych urzędników nie próbował użyć broni, a z tego można było wyciągnąć bardzo ciekawe wnioski. Ale nawet jeżeli miałyby się okazać, że bumelant obawiał się sięgnąć po broń, Pyre nie miał najmniejszej chęci tropić go w tym labiryncie, kierując się ledwo słyszalnym szmerem jego oddechu. Może istniał jakiś inny sposób. Jeżeli mojoki naprawdę reagowały na sam widok wyciągniętej broni, jak dowiodło tego ich zachowanie podczas pierwszego spotkania grupy kontaktowej z Qasamanami tuż po zejściu ludzi z pokładu "Dewdrop"...



Trzymając lewą dłoń w pogotowiu, Pyre sięgnął prawą do olstra na biodrze i wyciągnął pistolet zabrany pierwszemu zabitemu Qasamaninowi.

Odgłos ocierania się stali o skórę zabrzmiał mu w uszach niczym huk gromu, a pojedynczy grzmot skrzydeł mojoka wystarczył, by określić kierunek. Prosto przed nim i trochę na lewo... skoczywszy w tamtą stronę i ominąwszy po drodze kilka zasłon, Pyre znalazł się oko w oko z przycupniętym na podłodze przerażonym człowiekiem.

Przez sekundę patrzyli sobie w milczeniu prosto w oczy. Pyre zwracał szczególną uwagę na mojoka, ale ptak, jak gdyby zdając sobie sprawę z tego, że podejmowanie się do lotu byłoby samobójstwem, nie ruszał się z naramiennika. Przesuwając wzrok z ptaka na twarz Qasamanina, Pyre wymówił jedyne słowo, jakie potrafił powiedzieć po qasamańsku:

— Kimmeron.

Tubylec, widocznie źle go zrozumiałwszy, potrząsnął energicznie głową.

— Sibbio — wykrztusił, uderzając się kilka razy w piersi otwartą dłonią i nie spuszczać wzroku z pistoletu, który Pyre nadal trzymał w dłoni. — Sibbio.

Pyre skrzywił się i spróbował jeszcze raz.

— Kimmeron. Kimmeron? — zapytał, machając wolną ręką w stronę pustego tronu na środku sali.

Qasamanin dopiero teraz go zrozumiał. Mimo spowijającego ich obu dymu, Pyre dostrzegł, że wyraźnie zbladł. Nie wie, gdzie jest burmistrz? — pomyślał. — Czy wie, lecz miejsce jego pobytu jest pilnie strzeżoną tajemnicą? Podejrzewał, że prawdą jest raczej to drugie: strój Qasamanina wydawał się zbyt ozdobny, żeby jego właściciel miał być tylko zwyczajnym urzędnikiem. Zbliżywszy się o jeden, ale bardzo długi krok, Pyre surowo popatrzył tubylcowi w oczy.

— Kimmeron — powiedział tonem, w którym kryła się niedwuznaczna groźba.

Wystraszony Qasamanin spojrzał w milczeniu na Pyre'a, a potem wstał.

Zamaskowany wlot zapadni znajdował się tuż obok. Kiedy Pyre zastanawiał się nad tym później, dziwił się, że sam nie wpadł na to wcześniej: dokładnie przed wyściełanym tronem. Sibbio nacisnął ukrytą dźwignię i drzwi zapadni ustąpiły. Pyre popatrzył w głąb mrocznego otworu i zobaczył pod podłogą spiralnie zakrzywioną zjeżdżalnię, za pomocą której wysyłano pasażerów do podziemnego bezpiecznego pomieszczenia, strzeżonego niewątpliwie przez uzbrojonych strażników.

Umieszczenie urządzenia wskazywało, że tą drogą usuwano sprzed oblicza burmistrza także wszelkich niewygodnych interesantów. Oznaczało to, że czekający na dole strażnicy są przygotowani na wszelkie niespodzianki. Pyre nie umiał jednak wymyślić od ręki niczego innego... a teraz, kiedy zapadnia została otwarta, nie było sensu dłużej się zastanawiać. Spojrzawszy po raz ostatni na mojoka siedzącego na ramieniu Sibbia, Pyre zsunął się w głąb szybu.

Zjeżdżał bez najmniejszych przeszkód. Część spiralna zaczynała się dosyć wcześnie i stopniowo stawała się coraz mniej stroma, tak że pokonywał jej ostatnią część niczym saneczkarz zjeżdżający z niezbyt stromej górki. Cała podróż trwała zresztą krócej, niż oczekiwał, i zaledwie miał czas zauważyć zbliżający się do niego prostokąt jaśniejszego światła, kiedy przebił się przez zasłaniającą wyłot zasłonę i wylądował na plecach na gigantycznym materacu zrobionym ze sprężystej pianki. Niestety, podczas lądowania wypuścił z dłoni pistolet. Uniósł głowę i zmrużył oczy, starając się przystosować je do jaśniejszego oświetlenia...

I do widoku postaci stojących przed nim z wymierzonymi w niego pistoletami.

Pięciu — zorientował się, kiedy zamarł bez ruchu. Strażnik stojący najbliżej miejsca, w którym upadła broń Pyre'a, schylił się, podniósł ją i wsunął do własnego, pustego w tej chwili olstra.

— Nie ruszaj się! — odezwał się Qasamanin stojący w środku. Wymówił te słowa po angielsku, chociaż z wyraźnym obcym akcentem.

Pyre popatrzył mu prosto w oczy, a później niby od niechcienia przeniósł wzrok na pozostałych, stojących po jego obu stronach strażników.

— Chcę rozmawiać z burmistrzem Kimmeronem — powiedział do tego, który odezwał się przedtem po angielsku, a który widocznie pełnił tu funkcję rzecznika.

— Nie wolno ci zrobić żadnego ruchu, zanim nie przekonamy się, czy nie masz przy sobie broni — odparł tamten.

— Czy Kimmeron jest tutaj? — zapytał Pyre. Rzecznik zignorował pytanie. Zamiast tego powiedział coś do swoich ludzi. Dwaj, stojący obok niego, wręczyli swoje pistolety pozostałym. Później uklękli po obu stronach Pyre'a... a leżący na materacu Kobra wbił pięty w miękką piankę.

Pianka się ugięła, ale uderzenie było poparte całą siłą serwomotorów nóg i w chwilę później Kobra szybował w górze, obracając się wokół własnej osi. Któryś Qasamanin wypalił z pistoletu — za późno... a potem nie było już czasu na jakąkolwiek reakcję, kiedy Pyre uruchomił lasery małych palców wymierzone w

cele, które podał systemowi naprowadzania wówczas, gdy leżał na materacu i przyglądał się strażnikom. Przez kilka chwil pokój jarzył się światłem... a kiedy ciało Pyre'a przestało się obracać, cała piątka Qasaman leżała na podłodze w różnych stadiach szoku, a ich stopione od żaru pistolety były porzucane w rozmaitych miejscach pośród szczątków pozabijanych mojków.

Pyre wstał i rozejrzał się, szukając rzecznika.

— Bez trudu mogłem was wszystkich zabić — odezwał się spokojnie. — Ale nie przyszedłem tu po to, by rozprawić się z Kimmeronem...

Bez żadnego ostrzeżenia czterech pozostałych zerwało się z podłogi i skoczyło w stronę Pyre'a.

Pozwolił im się zbliżyć, ale kiedy pierwszy znalazł się w zasięgu ręki, Kobra wyciągnął ją przed siebie i z całej siły uderzył otwartą dłonią w pierś napastnika. Rozległ się syk wypuszczanego powietrza i głośny trzask pękających kości, a Qasamanin odskoczył o dwa metry i zwałił się bez czucia na podłogę.

Pozostali trzej zatrzymali się jak wryci, a Pyre zobaczył pojawiające się na ich twarzach przerażenie zmieszane z pewną dozą szacunku. Co innego być rozbrojonym przez magiczne, pozornie nieszkodliwe błyski światła — pomyślał — a co innego widzieć na własne oczy skutki działania brutalnej siły. Albo samemu się z nią zetknąć, jeżeli już o tym mowa. Chwilowe odrętwienie, jakie czuł w dłoni, powoli zaczynało przemieniać się w pulsujące bólem mrowienie. Pyre był jednak pewien, że strażnik będzie się czuł o wiele gorzej, kiedy oprzytomnieje. O ile w ogóle przeżyje.

Wzrok Pyre'a powędrował jeszcze raz ku twarzy rzecznika Qasaman.

— Nie przyszedłem tu po to, żeby zabić burmistrza Kimmerona, chcę z nim porozmawiać — odezwał się cicho i z takim spokojem, na jaki tylko mógł się zdobyć. — Zaprowadź mnie do niego. I to zaraz.

Rzecznik przesunął językiem po wargach i spojrzął w miejsce, w którym jeden z jego ludzi zajmował się teraz zranionym towarzyszem. Później, zerknąwszy znów na Pyre'a, kiwnął głową.

— Chodź za mną — odparł.

Powiedziawszy coś jeszcze do swoich ludzi, odwrócił się i skierował ku drzwiom widocznym w przeciwległej ścianie. Pyre podążył za nim, a dwaj pozostali Qasamanie udali się w jego ślady.

Przeszli przez drzwi do następnego pokoju, a kiedy Pyre znalazł się w środku, na ułamek sekundy uległ déjà vu. Ujrzał bowiem taki sam wyściełany tron

otoczony niewielkimi stolikami, jakie znajdowały się w sali przyjęć na górze. Ale sala była mniejsza i zamiast rozwieszonych zasłon zobaczył ustawione rzędy monitorów przekazujących obrazy z różnych punktów miasta.

A pośrodku, wpatrzony w jeden z nich, siedział z nachmurzonym czołem burmistrz Kimmeron.

Kiedy Pyre i jego eskorta zbliżyli się o kilka kroków, burmistrz uniósł głowę i popatrzył na niego, a Kobra zaczekał, jak zareaguje na jego widok. Spojrzenie Kimmerona prześlizgnęło się po jego zarostcie i zmierzwionych włosach, kurtce zdjętej z ciała zabitego Qasamanina i nałożonej na ochronny kombinezon, a potem zatrzymało się na martwym mojoku zwisającym smętnie z ramienia i trzymającym się tam dosłownie na jednej nici. Podczas tych oględzin burmistrz nie zmienił wyrazu twarzy, Kobra był zdumiony bijącym z jego oczu blaskiem.

— Pochodzisz ze statku — odezwał się spokojnie Kimmeron. — Opuściłeś go, zanim otoczyliśmy go kordonem. W jaki sposób ci się to udało?

— Czary — odpowiedział zwięźle Pyre. Rozejrzał się po pokoju. Zobaczył w nim kilkunastu Qasaman, z których większość patrzyła teraz na niego. Wszyscy mieli, rzecz jasna, pistolety i mojoki, ale żaden nie sprawiał wrażenia palącego się do użycia broni. — To wasz podziemny ośrodek dowodzenia? — zwrócił się do Kimmerona.

— Jeden z wielu — odparł tamten, kiwnąwszy głową. — Mam takich znacznie więcej. Niewiele zyskasz, jeżeli go zniszczysz.

— Prawdę mówiąc, nie przybyłem tu po to, by cokolwiek niszczyć — rzekł mu Pyre. — Zależy mi przede wszystkim na uwolnieniu moich towarzyszy.

Kimmeron skrzywił się pogardliwie.

— Wygląda na to, że nie umiecie wyciągać oczywistych wniosków — mruknął. — Czy śmierć waszego wysłannika niczego was nie nauczyła?

Pyre poczuł w ustach dziwną suchość.

— Jakiego wysłannika? Masz na myśli któregoś z członków grupy?

Przez chwilę Kimmeron spoglądał na niego, marszcząc brwi. Później jego twarz się rozjaśniła, kiedy zrozumiał.

— Aha — powiedział. — A więc zagłuszanie waszych sygnałów radiowych okazuje się skuteczne, przynajmniej jeżeli chodzi o ciebie. Rozumiem. Nie wiesz zatem, że wasz człowiek o nazwisku Winward opuścił statek bez naszej zgody i został przez nas zastrzelony?

Winward? Czyżby Telek zaczęła wprowadzać w życie swój plan uwolnienia zakładników siłą?

— Dlaczego go zabiliście? — niemal krzyknął. — Powiedział pan przecież, że był tylko wysłannikiem.

— Jesteście wszyscy winni śmierci ośmiu niewinnych naszych ludzi w Purmie i sześciu tutaj. Szpiegowaliście nas i zabijaliście, a my karzemy takie przestępstwa śmiercią.

Pyre popatrzył na niego w osłupieniu, nie mogąc się pogodzić z tym, co usłyszał. Winward zabity... zastrzelony bezlitośnie jak kolczasty lampart, najprawdopodobniej bez ostrzeżenia. Dlaczego więc nie strzelają i do mnie? — pomyślał. — Dlatego, że się mnie boją? Wiedzą, że mimo wszystko nie uda się im mnie zaskoczyć? Czy z jakiegoś innego, o wiele bardziej praktycznego względu? Może zabili Winwarda, a po tym, co się stało w Purmie — bez względu na to, co to było — chcą mieć żywego Kobrę, żeby go dokładnie zbadać?

Powiódł wzrokiem po sali i zatrzymał spojrzenie na monitorach, w które wpatrywał się przedtem Kimmeron. Pokoje, korytarze, widoki miasta i okolic... trzy ekrany ukazywały widok "Dewdrop". Kamery muszą być umieszczone na szczycie wieży kontrolnej — pomyślał. — Ciekawe, czy są to obrazy przekazywane na żywo? Jeśli tak, wciąż istnieje szansa ucieczki. Kadłub statku sprawia wrażenie nie uszkodzonego...

— Na razie postanowiliśmy cię nie zabijać — odezwał się Kimmeron, przerywając tok jego myśli. — Ty i twoi koledzy, Cerenkov i Rynstadt, nie możecie uciec. Mówię ci o tym tylko dlatego, żebyś nawet nie próbował, bo wtedy musielibyśmy zabić cię wcześniej, niż chcemy.

— Nasz statek może odlecieć — powiedział Pyre, wskazując monitor. — A wówczas jego załoga powiadomi naszych ludzi o tym, że uwięziliście ich przedstawicieli.

— Wasz statek także nie odleci. — Kimmeron powiedział to spokojnie, ale z niezwykłą pewnością siebie. — Wymierzone w niego granatniki i haubice zniszczą go, zanim zdąży osiągnąć koniec pasa startowego.

Ale "Dewdrop" jest statkiem pionowego startu — pomyślał Pyre. — Czy to ma jakieś znaczenie? Trudno rozstrzygnąć... ale jeżeli wziąć pod uwagę paranoję Qasaman, lepiej nie przywiązywać do tego zbyt dużej wagi.

— Mimo to chciałbym porozmawiać z panem na temat uwolnienia naszych ludzi — rzekł tylko po to, żeby powiedzieć cokolwiek.

Kimmeron uniósł brwi.

— Mówisz jak głupiec — stwierdził. — Mamy ciebie i ciało Winwarda, po zbadaniu którego z pewnością się dowiemy, skąd bierze się wasza rzekomo magiczna siła.

— O naszej magii nie dowiecie się niczego, badając zwłoki — skłamał Pyre.

— Ale ty żyjesz — odparł rzeczowo tamten. — Z Cerenkova i Rynstadta wyciągniemy informacje o waszej kulturze i technice, a to pozwoli nam przygotować się na każdy przyszły atak, jaki zechcą wymierzyć przeciwko nam wasi ludzie. A w trakcie badań waszego statku, bez względu na to, czy całego, czy tylko jego szczątków, dowiemy się jeszcze więcej, może nawet tyle, że znów będziemy mogli odbywać podróże międzygwiazdne. Wszystko to mamy w zasięgu ręki... cóż mógłbyś zaoferować nam cenniejszego, żeby skłonić nas do zgody na uwolnienie waszych ludzi i ich odlot?

Pyre nie potrafił znaleźć na to odpowiedzi — tym bardziej, że przyszło mu do głowy, iż metody pozwalające nauczyć się mówienia po angielsku w ciągu zaledwie tygodnia mogą naprawdę umożliwić rekonstrukcję "Dewdrop" i jej urządzeń ze szczątków, które zostałyby po ataku.

Oznaczało to, że wszystkie jego waleczne czyny były teraz — jak zresztą od samego początku — skazane na niepowodzenie. Cerenkovowi i Rynstadtowi nie mógł pomóc, a co więcej, sam spędzi ostatnie chwile życia zamknięty w tym miejscu, w podziemnym ośrodku dowodzenia burmistrza Kimmerona. Gdyby ja coś się dowiedział, które urządzenie służy do porozumiewania się z wieżą kontrolną... gdyby w jakiś sposób zniszczył je albo zakłócił jego pracę... a później zdołał powiadomić "Dewdrop" o tym, co się dzieje, i nakazać załodze natychmiastowy start... i zrobił to wszystko, zanim rzucą się na niego wszyscy naraz i przechylą szalę zwycięstwa na swoją korzyść...

Kiedy rozważał praktycznie zerowe szansę powodzenia każdego etapu tego planu, wszechświat złożył mu w darze mały prezent. Niewielki prezent, nie większy od najmniejszej szansy... ale dojrzał go, podczas gdy burmistrz go nie spostrzegł, i z prawdziwą satysfakcją obdarzył Kimmerona szerokim, promiennym uśmiechem.

— Co mógłbym panu zaoferować, panie burmistrzu? — powiedział pogodnie. — Szczerze mówiąc, bardzo wiele... ponieważ to wszystko, co jeszcze przed chwilą trzymał pan w rękach, zaczyna właśnie w tej chwili wyślizgiwać się panu z palców.

Kimmeron zmarszczył brwi... i kiedy nabierał powietrza, żeby odpowiedzieć, Pyre nagle usłyszał, jak stojący za jego plecami strażnik uczynił to samo, tylko o

wiele głośniej. Kimmeron zerknął za siebie, a kiedy popatrzył znów w oczy Pyre'a, na jego bladej twarzy malowało się przerażenie.

— Jak...? — zaczął i urwał.

— Jak? — powtórzył za nim Pyre i przeniósł wzrok z twarzy Kimmerona na stojące w pobliżu niego monitory. Na ekranach kilku było widać wieżę kontrolną lotniska i jej najbliższe otoczenie.

A raczej taki obraz można było zobaczyć jeszcze przed chwilą. Teraz jednak na wszystkich ekranach było widać tylko jednostajną, martwą szarość.

— Jak? Bardzo prosto, panie burmistrzu — dodał, tłumiąc w sobie dreszcz, jaki przeszedł go na wspomnienie chwil z czasów młodości. Jak MacDonald kiedyś tamtego pamiętnego dnia, w którym wywarł zemstę na Challinorze i jego ludziach... — Wygląda na to, że Winward ożył.

## ROZDZIAŁ 6

Wszystko wydarzyło się tak nagle, tak niespodziewanie, że Winward nawet nie miał czasu na reakcję. Skręcił właśnie za róg wieży kontrolnej, eskortowany przez grupę qasamańskich strażników, i rozglądał się dyskretnie, czy nie dojrzy w samym budynku albo sąsiedztwie ukrytych stanowisk ogniowych. Zastanawiał się, co powinien powiedzieć, kiedy znajdzie się przed obliczem tego, do którego go prowadzili. Szedł spokojnie, nie podejrzewając niczego... a wtedy dowódca grupy mruknął coś i odwrócił się w jego stronę... lecz zanim Winward miał czas chociażby zobaczyć, co chce zrobić, ciemność eksplodowała z hukiem i błyskiem światła, a coś ciężkiego jak młot kowalski uderzyło go w sam środek piersi, powaliło go na wznak i sprawiło, że słyszał tylko cichnący odgłos śmiertelnego strzału...

Ciemności panujące w jego mózgu rozpraszały się bardzo wolno i po upływie czasu, który wydał mu się kilkoma godzinami, zaczął uświadamiać sobie, że nie zginął. Z wolna zaczęła powracać także świadomość innych doznań. Pierwszy pojawił się ból... tępy, pulsujący ból w klatce piersiowej i ostry, kłujący w oczach i twarzy — a zaraz po nim przyszły inne doznania. Zaczął uświadamiać sobie, że słyszy różne dźwięki: odgłosy czyichś kroków, otwierania i zamykania drzwi, strzępki niezrozumiałych rozmów. Zorientował się, że leży na plecach i miarowo się kołysze, jak gdyby go niesiono. Od czasu do czasu czuł także, pod kombinezonem spływają mu po boku ciepłe krople jakiejś lepkiej cieczy.

Z wolna wróciła mu świadomość wszystkiego, co się stało.

Został postrzelony. Z premedytacją, złośliwie postrzelony. A teraz umierał.

Z okresu szkolenia zapamiętał zasadę, że rannego nie powinno się przenosić bez potrzeby. Postanowił więc, że i będzie leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami tak, aby nie i powiększać pulsującego bólu. Miał tylko nadzieję, że z powodu znacznego upływu krwi nie straci przytomności.

Nie stracił. Wręcz przeciwnie, z każdym następnym uderzeniem serca wydawało mu się, że może myśleć coraz jaśniej. Z każdą chwilą przybywało mu też coraz więcej sił, a do kończyn powracało czucie. Nie tylko nie umierał, ale coraz bardziej nabierał chęci do życia.



Co, u diabła? — pomyślał.

Dopiero wówczas, kiedy umysł i reszta ciała pozwoliły mu zorientować się, gdzie został ranny, zdał sobie w pełni sprawę z tego, co się stało.

Dowódca Qasaman postrzelił go w środek piersi. Mówiąc dokładnie, prosto w mostek. W mostek, który jak większość głównych kości został pokryty laminatem i dzięki temu stał się praktycznie niełamliwy.

Mniej oczywiste było to, co wydarzyło się później, ale bez większego trudu zdołał się tego domyślić. Impet pocisku musiał wyprzeć z płuc całe znajdujące się w nich powietrze, może nawet wstrzymać pracę serca, wskutek czego przez kilka następnych sekund albo minut był nieprzytomny, walcząc o przywrócenie krążenia krwi i obiegu tlenu. Twarz i oczy piekły go tak bardzo, że musiały zostać porażone resztkami materiału wybuchowego. W krótkiej jak mgnienie oka chwili uświadomił sobie, że może stracił wzrok, i to na zawsze.

Ale ta myśl nie wydała mu się w tej chwili najważniejsza. Żył i co najistotniejsze, czuł się całkiem dobrze.

A Qasamanie sądzili, że jest martwy. Drogo zapłacą za ten błąd. Zapłacą własną krwią. Najlepiej byłoby nie kazać im czekać zbyt długo. Winward może stracił wzrok, ale wzmacniacze znajdujące się wokół oczu tuż pod skórą było znacznie trudniej uszkodzić. Umieszczone we wnętrzu kości czaszki przekazywały sygnały wizyjne do nerwu wzrokowego w bezpiecznym miejscu. Nie zaprojektowano ich co prawda z myślą o zastąpieniu wzroku, ale minuta prób odbierania sygnałów o zerowym powiększeniu i minimalnej czułości wykazała, że w ten sposób będzie mógł widzieć całkiem dobrze.

Oprócz czterech tułowi i głów niosących go sanitariuszy zobaczył przesuwający się nad nim sufit. Ostrożnie, starając się zrobić to powoli, obrócił głowę o kilka stopni w prawo i w lewo. Zobaczył mijane po drodze drzwi, a później cała grupa skręciła za róg i nagle przeszła przez jedne, które miały dwa skrzydła. Winward ujrzał, że znaleźli się w pomalowanej na biało dużej sali. Znajdowały się w niej wysokie do samego sufitu, błyszczące metalowe szafy. Czterej sanitariusze złożyli go na twardym blacie stołu, a Winward przy tej okazji przekrzywił bezwładnie głowę w stronę drzwi, w prawo. Mężczyźni opuścili pokój i zamknęli drzwi za sobą, pozostawiając go samemu sobie.

Był pewien, że nie na długo. Pokój, w którym go umieszczono, niewątpliwie pełnił funkcję ambulatorium czy nawet sali operacyjnej. Na miejscu Qasaman jak najszybciej chciałby zacząć przynajmniej wstępną sekcję zwłok Kobry. Nie wątpił, że lekarze przygotowujący się do niej w którejś z sąsiednich sal pojawią się lada chwila.

Zmuszając się do kolejnego trwającego całą wieczność ruchu, Winward ustawił głowę prosto i obracał nią do chwili, aż ujrzał to, czego szukał: szklane oko soczewki panoramicznego obiektywu kamery monitora. Była umieszczona z tyłu, pod sufitem w samym kącie sali, właściwie poza zasięgiem sygnału sonicznego czy ognia laserów. Rzecz jasna, mógł wyciągnąć rękę i strzelić, ale jeżeli ktoś z Qasaman uważnie obserwuje, co dzieje się w sali, ogłosi alarm, zanim Winward zdoła wyjść przez dwuskrzydłowe drzwi na korytarz. Niewiele pomogłoby mu także użycie dookólnego sygnału sonicznego, po to, by przed zniszczeniem obiektywu wprawić go w drgania. Musiał zatem wymyślić coś, co pozwoliłoby mu odwrócić ich uwagę.

Usłyszał odgłos otwieranych drzwi i po sekundzie w zasięgu wzroku pojawiły się cztery odziane na biało postacie toczące przed sobą stojaki z różnymi instrumentami i aparaturą.

Zrobienie czegoś, co odwróciłoby ich uwagę, stało się sprawą bardzo pilną. Żołnierze i sanitariusze mogli nie zwrócić uwagi na jego powolny oddech czy fakt, że rana na piersi nadal krwawi, ale ukrycie tego przed wprawnym okiem lekarza było raczej niemożliwe. Nie może zatem pozwolić, by ktokolwiek się do niego zbliżył.

Naczelny lekarz znajdował się tymczasem o metr od niego. Wstrzymawszy oddech, Winward uruchomił generator dookólnej broni sonicznej i nastawił go na najniższą częstotliwość i amplitudę.

Zareagowali dokładnie tak, jak oczekiwał. Kiedy dotarli do nich infradźwięki, naczelny lekarz stanął jak wryty. Idąca tuż za nim kobieta z rozpędu na niego wpadła, toteż obojeomal się nie przewrócili. Pozostali także się zatrzymali i zbili się w gromadkę tuż poza strefą największej skuteczności, a z toczonych przez nich rozmów można było wywnioskować, że są tyleż zaniepokojeni, co poirytowani. Winward czekał, zagryzłszy mocno zęby, by nie okazać, jak bardzo jemu samemu przeszkadza broń soniczna. Czekał na ich następny ruch.

Podjęli decyzję dość szybko, co było jeszcze jednym dowodem na to, jak bardzo zależało ich przywódcom na szybkim uzyskaniu wyników sekcji Kobry. Naczelny machnięciem ręki nakazał pozostałym osobom, by się nie zbliżały, a sam sięgnął po leżący na tacy ostry przedmiot wyglądający na skalpel i starając się pokonać ból, podszedł z nim do stołu. Nachylił się nad Winwardem by go rozebrać.

I odskoczył ze zduszonym okrzykiem, kiedy sygnał generatora infradźwięków Kobry sparzył mu końce palców. Przebiegł obok stołu i krzycząc coś, wypadł z sali. Tuż po nim zrobiła to samo kobieta.

Kiedy drzwi za nimi się zamknęły, pozostali dwaj Qasamanie zbili się w ciasną grupę i czy to ze strachu, czy zdumienia, czy obu tych powodów naraz, zaczęli mówić do siebie cichym szeptem. Winward starał się zgadnąć, na co teraz się zdecydują, ale szarpiące nerwy drgania w połączeniu z pulsującym bólem w piersi oddziaływały na umysł zbyt mocno, żeby mógł jasno i logicznie myśleć.

I znów nie musiał czekać długo. Jeden z dwójki Qasaman udał się w niewidoczny dla Winwarda kąt sali i pojawił się po minucie z długim, zwiniętym, izolowanym kablem elektrycznym. Sięgnąwszy po nóż leżący na jednej z tac z chirurgicznymi instrumentami, zaczął ściągać izolację z końca kabla... a kiedy jego kolega dołączył drugi koniec do czegoś, co przypominało bolec uziemiający w gnieździe sieciowym umieszczonym tuż nad podłogą w ścianie, Winward z rosnącym podnieceniem zdał sobie sprawę, że oto nadarza mu się okazja, na którą tak długo czekał. Było jasne, że Qasamanie doszli do wniosku, iż ich kolega musiał zostać porażony statycznym ładunkiem elektrycznym znajdującym się na ciele Kobry, i starali się teraz usunąć jego nadmiar, odprowadzając go do ziemi za pomocą izolowanego kabla.

Po minucie byli gotowi. Pierwszy Qasamanin odłożył nóż na tacę i zatoczył kablem kilka kręgów, przygotowując się do rzucenia drugiego końca na ciało Kobry. Przesunąwszy nieznacznie rękę w bok, Winward wycelował mały palec w gniazdo sieciowe, w którym tkwił drugi koniec przewodu. W tym celu musiał trochę wygiąć ciało, ale nie miał innego wyjścia i zdecydował się zaryzykować. Kabel poszybował w powietrzu, jego koniec spadł na niego... a Winward uruchomił swój miotacz energii elektrycznej.

Z początku wyglądało na to, że mu się nie udało, bo przez przerażająco długi ułamek sekundy nitka światła posłana z lasera małego palca wypalała w powietrzu samotną ścieżkę bez jakiegokolwiek oddźwięku ze strony kondensatora miotacza umieszczonego gdzieś w głębi ciała Kobry. Dopiero po chwili ścieżka zjonizowanego powietrza osiągnęła wymaganą przewodność i powietrze rozdarł głośny huk i błysk wyładowania. Winward miał wrażenie, że hałas rozerwie mu głowę na strzępy, ale w tej samej chwili przez gniazdo popłynął prąd o zbyt dużym natężeniu i przepalił bezpieczniki... Sala operacyjna pogrążyła się w ciemności.

Winward zeskoczył ze stołu, zanim jeszcze przetoczyło się echo grzmotu, a w sekundę później znalazł się na korytarzu. Był niemal pewien, że jeżeli nawet zasilanie kamery nie zostało wyłączone równocześnie ze światłem, w ciemnościach, które zapadły potem, żaden, nawet najbystrzejszy obserwator nie mógł dostrzec nikłego błysku, kiedy Kobra otwierał dwuskrzydłowe drzwi wejściowe.

O dziwo, korytarz był pusty. Zapewne skrzydło medyczne wieży nie miało żadnego wojskowego ośrodka dowodzenia i dlatego przebywało w nim tylko niewiele osób. Idąc korytarzem, Winward rozglądał się, wypatrując klatki schodowej albo windy. W pewnej chwili postanowił otworzyć oczy.

Obraz nie uległ żadnej zmianie, strzał Qasamanina musiał go więc oślepić. Może nie będą mogli mu pomóc nawet awentiańscy lekarze.

Poczuł, że zaczyna się w nim budzić szalona wściekłość. Nawet gdyby nie liczyć ręki Yorka, był to rachunek, który powinien wyrównać jak najszybciej.

Zanim zobaczył kogoś, zdążył skrócić dwa razy z jednego korytarza w drugi, ale kiedy już ujrzał, zorientował się, że wygrał główną nagrodę na miejscowej loterii. Z otwierających się zaledwie o dziesięć metrów od niego drzwi windy, której szukał, wyszło sześciu czy siedmiu qasamańskich żołnierzy. Wśród nich ten, który do niego strzelił.

Na jego widok cała grupa zamarła z przerażenia, a Winward, mimo ograniczonych zdolności widzenia za pośrednictwem wzmacniaczy wzroku, z ponurą satysfakcją zauważył na twarzy swojego niedoszęłego zabójcy malującą się grozę zmieszaną z niedowierzaniem. Stali tak bez najmniejszego ruchu przez trzy sekundy... cztery sekundy... pięć... i nagle, wszyscy równocześnie, sięgnęli po pistolety.

Oparłszy się na prawej nodze, Winward wyciągnął poziomo lewą i wykonał piruet, omiatając całą grupę ogniem przeciwpancernego lasera.

Mojokom udało się uniknąć śmierci, ale kiedy poderwały się do lotu w szale bezsilnej wściekłości, lasery jego małych palców zestrzeliły jednego po drugim. Nie tracąc czasu na przyglądanie się zwęglonym ciałom, Winward w paru susach dopadł do zamykających się drzwi windy i wślizgnął się do kabiny. Na widok tablicy z guzikami przez chwilę się wahał... zobaczył na niej co najmniej trzy razy tyle przycisków, ile powinna mieć tak niewysoka wieża. Wiedział jednak, dokąd musi jechać. Nacisnął najwyższy guzik i wsłuchując się w szum silnika, zaczął przygotowywać się do walki.

Kiedy winda się zatrzymała i jej drzwi się otworzyły, wyszedł z kabiny i znalazł się w słabo oświetlonym pokoju, w którym ośmiu stojących przed nim Qasaman mierzyło do niego z pistoletów.

Wystrzelili wszyscy razem jak na rozkaz... ale Winwarda nie było już na linii ognia. Serwomotory nóg poderwały go w górę, obracając podczas lotu ku sufitowi w taki sposób, że uderzył w niego stopami i zagłębił się do połowy łydek w ułożone tam płytki i miękką wykładzinę, zanim odbił się od twardej powierzch-

ni. Po odbiciu wykonał jeszcze jeden półobrót, po którym wylądował na podłodze za plecami szeregu strzelców, uruchamiając lasery małych palców... wątpliwe, czy którykolwiek Qasamanin przed śmiercią zorientował się, co się stało.

Jak poprzednio, tak i teraz mojoki przeżyły śmierć swoich panów, ale Winward ponownie sprawił, że tylko o krótką chwilę. Tym razem jednak jeden z ptaków, zanim zginał, przedarł się na tyle blisko Kobry, że rozplatał mu lewe ramię na długości mniej więcej dziesięciu centymetrów.

— Niech to diabli — zaklął głośno Winward.

Oderwał rękaw bluzy i nieporadnie owiazał nim krwawiącą ranę. Przygotowana zasadzka oznaczała, że ktoś jednak ogłosił alarm... a on przecież nie słyszał wycia syreny. Rozejrzał się uważnie po pokoju, w którym się znalazł, i dopiero wówczas zrozumiał, dlaczego Qasamanie nie potrzebowali ostrzeżenia.

Na wszystkich ścianach pokoju zobaczył duże okna, znajdujące się na wysokości oczu. Musiały umożliwiać patrzenie tylko w jedną stronę, gdyż pamiętał, że kiedy spoglądał na wieżę kontrolną z zewnątrz, na tej wysokości nie miała żadnych okien. Przez jedno widział "Dewdrop", żałośnie i bezradnie stojącą na skraju pogrążającego się teraz w mroku lotniska. Pod oknami zobaczył ogromne szafy wypełnione rzędami monitorów.

Znalazł się więc w pokoju dowodzenia — głównym albo przynajmniej rezerwowym. Na kilku ekranach było widać uzbrojonych żołnierzy rozpaczliwie biegnących w różne strony. Dochodzący od strony szybu windy hałas sprawił, że zaczął nasłuchiwać. Kabina jechała znów do góry — niewątpliwie wypełniona żołnierzami, którzy byli gotowi w walce z nim poświęcić życie. Rozejrzawszy się po pokoju, zobaczył trzy kamery monitorów i strzelił do nich po kolei z laserów małych palców. Pomyślał, że Qasamanie, bardziej teraz ślepi i bezradni od niego, będą musieli zgadywać, co chce zrobić... a kiedy się będą nad tym biedzili, on w tym czasie przygotuje dla nich kilka niespodzianek.

Podszedłszy do innego okna, niż to, przez które było widać statek, przysunął twarz do samej szyby i popatrzył na dół. Zanim go postrzelono, nie miał czasu na uważne przyglądanie się wszystkiemu, obok czego go prowadzono, ale nie znał to, że niczego nie widział... i rzeczywiście, patrząc z wysoka, zobaczył ciemną sylwetkę czegoś, co przypominało haubicę kryjącą się teraz w cieniu wieży. Była gotowa do ostrzelania "Dewdrop"... pod warunkiem, że znajdzie się ktoś, kto będzie zdolny wykonać rozkaz otwarcia ognia.

Centralnie ustawiona szafa z monitorami pokazującymi te same obrazy, co na innych monitorach ustawionych w różnych miejscach sali, mogła świadczyć tylko o jednym. Pomieszczenie musiało być ośrodkiem przekazującym obrazy do

innego, znajdującego się w wieży lub gdzie indziej miejsca, w którym zainstalowano podobne monitory. Winward wysłał ładunek elektryczny miotacza energii w stronę szafy, chcąc w ten sposób uniemożliwić Qasamanom oglądanie obrazów, a później, uchwyciwszy ją mocno z obu stron, wyrwał z zamocowania w ścianie i uniósł nad głowę, starając się nie stracić przy tym równowagi. Szkło w oknie — czy cokolwiek to było — okazało się znacznie twardsze, niż sądził, toteż potrzebował pełnych piętnastu sekund, zanim pękło pod wpływem broni sonicznej Kobry. Winward był bardzo ciekaw, jak na ten deszcz szklanych odłamków zareagują żołnierze w dole. Nie zastanawiając się jednak nad tym, podszedł do wybitego otworu i cisnął utrzymaną szafą w jedną z haubic z celnością i siłą, do jakiej był zdolny tylko dlatego, że wyposażono go w urządzenia Kobry.

Jeszcze zanim ciężka szafa roztrzaskała się o haubicę, raniąc lub zabijając kilka osób z jej obsługi, usłyszał zdumione okrzyki, ale niemal w tej samej chwili zza pleców dobiegł go szelest otwierających się drzwi windy. Nie czekał, by upewnić się, ilu żołnierzy nią przyjechało. Wziąwszy rozbieg, jednym płynnym ruchem odbił się od parapetu rozbitego okna i wyskoczył. W chwili skoku uchwycił wyciągniętymi nad głowę rękami górną listwę framugi okna, zmieniając w ten sposób kierunek i prędkość kątową lotu, i po chwili wylądował łagodnie na dachu wieży.

W samym środku tłumu gapiów, którzy się tam zebrali, jak gdyby chcąc sprawdzić, co właściwie wydarzyło się u stóp wieży.

Winward nie zadał sobie trudu rozprawienia się z nimi za pomocą broni sonicznej czy laserów, ale i tak w walce z nim nie mieli najmniejszej szansy. Wymachując rękami jak ramionami napędzanego przez serwomotory wiatraka, porzrzucał ich na wszystkie strony, rannych albo tylko oszołomionych z przerażenia. Z mojokami nie poszło mu jednak już tak łatwo, ale do tego czasu zdążył przywyknąć do sposobu, w jaki podrywały się ze swoich grzęd i pikowały, toteż z perwersyjną radością patrzył, jak jeden po drugim płoną, trafione promieniami światła laserów jego małych palców.

Ta chwila nadmiernej pewności siebie mogła kosztować go życie... gdyż czterej qasamańscy żołnierze stojący obok ustawionych na dachu granatników nie opuścili stanowisk, by spojrzeć, co się dzieje na dole, i kiedy Winward ode-rwał wzrok od jatki, której był sprawcą, ujrzał cztery pikujące na niego mojoki zaledwie metr od własnej głowy.

W tym pełnym emocji ułamku sekundy uratowały mu życie skomputeryzowane odruchy, które prawidłowo rozpoznały grożące niebezpieczeństwo i odrzuciły go na bok długim, poziomym skokiem. Był to manewr, który wiele razy

stosował w walce przeciwko kolczastym lampartom... ale ani kolczaste lamparty, ani przeciwpiechotne pociski, z myślą o których go zaprojektowano, nie potrafiły zawracać niemal w miejscu, jak mojoki. Zaledwie więc zdążył wstać, kiedy pierwsze dwa ptaki znalazły się tuż nad nim... i tym razem nie miał już tyle szczęścia.

Krzyknął z przerażenia i bólu, kiedy jeden rozorał mu szponami lewe ramię, próbując równocześnie zerwać prowizoryczny opatrunek, jaki umieścił tam na ranie odniesionej podczas poprzedniej walki. Uchylił głowę ułamek sekundy wcześniej, zanim drugi mojok znalazł się przy jego twarzy, ale i tak skrzydło ptaka uderzyło go po oczach ze zdumiewającą siłą, niemal łamiąc nasadę nosa. W następnej chwili nad jego głową znalazły się pozostałe dwa mojoki. Pierwszy wylądował na prawym przedramieniu, a drugi trochę wyżej i wbił mu natychmiast dziób w policzek.

Winward wpadł w furię.

Przewrócił się na plecy i z całej siły uderzył rękami o twardą powierzchnię dachu. Usłyszał chrzęst i trzask łamiących się kości ptaków, uderzył po, raz drugi i trzeci, i robił to tak długo, aż poczuł, że zmasakrowane na miazgę szczątki mojków odzepiły się na dobre od jego ramion. Wówczas chwycił trzeciego z siedzących jeszcze ptaków za szyję i przytrzymując go drugą dłonią, z całej siły zakręcił. Usłyszał głuchy trzask, ale w tej samej chwili czwarty mojok, krążący do tej pory nad jego głową, zanurkował, starając się dobrać do jego twarzy. Winward wyciągnął obie ręce w obronnym geście, próbował pochwycić go za łapy, ale złapał go tylko za skrzydło. Po chwili uchwycił za drugie i szarpnął. Jedno oderwało się od tułowia, a Winward odrzucił i skrzydło, i szczątki żyjącego jeszcze ptaka daleko od siebie. Zanim jednak miał czas się podnieść, ujrzał błysk i usłyszał huk wystrzału. Kula świsnęła nad nim, a Winward, obróciwszy się na plecach, omiótł ogniem przeciwpancernego lasera grupę skulonych żołnierzy, a później zerwał się i pobiegł ku nim.

Niepotrzebnie. Wszyscy czterej byli martwi. Winward, dysząc ciężko, przez chwilę stał i patrzył... a kiedy atak furii minął, poczuł fale bólu, napływające z ran na obu rękach, policzku i ramieniu. Zmusiwszy się do myślenia o czymś innym, popatrzył na urządzenia, które obsługiwali zabici Qasamanie. Granatniki albo coś, co funkcjonowało w podobny sposób. Zwyczajne stalowe rury zaopatrzone w dolnej części w zamki, a obok nich granaty starannie ułożone w stosy. Z ich konstrukcji można było się domyślić, że wybuchały po zderzeniu się z przeszkodą. Zabrał kilkanaście, podszedł do krawędzi dachu mniej więcej w tym miejscu, w którym wylądował.

Wychylił się i ujrzał kilku żołnierzy wyglądających z rozbitego okna, tam rzucił więc swój pierwszy granat. Siła wybuchu wyrwała z pokoju dowodzenia kilka następnych okien, a Winward wrzucił przez nie kolejne granaty. Celował w szafy z monitorami. Później zwrócił uwagę na kryjące się na ziemi w cieniu wieży haubice i obsługujących je żołnierzy, którzy teraz strzelali do niego na oślep. Kiedy zapas granatów się wyczerpał, Kobra z zadowoleniem stwierdził, że minie bardzo doży czasu, zanim z uszkodzonych przez niego haubic będzie można znów strzelać.

Za plecami usłyszał głośny trzask otwieranej klapy wjazdu prowadzącego na dach wieży. Nie oglądając się za siebie, chwycił się krawędzi dachu i wślizgnął do pokoju dowodzenia. Jego nanokomputer skompensował zbyt duży rozpęd, jaki nadały mu serwomotory, i Winward wylądował pewnie między odłamkami szkła i szczątkami monitorów.

W pokoju panował bałagan nie do opisanego. Tam, gdzie wybuchły granaty, pozostały nieregularne, okopcone leje, a w osmalonym suficie widać było liczne dziury. Większość monitorów została zniszczona przez fruwające odłamki i kawałki metalu, a te, które ocalały, były teraz ciemne. W pokoju leżało sześć nieruchomych ciał.

To wszystko moje dzieło — pomyślał Winward, ale kiedy uświadomił sobie w pełni, czego dokonał, poczuł, jak wnętrzości przesywają mu przyprowadzające o mdłości skurcze. Pierwszy raz w życiu rozumiał, dlaczego Dominium Ludzi wygrało wojnę z Troftami... i dlaczego obywatele Dominium odwrócili się plecami od powracających z wojny wybawców.

Ostrożnie przeszedł przez pobojowisko ku drzwiom windy i nacisnął guzik przywołujący kabinę. Było to ryzykowne posunięcie, jeżeli nie przekonał Qasaman, że nie warto wysyłać przeciwko niemu całych oddziałów żołnierzy, ale w stanie emocjonalnym, w jakim się znajdował, a może z powodu upływu krwi, uważał, iż może sobie pozwolić na tę lekkomyślność. Poza tym skorzystanie z windy wydało mu się bezpieczniejsze od schodzenia po schodach.

W następnym ułamku sekundy zwrócił uwagę na jakiś błysk widoczny przez jedno z rozbitych okien. Popatrzył w tamtą stronę i ujrzał, że skraj lasu w pobliżu "Dewdrop" płonie.

Pewien, że się spóźnił, a statek znajduje się pod ostrzałem, nabrał z głośnym sykiem powietrza. Dopiero po chwili przypomniał sobie, o co prosił gubernator Telek, zanim zszedł z pokładu "Dewdrop". F'ahl usłyszał wybuchy i posłusznie omiótł skraj pobliskiego lasu ogniem laserów. Nie wiadomo, jaką szkodę wyrzą-



dziło to kryjącym się Qasamanom, ale drzewa i krzaki w lesie paliły się tak jasno, że wątpliwe, by myśleli teraz o czymś innym oprócz ucieczki.

A jeżeli już o tym mowa...

Drzwi windy się otworzyły, ukazując mu pustą kabinę, a więc wszedł do środka i nacisnął drugi od góry guzik. O dziwo, drzwi windy się zamknęły i kabina zaczęła zjeżdżać. Winward pomyślał, że zapewne urządzenia wyłączające jej zasilanie znajdują się na dachu albo na najwyższym piętrze. Kiedy kabina się zatrzymała, wysiadł i stwierdził, że znalazł się w niewielkim, opuszczanym teraz pomieszczeniu.

Opuszczonym, ale wcale nie cichym. Podobnie jak pokój na wyższym piętrze, i ten był wypełniony urządzeniami elektronicznymi i monitorami, a w głośnikach umieszczonych nad pulpitem z przełącznikami na środku pokoju słychać było głosy dwóch rozmawiających ze sobą osób.

Unieruchomiwszy drzwi windy w taki sposób, żeby móc wrócić do kabiny w każdej chwili, Winward zbliżył się do głośników i pulpitu. Domyślił się, że całość stanowi system łączności Qasaman, nadal działający, mimo że technicy na odgłos huków detonacji uznali za stosowne wynieść się gdzie pieprz rośnie. Zastanawiał się, czy mikrofon jest włączony, czy nie, ale zdecydował, że zna bardzo prosty sposób na to, by to sprawdzić.

— Czy ktoś mnie słyszy? — zawołał. Rozmowa się urwała.

— Kim jesteś? — zapytał po chwili jeden z rozmawiających poprzednio mężczyzn, mówiąc dosyć wyraźnie po angielsku.

— Michael Winward, sprawujący w tej chwili kontrolę nad wieżą — odparł.

Liczył na to, że przy odrobinie szczęścia powiedzą mu, dlaczego jeszcze jej nie sprawuje, a wówczas się dowie, jakie miejsce będzie musiał zaatakować w następnej kolejności. Link powinien być już w drodze, jeżeli zszedł ze statku, a razem pójdzie im znacznie łatwiej...

— Michael, tu Almo — usłyszał nagle głos Pyre'a. — Gdzie jesteś?

Zaskoczony, próbował aż dwa razy, zanim udało mu się odpowiedzieć.

— Almo! Gdzie jesteś?

— W podziemnym ośrodku dowodzenia burmistrza Kimmerona — odparł Almo. — Wygląda mi na to, że twoje zmartwychwstanie wywarło na nim pewne wrażenie.

Mimo bólu i ogarniającego go odrętwienia, Winward poczuł, jak na twarzy pojawia mu się ponury uśmiech. Wywarło wrażenie? Przeraziło i to nie na żarty, jeżeli Kimmeron miał chociaż trochę rozumu w głowie.

— Tak więc widzi pan, panie burmistrzu, sytuacja się zmieniła. Ja mam pana, Winward sprawuje kontrolę nad wieżą... — usłyszał słowa Pyre'a.

— Nie sprawuje kontroli nad wieżą — wtrącił się Kimmeron. — Przed chwilą rozmawiałem z jej komendantem i...

— Mogę przejąć kontrolę, kiedy zechcę — przerwał mu szorstko Winward. Zrozumiał, że Pyre negocjuje z Qasamanami warunki uwolnienia więźniów, więc im więcej atutów mu da, tym większe ma szansę powrotu na statek, zanim straci przytomność z upływu krwi i zmęczenia. — A poza tym zniszczyłem artylerię wymierzoną w "Dewdrop". F'ahl może wystartować w każdej chwili.

Odezwał się burmistrz Kimmeron. Mówił cicho, ale jego słowa dowodziły, że nie zamierza się poddawać.

— Proponujecie mi życie swoich ludzi w zamian za to, że pozostawicie przy życiu naszych obywateli. Już mówiłem, że uważam taką wymianę za niemożliwą. Wicie o nas zbyt wiele, a zatem nie możemy pozwolić na wasz odlot, nawet gdyby miało to nas drogo kosztować.

Winward nie czekał na odpowiedź Pyre'a. Podeszedł szybko do drzwi windy, odblokował je i wsiadł do kabiny. Na miejscu Kimmerona, podjąłby zapewne taką samą decyzję... ale chciał zdążyć wrócić na pokład "Dewdrop", zanim negocjacje Pyre'a utkną w martwym punkcie. Sięgał właśnie w stronę znajdującej się w kabinie błyszczącej tablicy z długą kolumną umieszczonych na niej guzików... I zamarł.

Guzików było bardzo dużo... O wiele więcej, niż potrzeba w tak niskim budynku.

Unieruchomiwszy ponownie drzwi windy, w dwóch skokach dopadł pulpitu z przełącznikami. Usłyszał, jak Pyre mówi coś na temat masowych ofiar, ale nie miał zamiaru czekać, aż skończy. — Almo? — zawołał. — Pamiętasz, ktoś z nas był zdania, że większość zakładów przemysłowych Qasaman jest ukryta pod ziemią? Wydaje mi się, że przez tę wieżę można się tam dostać. Chcesz, żebym razem z Dorjayem zjechał na dół i sprawdził, co tam mają?

Z bijącym sercem czekał na to, czy Pyre wykorzysta szansę, jaką mu dawał. Nie wiedział, czy to, co mówi, jest prawdą, bo czuł, jak umysł zaczyna funkcjonować mu coraz gorzej. Wiedział, że już wkrótce nie będzie mógł jasno myśleć, ale miał nadzieję, że Pyre jest w lepszej formie.

— Wygląda pan na zakłopotanego, panie burmistrzu — dobiegł go jak przez mgłę głos Alma. — Czy mogę sądzić, że wasze podziemne instalacje są czymś, czego raczej wolałby pan nam nie pokazywać?

Burmistrz się nie odezwał, więc po chwili Pyre mówił dalej.

— Wie pan, my naprawdę możemy się tam dostać. Widział pan, do czego jesteśmy zdolni i jak łatwo rozprawiliśmy się i z pańskimi ludźmi, i z ich bronią. Dysponując statkiem gotowym w każdej chwili do drogi, możemy dostać się pod ziemię, zobaczyć wszystko, co chcemy, a później bez przeszkód odlecieć z Qasamy.

— Zabijemy was — mruknął Kimmeron, ale bez poprzedniej pewności siebie.

— Wie pan dobrze, że to niemożliwe. Proponuję panu zawarcie umowy: uwolni pan naszych ludzi, nie czyniąc im żadnej krzywdy, a my odlecimy, nie zapoznając się z tym, co skrywacie pod ziemią.

Śmiech Kimmerona zabrzmiał bardzo podobnie do szczeknięcia.

— Proponujesz mi wymianę czegoś za brak czegoś. Gdybym nawet chciał się na to zgodzić, w jaki sposób zdołam przekonać do tego innych?

— Wyjaśni im pan, że możemy zabrać ze sobą informacje o życiu waszych obywateli w mieście i na wsi oraz wszystkie tajemnice, które tak bardzo chcecie przed nami ukryć — odparł bezlitośnie Pyre. — Proszę także pamiętać, że czas ucieka. Winward zacznie zjeżdżać na dół za trzy minuty, a mogę pana zapewnić, że Link nie będzie tracił czasu i wkrótce się z nim spotka.

Trwało to trochę dłużej niż trzy minuty, ale w końcu Kimmeron wyraził zgodę.

## ROZDZIAŁ 7

Następny kwadrans zajęło Kimmeronowi przekonanie burmistrza Purmy i jego urzędników o konieczności uwolnienia Cerenkova i Rynstadta. Zakłócanie sygnałów radiowych ustało dopiero po kolejnych pięciu minutach, ale wcześniej Pyre uzyskał zgodę na przekazanie przez głośniki umieszczone na kontrolnej wieży informacji dla Linka, żeby ukrył się i na razie nie przystępował do akcji. Później Pyre, zabrawszy ze sobą burmistrza, który opierał się jak mógł, wsiadł w samochód i jedną z szerokich ulic Sollas pojechał na lotnisko... przez cały czas z laserami gotowymi do strzału czekał na atak, który jego zdaniem musiał nastąpić.

Ale atak nie nastąpił. Samochód minął kilka posterunków, żaden żołnierz nawet nie wyciągnął broni; przejechał obok kilku wysokich budynków, z których nikt nie rzucił w niego nawet cegłą, minął tłum stojących u stóp wieży milczących Qasaman, żaden z nich palcem nie kiwnął. Wszystko przebiegło tak, jak powinno. Samochód zatrzymał się obok głównej śluzy "Dewdrop", a Pyre z Kimmeronem u boku wysiedli i czekali, aż wrócą Link i Winward.

Kiedy obie Kobry znalazły się na pokładzie, Pyre zwrócił się do Kimmerona.

— Dotrzyliśmy naszej części umowy — powiedział, starając się nadać głosowi tak stanowcze brzmienie, jak umiał. — Pan na razie dotrzymał tylko połowy swojej. Mam nadzieję, że nie będzie pan próbował wycofać się z wypełnienia pozostałej części.

— Kiedy wylądujecie w Purmie, wasi ludzie będą już tam czekali — odezwał się chłodno Kimmeron.

— To dobrze. A teraz proszę wsiadać do samochodu i odjechać, zanim wystartujemy.

Pyre wszedł do śluzy, a po chwili zamknął się za nim zewnętrzny właz.

Wewnętrzny się otworzył i niemal w tej samej chwili przez kadłub "Dewdrop" przebiegło lekkie drżenie. Niedługo później już lecieli.

Kiedy Pyre znalazł się na korytarzu, ujrzał czekającego już tam Linka.

— Wygląda na to, że może się nam udać — odezwał się cicho młodszy Kobra.

— Z bardzo dużym naciskiem na słowo "może" — odparł Pyre, kiwnąwszy głową. — Co z Michael'em? Nie wyglądał najlepiej, kiedy niedawno przechodził koło mnie.

— Nie wiem. Zajmuje się nim teraz pani gubernator. Prawdopodobnie nie jest z nim tak źle jak z Deckerem.

— Właśnie, co mu się właściwie stało? Widziałem, jak wnoszono go na pokład, ale prawdę mówiąc, nie wiem niczego więcej.

Na twarzy Linka pojawił się lekki grymas.

— Na początku tej całej awantury próbował siłą uwolnić członków grupy zwiadowczej — powiedział. — Mojoki rozszarpały mu rękę do kości.

Pyre poczuł, jak napinają mu się mięśnie szyi.

— Och, Boże. Czy teraz...?

— Nie wiadomo. Za wcześnie, by powiedzieć cokolwiek poza tym, że prawdopodobnie przeżyje. — Link przesunął językiem po suchych wargach. — Posłuchaj... czy Kimmeron mówił coś o Justinie? Kiedy przywieziono Deckera, Justin zamienił się miejscami z Joshuą, a później został odwieziony w stronę Purmy.

"Za spowodowanie śmierci niewinnych ludzi w Purmie" — przypomniał sobie Pyre słowa Kimmerona, kiedy tamten skazywał "Dewdrop" i jej załogę na zagładę. — Dzieło Justina? Bez wątplenia. A jednak Kimmeron w trakcie negocjacji nie wspomniał o nim ani słowem. Czy możliwe, że Kobra przebywał na wolności, kryjąc się gdzieś w mrokach qasamańskiej nocy?

A może już nie żył?

— Kimmeron nic o nim nie mówił — odezwał się cicho do Linka. Stało się... grożące Justinowi niebezpieczeństwo, którego tak bardzo obawiał się na samym początku wyprawy, w końcu stało się rzeczywistością. — No cóż. Przede wszystkim sprawy najważniejsze. Trzeba teraz wylądować bez przeszkód w Purmie, zabrać Yuriego i Marcka na pokład... a później dopiero zobaczyć, co się z nim stało.

— Tak. — Link przez chwilę patrzył mu uważnie w oczy, a potem kiwnął głową. — Tak. Masz rację. Wracajmy teraz do świetlicy i zobaczmy, co się tam dzieje.

— Jasne.

Do świetlicy, gdzie będzie czekał na niego Joshua... Wiedział jednak, że nie może powiedzieć mu o śmierci brata. Przynajmniej jeszcze nie w tej chwili.

Wypytyjący go Qasamanie właśnie wyszli, a Rynstadt, przywiązany mocno do bardzo niewygodnego krzesła, na którym musiał przez cały ten czas siedzieć, wpatrywał się w drzwi, starając się zachować obojętność wobec szklanych oczu wpatrzonych w niego kamer.

Nie było to wcale takie łatwe. Przesłuchanie okazało się męczące, czasami wręcz brutalne, tak że odetchnął z prawdziwą ulgą, kiedy czterej zadający mu pytania strażnicy wyłączyli w końcu torturujące jego umysł błyskające światła i wyszli z pomieszczenia. Kiedy ich nieobecność się przedłużała, a Rynstadt zaczął powoli dochodzić do siebie, stwierdził, że tak długa przerwa z pewnością nie wróży nic dobrego. Co takiego chcieli zrobić, że potrzebowali aż pół godziny na przygotowanie? Elektrowstrząsy? Udary dźwiękowe? Może nawet coś tak barbarzyńskiego i straszego jak pozbawianie go kolejnych kończyn? Na samą myśl poczuł w żołądku nerwowy skurcz. Śmierć — szybka śmierć — był na nią gotów przybywając na Qasamę, ale długotrwałe tortury to inna sprawa... a on wiedział o aventińskiej technologii znacznie więcej, niż mógł dać z siebie wyciągnąć.

Bez żadnego uprzedzenia drzwi pokoju otworzyły się tak nagle, że Rynstadt aż szarpnął się na krześle. Dwaj poprzednio przesłuchujący go Qasamanie weszli do środka i zatrzymali się o krok przed nim. Przez długą chwilę tylko na niego spoglądali, a Rynstadt zmusił się, żeby patrzeć im prosto w oczy. Później, bez słowa, nachylili się nad nim i zaczęli rozwiązywać krępujące go więzy.

Zaczyna się — pomyślał Rynstadt, odruchowo napinając mięśnie. — Sala tortur została przygotowana, a ja wkrótce się dowiem, co dla mnie wymyślili.

Qasamanie tymczasem skończyli pracę, ale gdy Rynstadt rozprostował nogi, a potem postawił stopy na podłodze i wstał, obaj odwrócili się i wyszli. Drzwi za nimi zamknęły się z głośnym trzaskiem, a Rynstadt został sam.

Dla jego udręczonego umysłu nic z tego nie miało żadnego sensu, ale nie zostawiono mu czasu na zastanawianie się, co będzie dalej.

— Rynstadt — odezwał się basowy głos z ukrytego głośnika. — Twoi towarzysze zawarli z nami układ, na mocy którego zostajesz uwolniony. Pozwolimy ci teraz zjeść posiłek, a potem odstawimy na skraj miasta.

Głośnik wyłączył się z wyraźnie słyszalnym trzaskiem. Niemal w tej samej chwili w dolnej części drzwi wejściowych otwarła się kłapa, przez którą wstawiono do pokoju tacę z gorącym, parującym jedzeniem.

To także nie miało żadnego sensu. Co takiego mogli zaproponować koledzy z "Dewdrop", że Qasamanie zgodzili się darować mu życie? Rzut oka na tace z jedzeniem sprawił jednak, że w jego udręczonej głowie zaświtała jedna myśl.

Trucizna. Pieczeń i gorący sok z jagód na tacy musiały być zatrute... jeśli je spożyje, będzie musiał wyjawić prześladowcom każdą tajemnicę, bo nie dadzą mu odtrutki. A może naprawdę zamierzają go uwolnić, ale i tak umrze, zanim ci ze statku zdążą rozpoznać rodzaj trucizny i zneutralizować jej działanie.

Żołądkiem targnął kolejny skurcz, który przypomniał mu, że nie jadł nic od czasu tamtego obiadu w Huriseem, czyli niemal całą wieczność... a poza tym, jeżeli zastanowić się nad tym trochę dłużej, otrucie to metoda nieco melodramatyczna.

W żołądku mu zaburczało. Co będzie, jeżeli po prostu odmówi? Zapewne nic, tyle, że w dalszym ciągu będzie głodny. Z drugiej strony, jeżeli jedzenie zostało zatrute... przypuszczalnie i tak będą chcieli wprowadzić truciznę do jego organizmu siłą.

Zbliżył się do tacy, podniósł ją z podłogi i uważnie powąchał talerz i kubek z płynem. Kilka razy wraz z innymi członkami grupy podczas zwiedzania Qasamy jadł taką pieczeń i pił sok, i odniósł teraz wrażenie, że ich zapach jest taki sam jak przedtem. Przez dłuższą chwilę kusiło go, by spróbować... ale jeśli istnieje chociaż nikła szansa odzyskania wolności, byłby głupcem, gdyby tak bezmyślnie ryzykował.

— Dziękuję — odezwał się w stronę ukrytego mikrofonu, odstawiając równocześnie tacę na podłogę. — Na razie nie jestem głodny.

Wstrzymał oddech. Jeżeli w głosie mówiącego do niego Qasamanina usłyszy jakieś zdziwienie czy rozdrażnienie...

— To bardzo dobrze — powiedział tamten.

Kłapa otworzyła się znowu, a Rynstadt ujrzał, jak czyjaś ręka sięgnęła po tacę i wyciągnęła ją z pokoju.

Błyszcząca ręka.

Ręka odziana w gumową, lekarską rękawiczkę.

Kłapa zamknęła się, a Rynstadt powoli wrócił do krzesła, czując, jak po plecach przechodzą mu zimne dreszcze. Trucizna, to nie ulegało wątpliwości — ale nie w jedzeniu. Na tacy. Zmieszana ze środkiem, którym spryskano talerz. Możliwa do szybkiego wchłonięcia przez dotyk.

A teraz znajdowała się na jego palcach... i powoli przedostawała się do krwiobiegu.

Usiadł, czując, jak nogi zaczynają mu drżeć z wrażenia. A zatem naprawdę go uwalniali. Nie potrzebowaliby uciekać się do takiego podstępu, gdyby otrucie go miało być tylko jednym z elementów przesłuchania. Uwalniali — a zarazem mordowali. Czy to było melodramatyczne, czy nie — barbarzyńskie, czy nie — postanowili właśnie w taki sposób się zemścić.

Czy miał jakieś szansę przeżycia? Możliwe, ale tylko wówczas, gdyby dawka trucizny zaaplikowanej mu przez Qasaman pozwoliła "Dewdrop" oddalić się od Qasamy, zanim ich zdrada stanie się oczywista. Jak długo od chwili odlotu? Godzinę? Dwie? Dwanaście?

W tej chwili nie mógł na to odpowiedzieć. Fakt jednak, że wiedział o truciźnie, dawał Telek i pokładowym analizatorom stanu zdrowia większą szansę określenia rodzaju substancji, którą go uraczyli, i podania środka neutralizującego jej działanie.

No szybciej — ponaglił w myślach załogę "Dewdrop". — Zabierajcie mnie stąd, do wszystkich diabłów.

**Zanim jednak go stąd zabiorą... rozluźnił mięśnie, usiadł wygodniej i postarał się oddychać jak najrzadziej. Wiedział, że im wolniejsza przemiana materii, przynajmniej teoretycznie, tym wolniejsze przyswajanie przez organizm.**

Nie pozostawało mu nic, tylko czekać.

Justina obudził w końcu ze snu dobrze mu znany świst napędu grawitacyjnego statku, słyszany bardzo słabo mimo włączonych wzmacniaczy słuchu. Przez chwilę leżał nieruchomo w wysokiej trawie, starając się zorientować, gdzie jest, i pozwalając, żeby jedno po drugim wróciły wszystkie gorzkie wspomnienia tego, co zrobił, i co się stało. Później ostrożnie wystawił głowę nad trawę.

Ruch ten sprawił, że bezwiednie syknął, gdy dotarło do niego, w ilu miejscach boli go posiniaczone ciało. Ale kiedy zwrócił głowę na pomoc i spojrzał w niebo, szybko zapomniał o bólu. Na tle jasno świecących gwiazd zobaczył mglisty pomarańczowoczerwony owalny ogień.

A więc "Dewdrop" zdecydowała się na odlot.

Przez długą chwilę patrzył na przesuujące się po niebie światło, zagryzając zęby, żeby się nie rozpłakać. Odlatywała. Bez niego. Czy także bez Cerenkova i Rynstadta? Zapewne tak. Nie można było tego wiedzieć na pewno, ale Telek li-



czyła, że on ich uwolni, a niepowodzenie jego misji sprawiło, że wszyscy byli teraz zdani wyłącznie na własne siły.

Pozostawieni na łasce losu.

Niemal machinalnie, jak gdyby broniąc się przed emocjonalnym wstrząsem, Justin zaczął zastanawiać się nad tym, co dalej. Może ukryć się w lesie i żywić tym, co upoluje, starając się przetrwać do czasu dotarcia na Qasamę wojskowej ekspedycji, bo nie wątpił, że taka kiedyś przyleci. Mógłby też dotrzeć do jakiejś wioski i zaproponować jej mieszkańcom usługi Kobry w zamian za udzielenie schronienia i ochronę przed miejscową władzą. Mógłby wreszcie...

Mógłby pozostać tu, gdzie jest, w tej wysokiej trawie, i czekać, aż umrze. Wcześniej czy później i tak przecież go to czeka.

Dopiero wówczas do jego świadomości dotarła myśl, że "Dewdrop" leci znacznie wolniej, niż powinna. Znacznie wolniej. Musieli ją uszkodzić — pomyślał w pierwszej chwili... ale gdyby napęd grawitacyjny był uszkodzony, F'ahl natychmiast po starcie uruchomiłby napęd gwiazdny. Nie, w tym wszystkim musi chodzić o coś innego... i nagle zrozumiał.

Lecieli tak wolno nie bez powodu. Starali się go odnaleźć.

Natychmiast obrócił się na plecy i unosząc lewą nogę w stronę statku, spojrzął w kierunku miasta, chociaż właściwie niewiele go obchodziło, czy ktokolwiek z mieszkańców zobaczy to, co chciał zrobić. Zorientował się, że za kilka minut "Dewdrop" znajdzie się całkiem blisko... a po chwilach rozpachy nadzieja na rychły ratunek wypełniła mu umysł i całe ciało zdecydowaniem wspomaganym przez nagły przyływ adrenaliny. Qasamanie mogli teraz próbować go pojmać... wszyscy mieszkańcy miasta mogli zjednoczyć się przeciwko niemu, jeśli chcieli.

Mierząc w "Dewdrop", wypalił trzy razy z przeciwpancernego lasera.

Był pewien, że kadłub lecącego w odległości trzydziestu kilometrów statku z łatwością pochłonie dawkę ciepła tych trzech strzałów, a liczył na to, że ktoś obserwujący powierzchnię planety zrozumie znaczenie sygnału i powiadomi innych. O ile, rzecz jasna, ktoś stoi na wachcie.

Wyglądało na to, że miał rację. W miejscu, w którym powinien znajdować się dziób statku, ujrzał dwa błyski światła potwierdzające odbiór. Kucnąwszy, przygotował się do biegu, nie przestając spoglądać od czasu do czasu w stronę miasta.

Minęło kilka minut, zanim "Dewdrop" wylądowała, ale nie potrafił zrozumieć, dlaczego kilometr na północ od niego. Przez chwilę rozważał, czy nie zasy-

gnalizować ponownie, ale zdecydował, że bezpieczniej będzie do niej dobiec, i kuląc się, puścił się sprintem.

Nie padł ani jeden strzał i Justinowi bez kłopotu udało się dotrzeć do celu. Przy otwartym włączniku czekał już Link, który obdarzył młodszego Kobrę nieco wymuszonym uśmiechem.

— Witaj w domu — powiedział i mocno, chociaż krótko uściskał dłoń Justina. Obejrzał go szybko od stóp do głów, a później skierował wzrok w stronę miasta. — Nie widziałem nikogo, kto bardziej by się cieszył niż my, kiedy dostrzegliśmy twoje sygnały.

— Ja cieszyłem się chyba bardziej niż wy wszyscy razem — rzekł mu Justin, spoglądając w tym samym kierunku, co Link. Od strony skraju miasta jechał w ich stronę autokar i sześć albo siedem samochodów. — Wygląda na to, że najwyższy czas wynosić się, gdzie pieprz rośnie.

Link pokręcił głową.

— Przywożą nam Yuriego i Marcka — oznajmił. — Almo zawarł z nimi układ w sprawie ich uwolnienia.

— Jaki układ? — marszcząc brwi, zapytał Justin.

— Złożył im coś w rodzaju oferty, że przed odlotem nie zniszczymy ich kompleksu przemysłowego — rzekł Link, spoglądając na niego. — A teraz wejdź i dopilnuj, żeby opatrzone ci rany, dobrze? Ja sobie tu poradzę.

— No cóż... dobrze — odparł Justin.

Coś w tym wszystkim wyglądało mu nie tak, jak powinno, ale w tej chwili nie potrafił określić, co takiego. Odwróciwszy się, przeszedł przez służbę, otworzył wewnętrzny właz — i w następnej chwili znalazł się w objęciach brata.

Przez minutę stali nieruchomo: jeden, który spełnił swój obowiązek — pomyślał gorzko Justin — i drugi, który go nie spełnił.

W tej chwili jednak wstyd zagłuszyła ogromna ulga, że jest znów bezpieczny.

Joshua w końcu uwolnił go z objęć i cofnął się o krok, ale nie zdjął dłoni z jego ramion.

— Jesteś ranny? — zapytał Justina.

— Nic mi nie jest. Co się wydarzyło od chwili mojego zejścia na ląd?

Joshua popatrzył w stronę włazu służby.

— Chodźmy do świetlicy zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz — zaproponował. — Jeśli chcesz, po drodze opowiem ci wszystko w skrócie.

Znaleźli się w świetlicy po minucie i ujrzeli Nnamdiego i Christophera wpatrzonych w obrazy na ekranach. Obaj naukowcy tylko mruknęli coś na jego widok, ale było jasne, że są pochłonięci tym, co dzieje się. Justinowi bardzo to odpowiadało, uważał, że i tak powitano go z większymi honorami, niż na to zasłużył.

— A gdzie jest Telek? — zapytał Joshuę, kiedy obaj usiedli przed jednym z wolnych monitorów.

— Wróciła do ambulatorium i zajmuje się Michaeliem. Powinna wrócić tu, zanim konwój dotrze w pobliże "Dewdrop". Almo zszedł na ląd i ukrył się poza zasięgiem świateł reflektorów statku, żeby osłaniać Dorjaya, gdyby Qasamanie chcieli próbować jakichś sztuczek.

— Niczego takiego nie zrobią — odezwał się Nnamdi. — Zawarli przecież z nami układ, który uważam za całkiem uczciwy. Mieliśmy okazję się przekonać, że zwykle dotrzymują słowa.

— Jak z tą rzekomo wypełnioną materiałem wybuchowym opaską na szyi Joshuy? — burknął Justin.

Oczy wszystkich zwróciły się na niego.

— Co to ma znaczyć: rzekomą? — zapytał Christopher.

— To ma znaczyć, że bezczelnie nas oszukali. W tych cylindrach nie było materiału wybuchowego, tylko kamery i urządzenia nagrywające. Zgodzili się na powrót Joshuy tylko dlatego, że chcieli obejrzeć wewnątrz "Dewdrop".

Christopher cicho zaklął.

— Wobec tego musieli też widzieć, jak wy dwaj zamieniacie się miejscami — powiedział. — Mój Boże, miałeś wielkie szczęście, że w ogóle wyszedłeś z tego żywy.

Justin poczuł, jak z duszy spada mu cześć ciężącego wstydu. Jeżeli spojrzeć na to z tej strony, mimo wszystko spisał się całkiem dobrze.

Kiedy Telek wróciła do świetlicy, konwój właśnie zatrzymał się o jakieś sto metrów od "Dewdrop", a z pojazdów zaczęli się wysypywać Qasamanie.

— Witaj, Justin. Cieszę się, że znów jesteś z nami — powiedziała z roztarżeniem, nachylając się nad ramieniem Christophera. — Widzisz ich?

— Jeszcze nie — odparł naukowiec. — Są zapewne w tym autokarze po lewej stronie.

Pokazał na ekran i jak gdyby za dotknięciem różdżki, potykając się w wysokiej do kolan trawie, z autokaru wyłoniły się dwie sylwetki i ruszyły w stronę statku.

Cerenkov i Rynstadt.

Kiedy ich mijali, kierując się w stronę głównej śluzy "Dewdrop", stojący najbliżej nich Qasamanie cofnęli się.

— Uważajcie, czy któryś z tubylców nie wyciągnie broni — rzuciła w przestrzeń Telek. — Nie wolno pozwolić im na żaden samobójczy atak czy inną podstępłą sztuczkę.

— Czy gdyby myśleli o czymś takim, nie zrobiliby tego wówczas, kiedy trzymali na muszkach Alma, Michaela i Dorjaya? — zasugerował Nnamdi.

— Możliwe — burknęła Telek. — Ale wtedy mieliśmy się przed nimi na baczności. A teraz mogą sądzić, że udało się im uspić naszą czujność. Tak czy inaczej, nie ufam im ani trochę... moim zdaniem za szybko zgodzili się ich wypuścić.

— Tak jak zaakceptowali moje ultimatum dotyczące przetransportowania Deckera na pokład "Dewdrop" — mruknął Joshua.

Justin popatrzył na brata i zobaczył, że przygląda się podchodzącym mężczyznom w skupieniu.

Telek spojrzała na bliźniaków.

— Widzicie coś? — zapytała.

— Powiedz jej, Justin — odezwał się Joshua, nie przestając ze zmarszczonymi brwiami wpatrywać się w ekran monitora.

Justin wyjaśnił jej więc, na czym polegała sztuczka Qasaman ze szpiegowską opaską na szyi jego brata.

— Mhm — mruknęła, kiedy skończył. — I sądzicie, że i tym razem jednemu z nich podrzucili jakiś ładunek wybuchowy, albo coś w tym rodzaju?

— Nie wiem — odparł z namysłem Joshua. — Ale to wszystko przestaje mi się podobać.

— Mnie także. — Telek zawahała się, ale po chwili sięgnęła po mikrofon i nacisnęła przycisk włączający głośniki burtowe statku. — Yuri, Marek? Zatrzymajcie się na chwilę, dobrze?

Dwaj mężczyźni się zawahali, ale posłusznie przystanęli o jakieś dwadzieścia metrów od śluzy statku.

— Pani gubernator? — zawołał Cerenkov. — Co się stało?

— Chciałabym, żebyście rozebrali się do bielizny — powiedziała. — Musimy przedsięwziąć niezbędne środki ostrożności.

Rynstadt obejrzał się przez ramię na stojących w milczeniu Qasaman.

— Czy musimy to robić? — zapytał, a głos niemal załamał mu się ze zdenerwowania. — Jestem pewien, że w naszych kombinezonach niczego nie schowali. Prosimy o pozwolenie wejścia na pokład.

— Coś nie tak — mruknął Christopher. Zabrawszy mikrofon z ręki Telek, nacisnął jakiś inny guzik. — Dorjay? Przekaż im, żeby powiedzieli ci, ale po cichu, o co chodzi.

Nie czekając na potwierdzenie, ponownie włączył głośniki burtowe statku.

— No dalej, chłopaki, słyszeliście, co powiedziała pani gubernator. Wyskukujcie z ubrań.

Wyłączywszy głośniki, bez słowa oddał mikrofon Telek, która również w milczeniu go przyjęła. Widoczni na ekranach mężczyźni ściągali teraz bluzy, a ponieważ Justin wiedział, na co patrzeć, zobaczył, jak wargi Rynstadta zaczęły się poruszać. Kiedy kończyli zdejmować buty, w głośnikach świetlicy odezwał się cichy głos Linka.

— Marek mówi, że obaj zostali czymś zatruci... Jakaś trucizną rozpyloną na tacy, którą osoba podająca im jedzenie trzymała przez gumową rękawiczkę.

— Nic dziwnego, że tak chętnie zgodzili się ich wypuścić — burknął Nnamdi. — Pani gubernator, musimy zabrać ich jak najszybciej na pokład i poddać dokładnym badaniom w analizatorze.

Telek jednak w milczeniu wpatrywała się w ekran, a na jej twarzy pojawiła się pełna niedowierzania groza.

— Oni nie zostali zatruci — szepnęła. — Zostali zarażeni. Qasamanie zarazili ich czymś po to, żeby doprowadzić do śmierci wszystkich ludzi na pokładzie.

Na chwilę w świetlicy zapadła grobowa cisza. Pierwsza otrząsnęła się z przerażenia Telek.

— Almo, wracaj na pokład — poleciła. — Wejdz tą samą służą towarową, przez którą wyszedłeś. Dorjay... ty też i uszczelnij właz wejściowy. Natychmiast.

— Co takiego? — krzyknęli równocześnie Christopher i Joshua.

— Nic innego nie da się zrobić — odcięła się Telek. Palce jej ręki zbiały, kiedy zacisnęła je na mikrofonie, a twarz wyglądała bardzo staro. — Nie mamy żadnej izolatki... wiecie o tym wszyscy tak samo jak ja.

— Ale analizator medyczny...

— Może nawet nie umieć rozpoznać, czym ich zarazili — odparła Telek, nawet nie dając Christopherowi dokończyć zdania — a co dopiero określić, w jaki sposób temu przeciwdziałać.

Justin poczuł, jak przez pokład pod jego stopami przeszło ledwo wyczuwalne drżenie. To Pyre zamykał właz śluzy towarowej statku. W chwilę później drugie takie drżenie oznajmiło, że Link uszczelnił właz głównej śluzy.

Na ekranach było widać, jak Rynstadt i Cerenkov zastygli z niedowierzania i przerażenia.

— Hej! — krzyknął Cerenkov.

— Przykro mi — odezwała się Telek tak cicho, że prawie szeptem. Później, przypomniawszy sobie o mikrofonie, uniosła go do ust i włączyła głośniki. — Przykro mi — powiedziała nieco głośniej. — Zostaliście zarażeni. Nie możemy ryzykować zabrania was na pokład.

— Wyciągają pistolety! — krzyknął nagle Nnamdi. — Musieli się zorientować, że przejrzelśmy ich podstęp.

— Kapitanie, skierować na Qasaman laser komunikacyjny — rozkazała Telek do mikrofonu interkomu. — Oślepić ich strumieniem światła, a później... przygotować statek do startu.

— Nie może pani ich tak zostawić.

Justin nawet nie zauważył, kiedy Pyre znalazł się w świetlicy, ale jego słowa dowodziły, że był w niej dosyć długo i zorientował się, co się dzieje.

I że nie zamierza pogodzić się z jej decyzją.

Telek odwróciła się w jego stronę, ale na jej twarzy malowała się tylko rezygnacja.

— Nie mam innego wyjścia — powiedziała cicho. — Co mogę zrobić? Ubrać ich na dwa tygodnie w skafandry próżniowe... i patrzeć, jak w nich umierają, podczas gdy my nie będziemy nawet wiedzieli, w jaki sposób im pomóc?

— Wszyscy możemy włożyć skafandry — upierał się Pyre.

— Nie mamy tyle tlenu — odezwał się F'ahl z mostka. — A regenerowanie skażonego powietrza uważam w tych warunkach za diabelnie ryzykowne.

Kiedy grupę stojących wciąż Qasaman omiótł strumień światła z lasera komunikacyjnego, na chwilę się rozjaśniły ekrany monitorów. Rynstadt i Cerenkov ocknęli się z odrętwienia i pospieszyli w stronę rufy "Dewdrop". Zapewne, by się

za nią ukryć... — pomyślał Justin — zanim statek oderwie się i polecą bez nich. I nagle go olśniło.

— Almo! — krzyknął, przerywając Telek, ale nie troszcząc się o to ani trochę. — Wyrzucić dwa skafandry próżniowe na zewnątrz przez właz służby towarowej. Szybko!

— Justin, dopiero co mówiłam... — zaczęła Telek.

— Możemy zabrać ich na pokład i trzymać w skafandrach w ładowni — wyjaśnił jej Justin, starając się mówić jak najszybciej nie bacząc, że jego słowa stają się ledwo zrozumiałe. — Ładownia ma przecież szczelną służbę. Możemy opróżnić pomieszczenie z towarów i wstawić tam ultrafioletowe promienniki, żeby wysterylizowały zewnętrzne powierzchnie ich skafandrów.

— Będziemy się przyglądali, jak oni tam umierają? — burknęła Telek. — Ładownia nie ma nawet szczelnego włazu, a my nie dysponujemy możliwościami ani środkami...

— Ale osłaniające nas statki wojenne Troftów dysponują! — wykrzyknął w odpowiedzi Justin.

W świetlicy zapadła prawie zupełna cisza. Było słychać tylko cichy szum napędu pracującego teraz na jałowym biegu i oddalający się stuk butów Pyre'a, który pobiegł korytarzem w stronę służby.

W trzy minuty później, przy wtórze prowadzonego na oślep, niecelnego ognia Qasaman, "Dewdrop" wystartowała i skierowała się prosto w rozgwieżdżone niebo. Po następnej pół godzinie Cerenkov i Rynstadt znaleźli się w izolacji na pokładzie krążownika Troftów. Nikt nie wiedział, czy uda się im przeżyć, ale chociaż zrobiono wszystko, żeby ocalić im życie.

Po kolejnej godzinie "Dewdrop" dokonała skoku w nadprzestrzeń i wzięła kurs na Aventinę.

## ROZDZIAŁ 8

"Menssana" powróciła na Aventinę z wyprawy rozpoznawczej. Powitano ją ze wszystkimi honorami, jakie zapewne oddawano badaczom nieznanym planet wszystkich czasów. Załodze złożono oficjalne, przegłosowane przez radę gratulacje, a przywiezione magnetyczne dyski z danymi skopiowano i rozdzielono między setki spragnionych wiedzy naukowców.

Powitanie "Dewdrop" w dwa dni później miało o wiele skromniejszą oprawę.

Kiedy ostatnia strona wstępnego raportu Telek zniknęła z ekranu pulpitu komputerowego, Corwin z westchnieniem odsunął urządzenie na bok.

— Co o tym sądzisz?

Corwin uniósł głowę i napotkał spojrzenie ojca.

— Mieli szczęście — powiedział bez ogródek. — Mogli stracić życie.

Jonny kiwnął głową.

— To prawda. Jedyne błędne Qasaman polegał na tym, że chcieli uzyskać jak najwięcej informacji przed zniszczeniem statku. Gdyby nie zależało im na tym tak bardzo, mieli dziesiątki okazji, by to zrobić.

Corwin skrzywił się. Rękę Yorka trzeba było amputować, oczy Winwarda z wielkim trudem zaczynały odzyskiwać sprawność, Cerenkov i Rynstadt wciąż walczyli ze śmiercią na pokładzie orbitującego nad nimi krążownika Troftów... a jednak uważał, że członkowie wyprawy mieli wielkie szczęście.

— W co, u licha, daliśmy się wciągnąć? — mruknął.

— W prawdziwe bagno. — Jonny westchnął. — Wiesz, ile mamy czasu, zanim Sun i jego spółka skończą zapoznawać się z tym raportem?

— Hm... — Corwin przysunął pulpit i wystukał na klawiaturze odpowiednie polecenie. — Na pewno nie zdążą przed nocą. I nie podadzą niczego do wiadomości ogółu aż do rana.

— To dobrze, ale my nie jesteśmy ogółem. — Starszy Moreau zapatrzył się przez chwilę w okno. — Chciałbym, żebyś zadzwonił do mamy i załatwił jej



wstęp do budynku akademii na dzisiejszy wieczór. Powołaj się na mnie, a jeżeli będziesz miał trudności, zacytuj jakiś przepis o prawach członków najbliższej rodziny... Jestem pewien, że coś takiego jest w regulaminie. Nie rozmawiaj z bliźniakami o polityce i w ogóle nie zajmuj im czasu do późnej nocy. Jutro czeka ich ciężki dzień. Cała rada weźmie ich w obroty.

Corwin kiwnął głową.

— Czy ty też tam będziesz?

— Tak, ale nie czekajcie na mnie. Muszę przedtem załatwić kilka spraw.

— Sam?

Jonny obdarzył najstarszego syna nieco kwaśnym uśmiechem.

— Moje stawy wróciły właśnie z wakacji spędzonych w ciepłych krajach. Dziękuję, ale przez kilka godzin dam sobie radę z aventińską zimą.

Corwin wzruszył ramionami.

— Tylko pytałem.

Ociągał się jednak tak długo z wyjściem z biura, że usłyszał, jak Yutu łączy się przez telefon z kosmodromem i żąda przygotowania kosmicznego wahadłowca. Wyglądało na to, że dziś w nocy jego ojciec nie będzie musiał się przejmować aventińską zimą.

Przecież, jak by na to nie patrzeć, na pokładzie wojennego statku Troftów nie panowała zima.

**Po raz czwarty w ciągu mniej więcej pięciu minut Telek wydało się, że ekran pulpitu komputerowego rozmazuje się jej przed oczami. Po raz czwarty z uporem zmrużyła oczy i pokręciła głową, a później wypila łyk mocnej kahve. Było późno, ona była bardzo zmęczona, a wiedziała, że następnego dnia rano podczas zebrania rady powinna móc myśleć chociaż trochę jaśniej. To była jednak jej pierwsza szansa zapoznania się z raportem "Menssany", postanowiła więc przed udaniem się na spoczynek chociaż pobieżnie zobaczyć, co odkryli uczestnicy tej wyprawy.**

Usłyszała ciche pukanie do drzwi.

— Proszę! — zawołała.

Nie był to, jak się spodziewała, jeden z członków zespołu medycznego akademii.

— Pielęgniarki przy monitorach są zdziwione, że jeszcze nie śpisz — odezwał się Jonny, wchodząc do pokoju.

— I sprowadziły cię tu aż z Capitalii, żebyś mi to powiedział?

— Nic podobnego. Przechodziłem obok i pomyślałem, że mógłbym wpaść i porozmawiać.

Usiadł, przysunąwszy sobie krzesło. Telek kiwnęła głową.

— Spisali się na medal. Możesz być z nich naprawdę dumny.

— Wiem. Tylko Justin uważa, że jest inaczej.

— No cóż, nie ma racji — burknęła Telek. — Gdyby spróbował się przedrzeć do podziemnego kompleksu przemysłowego w Purmie, nigdy nie wyszedłby stamtąd żywy. Kropka.

A gdyby go zabili, moglibyśmy zabrać Yuriego i Marcka na pokład, niczego nie podejrzewając i nawet nie wiedząc, w jaki sposób Qasamanie potrafią oszukiwać.

— Ja to rozumiem. Mam nadzieję, że i on zrozumie. — Jonny machnął ręką w stronę jej pulpitu. — Zapoznajesz się z raportem załogi "Menssany"?

— Uhm. Wy też spisaliście się na medal. Jonny kiwnął głową.

— Wszystkie wyglądają zachęcająco — przytaknęła. — Co najmniej dwie nawet bardziej niż zachęcająco.

Telek popatrzyła mu prosto w oczy.

— Zależy mi na tych światach, Jonny.

Wytrzymał jej spojrzenie, nawet nie mrugnawszy okiem.

— Tak bardzo, że zgodziłabyś się toczyć o nie wojnę?

— Tak bardzo, że zrobię wszystko, co tylko okaże się konieczne — rzekła bardzo stanowczo.

Jonny westchnął.

— Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że to, co wydarzyło się na Qasamie, chociaż trochę ostudziło twój zapał.

— Sprawilo, że zdałam sobie sprawę z tego, ile to będzie kosztowało — odparła. — W przeciwnym razie stracimy te ostatnie dziewiętnaście tysięcy ludzi, którzy wciąż jeszcze żyją na Caelianie.

— Słyszałem już ten argument. Wiesz dobrze, że w każdej chwili mogą wrócić na Aventinę.

— Mogą, ale tego nie zrobią. Wszyscy, którzy mogli się przyznać do porażki, zrobili to już dawno temu. Nie możemy zmusić pozostałych do powrotu na łono cywilizacji, jeżeli tego nie chcą. Duma im na to nie pozwoli.

— A twoja duma nie pozwoli ci zrezygnować z Qasamy — powiedział.

— Moja duma nie ma z tym nic wspólnego.

— Jasne. — Jonny sięgnął do kieszeni bluzy i wyciągnął z niej magnetyczny dysk. — No cóż, nie dbam o to, jakimi motywami się kierujesz. Jeśli jednak nadal jesteś zdecydowana rozprawić się z Qasamanami, będzie lepiej, jak zapoznasz się ze wszystkim, co wiadomo na ich temat. Telek zmarszczyła brwi, spoglądając nieufnie na dysk.

— Co to takiego?

— **Oficjalny raport domeny Baliu'ckha'spmi na temat Qasamy.**

Patrzyła na niego, czując, jak otwiera usta ze zdziwienia.

— Skąd go wzięłeś?

— Z pokładu orbitującego nad nami krążownika Troftów — odparł. — Byłem pewien, że każdy ich wojenny statek wysyłany w celu ochrony naszej wyprawy musi mieć na pokładzie raport swojego świata, chociażby na wszelki wypadek. Poleciałem więc tam dzisiaj po południu i dostałem kopię.

— Tak po prostu?

— Mniej więcej. Trochę blefu, trochę samochwalstwa i trochę chodzenia wokół całej sprawy. — Uśmiechnął się z przymusem. — I trochę nie skrywanego podziwu dla nas z powodu naszej pracy.

— Bóg jeden wie, jak wiele nas to kosztowało — rzekła cicho. — York i Winward zasłużyli sobie na miano prawdziwych bohaterów...

Pokręciła głową, odpędzając dręczące ją poczucie winy z powodu wszystkich porażek ekspedycji.

— Dlaczego mi to dajesz? — zapytała po chwili.

— Och, cała rada otrzyma kopie jutro rano. — Wzruszył ramionami. — Mówiłem już, że przechodziłem obok.

— No cóż. Dziękuję.

— Nie ma za co. — Jonny wstał, a Telek dostrzegła, jak skrzywił się przy tym ruchu. Później podszedł do drzwi, ale zatrzymał się tam, odwrócił głowę i popatrzył na panią gubernator. — Lizabet... chcę, żebyś wiedziała, iż nie pozwolę wciągnąć naszych światów w wojnę o zdobycie tamtych nowych planet — ode-

zwał się cicho. — Nie po tym wszystkim, co przeżyliście na Qasamie. Zgodzę się na błyskawiczny cios wymierzony w ich ośrodki przemysłowe, jeżeli to możliwe. Albo na zbombardowanie tych centrów, jeżeli przyniesie to jakieś skutki. Ale nie na wojnę na powierzchni Qasamy. Nie zgodzę się nawet w interesie Caelian. Kiwnęła lekko głową.

— Rozumiem. Ja też będę dążyła do osiągnięcia kompromisu.

— Miejmy nadzieję, że uda się go osiągnąć. Dobranoc. Wyszedł, a Telek zaprzyła się na magnetyczny dysk trzymany w dłoni. Poczwała nagle, jak bardzo jest zmęczona... Usunąwszy kartę z raportem "Menssany", wsunęła dysk do czytnika pulpitu komputerowego i na klawiaturze wystukała kod umożliwiający jej odczytanie informacji za pośrednictwem centralnego translatora akademii. Później, westchnąwszy cicho, nalęła do kubka następną porcję kahve i zagłębiła się w lekturze.

## ROZDZIAŁ 9

Zebranie rady odbyło się dopiero w dwa dni później. Chciano dać wszystkim szansę zapoznania się zarówno z kompletnym raportem naukowców biorących udział w wyprawie na Qasamę, jak z informacjami uzyskanymi przez Jonny'ego od Troftów. Kiedy jednak zebranie się rozpoczęło, od samego początku stało się jasne, że ostrożne poparcie udzielone na początku całemu przedsięwzięciu zamieniło się w zdecydowany sprzeciw.

Nietrudno było się domyślić dlaczego.

— Gdyby ta piekielna planeta nie była zaginioną kolonią ludzi, nikt z nas nie podchodziłby do tego tak emocjonalnie — burknął po zebraniu Dylan Fairleigh, kiedy gubernatorzy spotkali się we własnym gronie.

— Żaden z syndyków Caeliany nie narzekał — zauważył cicho Yartanson. — Wszyscy wiemy, jak wysokie mogą być koszty.

— Albo my, albo oni? — zapytał Jonny. — Czy o to ci chodzi? Daj spokój, nawet nie wiemy, dlaczego Troftowie tak bardzo się ich obawiają.

— Czyżby? — odciął się Roi. — Kwitnąca kolonia umiejących ze sobą współpracować, a przy tym ogarniętych paranoją ludzi? Czy mogą się tego n i e obawiać?

— Ludzi, którzy nie potrafią latać do gwiazd, a może nawet w obrębie własnego systemu? — odezwał się nieco drżącym głosem Hemner.

— Nie wiemy, czy nie umiejemy latać w obrębie własnego systemu — przypomniał mu cierpko Fairleigh, a później popatrzył na Jonny'ego. — Nie wiemy zresztą wielu rzeczy na temat ich techniki i bazy przemysłowej. O ile pamiętam, jednym z celów wyprawy było zebranie tych informacji.

Jonny najeżył się, ale uprzedziła go Telek.

— Jeżeli to ma być zarzut pod adresem członków mojej ekspedycji, a w szczególności Justina Moreau, to wypraszam sobie — odezwała się chłodno.

— Chodziło mi tylko o to, że...

— Jeżeli chcesz, możesz dowodzić następną wyprawą na Qasamę — nie dała mu dokończyć Telek. — Zobaczymy, jak sobie wówczas poradzisz.

Wszedł nieco spóźniony Stiggur i to zażegnało rozpoczynającą się awanturę.

— Witam wszystkich i przepraszam za spóźnienie — powiedział tonem świadczącym o roztargnieniu i zmęczeniu, a później usiadł na swoim miejscu i popchnął stos magnetycznych dysków na środek stołu. — Właśnie dostałem wyniki wstępnej analizy biologicznej. Streszczenie jest na samym początku. Zapoznajcie się z nim, a potem porozmawiamy.

Była to, jak Jonny się spodziewał, analiza informacji zebranych przez naukowców z "Dewdrop" i uczonych Troftów, dokonana ze szczególnym zwróceniem uwagi na mojoki. Ominął streszczenie i właśnie czytał analizę, kiedy usłyszał, że Yartanson chrząknął znacząco.

— Paskudne. Przypomina mi niektóre z upierzonych latających morderców, jakich mamy na Caelianie.

— Z wyjątkiem osobliwego sposobu rozmnażania, jak sądzę — powiedział Roi. — To wszystko wygląda mi dziwnie. Gdyby zabić wystarczającą liczbę nosicieli embrionów... tych jak-im-tam, tarbinów, można by niemal z roku na rok zredukować liczbę mój oków do zera.

— Większość ekosystemów na pierwszy rzut oka wygląda podobnie krucho — odezwała się nieco oschle Telek. — W praktyce, żeby liczba mojków zaczęła dostrzegalnie maleć, należałoby zabić cholernie wiele tarbinów. Sądzę z tego, że i ty uważasz mojoki za główne zagrożenie dla Kobr, które możemy tam kiedyś pośłać?

— Bez wątpienia — odrzekł Roi. — Popatrzcie tylko na zebrane dane. Nikt z wyjątkiem Winwarda nie odniósł poważniejszych ran od broni palnej Qasaman, a jego postrzelili z zaskoczenia. Mojoki jednak dopadły i jego, i Yorka, a poza tym omal nie zabiły Pyre'a i Moreau.

— Są pierwszą linią ich obrony — przyznał mu rację Fairleigh. — A Qasama nie świetnie o tym wiedzą. Do diabła, przecież projektują całe miasta w ten sposób, żeby im uprzyjemnić życie.

— Niewątpliwie to ma sens — rzekł Stiggur, wzruszając ramionami. — Po co ludzie mają nadstawiać głowy, kiedy dysponują zwierzętami mogącymi przejąć na siebie cały impet pierwszego uderzenia wroga?

— Nie zawsze to wyglądało w ten sposób — stwierdziła Telek. — Na początku miały bronić przed drapieżnikami, a dopiero później stały się czymś w rodzaju systemu ochrony osobistej.

— A teraz wszystko wskazuje na to, że bez trudu przystosuje się je do zadań militarnych — zauważył Stiggur. — Uważam, że terażniejszość powinna obchodzić nas znacznie bardziej niż przeszłość. — Zwrócił się w stronę Jonny'ego. — Czy znasz jakiś sposób na dokonanie takich zmian w wyposażeniu Kobr, żeby mogły lepiej radzić sobie w czasie walki z mojkami? Na przykład w systemie naprowadzania na cel?

Jonny wzruszył ramionami.

— Procedurę naprowadzania zaprojektowano z myślą o szybkim ostrzeleniu wielu celów naraz i zarazem unikaniu trafień obiektów przypadkowych. Jeżeli ją uprościsz i przyspieszysz, będziesz miał natychmiast więcej niecelnych strzałów.

— Wobec tego może przeprogramować nanokomputer tak, żeby każdego mojoka uważał za wroga? — zasugerował Fairleigh. — W ten sposób przynajmniej następne pokolenie Kobr będzie wiedziało, jak sobie z nimi radzić.

Yartanson zachął się.

— Czy nie sądzisz, że gdyby to było możliwe, już dawno mielibyśmy coś takiego u naszych caeliańskich Kobr? — zapytał. — Rozpoznawanie kształtów zajmuje po prostu zbyt wiele pamięci komputera.

— Prawdę mówiąc, problem jest jeszcze bardziej skomplikowany — odezwał się Jonny, kręcąc głową. — W chwili, w której zapewnisz Kobrze możliwość automatycznego określania celu, pozbawisz go wszechstronności, a w efekcie skuteczności. Jeżeli Qasamanie się w tym połapią, zaczną wysyłać przeciwko nam setki ptaków, a kiedy będziemy zajęci celowaniem do tych, które nawet nie znajdują się w pobliżu w ciągu najbliższych trzech minut walki, żołnierze wystrzelają nas jak kaczki. Automatyczna, wyspecjalizowana broń jest świetna tam, gdzie jest potrzebna, i można stosować ją z powodzeniem na Caelianie, ale nie próbujcie zamieniać w nią Kobr, bo efekt będzie opłakany.

Na chwilę zapadła głucha cisza.

— Przepraszam — odezwał się Jonny. — Nie zamierzałem nikomu prawić kazań.

Stiggur machnął ręką, odrzucając jego przeprosiny.

— Problem jest bardzo ważny i dobrze się stało, że został wyjaśniony. Nie sądzę, żeby ktokolwiek chciał dysponować grupą tak wąsko wyspecjalizowanych Kobr. No tak. Czy ktoś zna jakiś sposób ograniczenia skuteczności mojków?

— Przepraszam, że zmieniam temat — odezwał się niepewnie Hemner — ale jest jeszcze kilka ogólnych spraw dotyczących Qasamy, których nie rozumiem. Sugerowałeś, Brom, że przeszłość nie jest ważna, ale ja chciałbym wiedzieć coś więcej na temat historii tej kolonii. Zwłaszcza to, jak i kiedy została założona.

— Nie mówiłem, że przeszłość nie jest ważna — odrzekł Stiggur, trąciwszy swój pulpit komputerowy. — Chodziło mi tylko o to, że... a zresztą to nieważne. Z raportów historyków wynika, że pierwsi Qasamianie opuścili Dominium około dwa tysiące sto sześćdziesiątego roku i najprawdopodobniej byli kolonistami z Regininy udającymi się w podróż na Rajput. Kierunek się zgadza, a poza tym wiele innych, historycznych i lingwistycznych danych, nie mówiąc już o samej nazwie "Qasama", świadczy o tym, że należeli do jednej z ważniejszych grup etnicznych Regininy.

— Nazwie "Qasama"? — Yartanson zmarszczył brwi.

— Masz ich raport przed oczami — odezwał się nieco cierpko Stiggur. — "Qasama" jest staroarabskim słowem oznaczającym "dzielić". Do angielskiego trafiła za pośrednictwem kilku innych języków i przeszła kilka zmian, żeby przemienić się w słowo "kismet", co znaczy "los" albo "przeznaczenie".

— Podzieleni, bo tak chciało przeznaczenie — mruknął Roi. — Jakiś językoznawca na pokładzie ich statku musiał mieć bardzo dziwne poczucie humoru.

— Albo pewność, że ich losem kieruje przeznaczenie — rzekła na wpół do siebie Telek. — Nie widziałam najmniejszego dowodu na to, że Qasamianie mają poczucie humoru. Traktowali wszystkich i wszystko śmiertelnie poważnie.

— Wspaniale — odezwał się Hemner. — Qasama istnieje od prawie trzystu lat i w tym czasie ludzie i mojoki nauczyli się żyć ze sobą w symbiozie. Zgadza się?

— Zgadza. — Stiggur kiwnął głową. — Chociaż "symbioza" może być zbyt mocnym słowem.

— Czyżby? — Hemner uniósł brew. — Ludzie zabijają bololiny po to, żeby mojokom było się łatwiej rozmnażać, a w zamian za to mojoki bronią życia swoich panów przed atakami nieprzyjaciół. Co to jest, jeżeli nie symbioza? Interesuje mnie jednak to, co robiły mojoki przed pojawieniem się ludzi?

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę Telek.

— Lizabet? — przynaglił ją Stiggur. — Możesz powiedzieć nam coś na ten temat?



— Nie od razu — odezwała się z namysłem, a na jej czole pojawiły się zmarszczki. — Hm. Nigdy przedtem jakoś o tym nie pomyślałam. Musi istnieć jakiś drapieznik, to jasne. I to duży, zagrażający bololinom. Będę musiała przejrzeć raport Troftów i zobaczyć, ilu kandydatów spełnia te warunki.

— Wybacz — wtrącił się nagle Roi — ale nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie podczas prób znalezienia odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób powstrzymać mojoki teraz, kiedy stały się obrońcami swoich panów.

— To ty wybacz — odcięła się Telek. — W tych sprawach nigdy nie wiadomo, czy jakiś fakt nie okaże się nagle kluczowy.

Przez kilka następnych minut prowadziła mini-wykład na temat wzajemnych związków między biologią i ekologią, ale Jonny niewiele rozumiał z tego, co mówiła. Przeglądając dane na temat biologii Qasamy, natrafił nagle na zdanie, które szczególnie przykuło jego wzrok i uwagę. Zatrzymał się na nim, jeszcze raz uważnie przeczytał cały akapit... i poczuł, jak po plecach przechodzą mu zimne dreszcze.

Kiedy ponownie zwrócił uwagę na to, co się dzieje, Stiggur mówił właśnie coś, co miało załagodzić kolejną kłótnię. Zaczekał, aż gubernator generalny skończy, a później zabrał głos, zanim zdążył uczynić to ktoś inny.

— Lizabet, czy miałaś czas zapoznać się z danymi na temat fauny, jakie zebrali naukowcy z "Menssany"? — zapytał. — Chodzi mi zwłaszcza o te, które zebraliśmy na Chacie.

— Przeglądałam je — odrzekła, a wyraz jej twarzy mówił: "Wiesz dobrze, że tak". Nie wypowiedziała jednak tych słów na głos. — Masz na myśli coś konkretnego?

— Tak. — Jonny wystukał na klawiaturze polecenie przesłania na ekrany pozostałych pulpity komputerowych tych samych dwóch stron, które sam przeglądał. — Po lewej widzicie sylwetkę naszego płaskokopytnego czworonoga z Chaty, a po prawej sylwetkę qasamańskiego bololina. Myślę, że jeżeli poświęcicie trochę czasu na uważne zapoznanie się z treścią tych dwóch stron, będziecie wiedzieli, o co chodzi.

— Ciekawe. — Po minucie Yartanson kiwnął głową. — Widzę tu bardzo dużo podobieństw.

— Zwłaszcza jeżeli chodzi o kierowanie się liniami pola magnetycznego przy określaniu kierunku wędrówki — zgodziła się z nim Telek. — U dużych zwierząt lądowych to bardzo niezwykle. Prawdopodobnie klasyczny przykład potwierdzający teorię Troftów o tak zwanym wspólnym pochodzeniu wszyst-

kich zwierząt... Wiecie, tych samych argumentów używamy na uzasadnienie podobieństw flory i fauny na Aventynie, Palatinie i Caelianie.

— Mhm — mruknął Jonny. Odszukał następne dwie strony i przesłał je także na ekrany innych osób. — No dobrze, a co powiecie na temat mojoka i tego ptaka po lewej stronie?

— Kazesz nam porównywać zdjęcie zrobione przez lornetkę z obrazem wygenerowanym przez komputer? — burknął Fairleigh. Nawet ja wiem tyle, że trzeba czegoś więcej, jeżeli się chce przeprowadzić takie porównanie.

Jonny w tym czasie nie spuszczał oka z Telek.

— Lizabet?

— Oba są drapieżnikami — odrzekła z namysłem. — Dzioby i lotki mają bardzo podobne. Łapy... zbyt mało szczegółów, ale... ciekawe. Te krótkie piórka wystające z czubka łba i nad dziobem... tutaj i tutaj? Mojok ma także w tym miejscu coś w rodzaju bardzo cienkich włosków. Sądzę, że są częścią jego systemu słuchowego. O ile, rzecz jasna, nie jest to błąd programu komputerowego generującego obraz ptaka. Na jakiej planecie go zauważyłeś?... Ach tak, już mam. To była Tacta. Ostatnia planeta, którą badaliście, prawda?

— Prawda — przytaknął machinalnie Jonny.

A wiec mojoki mogły być bliskimi krewniakami tajemniczych ptaków, których zachowanie zadziwiło ludzi do tego stopnia, że przyspieszyło ich odlot z tej planety. To zaś oznaczało... właśnie, co?

— Na razie uważam, że Lizabet ma rację, jeżeli chodzi o mojoki — odezwał się Stiggur. — Musimy mieć więcej informacji, zanim odpowiemy na pytanie, w jaki sposób z nimi walczyć. Chciałbym więc przejść do następnego punktu dzisiejszych obrad, to znaczy omówienia najważniejszych problemów dotyczących tamtej społeczności, a w szczególności tych aspektów strukturalnych, które już znamy. Mhm... zobaczymy... zgadza się, początek znajdziecie na sto sześćdziesiątej drugiej stronie.

Dyskusja ciągnęła się prawie przez godzinę, ale mimo niekompletnych i nie uporządkowanych danych, obraz, jaki się z niej wyłonił, z militarne punktu widzenia Jonny uznał za najgorszy, jaki można sobie wyobrazić.

— Przekonajmy się, czy wszystko dobrze zrozumiałem — odezwał się w końcu, starając się, jak umiał, ukryć sarkazm. — Jest to zatem społeczność, której obywatele nie rozstają się z bronią palną, ludność mieszka w niewielkich miastach i wioskach rozrzuconych po całej planecie, zakłady przemysłu lekkiego są

rozrzucone, a przemysłu ciężkiego ukryte pod ziemią. A przy tym rzeczywisty stan ich techniki jest nie znany. Czy mniej więcej tak właśnie wygląda sytuacja?

— Nie zapominaj o skłonności do używania narkotyków zwiększających sprawność działania mózgu za wszelką cenę, bez oglądania się na konsekwencje dla stosujących je osobników — burknął Roi. — Wszyscy tam mają paranoję jak diabli. Wiesz, Brom, im dłużej o tym myślę, tym mniej podoba mi się myśl, że siedzą na swojej planecie, ale wybiorą się w podróż międzyplanetarną, kiedy tylko na nowo odkryją tajniki napędu gwiazdowego.

— Słuchając ciebie, można pomyśleć, że już jutro rano spadną nam z orbity na głowy — odezwał się Hemner. Dwa razy zaniósł się kaszlem, ale kiedy ponownie przemówił, głos jego brzmiał dosyć pewnie. — Nie zapominaj, że Qasamanie znajdują się w odległości czterdziestu pięciu lat świetlnych od Aventyny. Znalezienie nas zajmie im całe lata, nawet gdyby specjalnie nas szukali. Sądzę, że znacznie wcześniej spotkają się z Troftami, i bez względu na to, czy zechcą z nimi handlować, czy toczyć wojnę, przeminą pokolenia. Do tego czasu zdążą zapomnieć o małym konflikcie, jaki mieli z nami ich przodkowie, a my będziemy mogli nawiązać nowe kontakty z bratnią rasą, jak gdyby nigdy się nic nie stało.

— To brzmi bardzo obiecująco, Jor — rzekła cierpko Telek — ale zapomniawszy o kilku dosyć istotnych sprawach. Po pierwsze: co będzie, jeżeli odkryją Cha-tę i pozostałe planety, zanim natkną się na Troftów?

— Nic takiego — odparł Hemner. — Jeżeli teraz nie przyjmujemy tej propozycji, naszych potomków wówczas tam nie będzie.

Na te słowa wargi Telek zadrżały, ale kiedy się odezwała, jej głos brzmiał tak samo pewnie jak poprzednio.

— Po drugie: zakładasz, że Qasamanie o nas zapomną. Jesteś w błędzie. Z pewnością będą o nas pamiętali i bez względu na to, czy zajmie im to rok, czy sto lat, rozpoczną z nami wojnę, gdy tylko nas znów odkryją. Możecie w to nie wierzyć — dodała, spoglądając na twarze zebranych w pokoju osób — ale to prawda. Ja tam byłam, widziałam ich i słyszałam, co mówią. Zaczekajcie na końcowy raport Hersh Nnamdiego, a przekonacie się, że on jest tego samego zdania. I po trzecie: jeżeli pozwolimy im oderwać się od powierzchni Qasamy, czeka nas długa i bardzo krwawa wojna. Nasza obecna przewaga techniczna nie ma żadnego znaczenia wobec narkotyków zwiększających sprawność ich umysłów. Po kilku miesiącach czy latach wojny osiągną taki sam poziom techniczny, co my, choćby nasz był nie wiadomo jak wysoki. A jeżeli sądzicie, że teraz są bardzo rozproszeni, zaczekajcie, aż umocnią się na powierzchni Kubhy i Tacty, i Bóg wie jeszcze gdzie.

— Twoje argumenty są z pewnością ważkie — odezwał się Stiggur, kiedy na chwilę przerwała. — Ale te względy taktyczne nie pozwalają nam na usunięcie najważniejszej przeszkody emocjonalnej, z jaką wszyscy musimy się uporać. Myślę o tym, czy Światy Kobr naprawdę powinny zatrudniać się w charakterze najemników Troftów w walce przeciwko innym ludziom.

— To raczej jątrzący sposób przedstawienia całej sprawy — stwierdził Yartanson.

— Oczywiście, że tak. Ale sposób, w jaki przeciwnicy przyjęcia propozycji Troftów wcześniej czy później i tak na to spojrzą. I jeżeli mam być całkiem szczerzy, muszę przyznać im trochę racji. O ile pamiętacie, wplątaliśmy się w to wszystko, bo nie chcieliśmy w oczach Troftów wyjść na tchórzy, a uważam, że etyka jakiegoś świata jest w niezaprzeczalny sposób pewną częścią jego siły. A poza tym czy nie poprawilibyśmy swojej sytuacji względem Troftów, gdybyśmy w pobliżu ich granicy mieli zaprzyjaźnione z nami istoty ludzkie?

— Lekceważysz historię, Brom — wtrącił się półgłosem Jonny. — Troftowie mieli kiedyś dwie grupy zajmowanych przez ludzi planet w pobliżu swoich granic i ten fakt niepokoił sąsiadujące z nimi domeny do tego stopnia, że przed czternastoma laty połączyły się i wypowiedziały nam wszystkim wojnę.

— Jeżeli mowa o zagrożeniu granic, istnieje dosyć duża różnica między całym Dominium a samotną Qasamą — zachnął się Fairleigh.

— Tylko ilościowa. A pamiętaj, że Troftowie nie prowadzą wojen, bombardując powierzchnie planet z pokładów krążowników. Lądują na planecie i zajmują jej terytorium... a Qasama wcale nie będzie dla nich tak przyjemnym miejscem do lądowania i okupacji jak nasze światy.

— Zgadza się — mruknęła Telek, a jej ciało przeszedł lekki dreszcz.

— Albo inaczej mówiąc — odezwał się znów Hemner — Troftowie nie mogą się zmusić do zrobienia tam jatki, więc najmują nas, żebyśmy to zrobili za nich.

Chciało mu odpowiedzieć kilka osób naraz, ale najszybciej odezwał się Yartanson.

— Zapomnijmy na chwilę o Troftach, dobrze? Niech to diabli, chodzi przecież o zagrożenie nas samych. Lizabet ma świętą rację, musimy się nimi zająć i to jak najszybciej. Nie wolno nam tracić ani chwili.

Przez długą chwilę w pokoju panowała cisza. Jonny popatrzył na Hemnera, ale starzec wpatrywał się tylko w swoje, splecione na blacie stołu dłonie. Pierwszy odezwał się Stiggur.

— Sądzę, że dysponując tylko tymi danymi, które mamy dzisiaj, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy — powiedział, zatrzymując wzrok kolejno na każdej z siedzących przy stole osób. — Ostateczne wyniki analiz geologicznych, biologicznych i socjologicznych będą gotowe w ciągu sześciu dni, a wówczas spotkamy się ponownie, jeszcze przed zebraniem całej rady, i postaramy się podjąć jakąś decyzję. — Sięgnąwszy do wyłącznika zaplombowanego rejestratora, powiedział: — Uważam dzisiejsze zebranie za zakończone.

## ROZDZIAŁ 10

Przewidywania Stiggura na temat taktyki, jaką zechce przyjąć opozycja, sprawdziły się już po kilku dniach, i podobnie jak kilka tygodni wcześniej, kiedy po raz pierwszy wiadomość o Qasamie podano do wiadomości publicznej, Corwin znalazł się w samym środku zażartej walki na argumenty.

Tym razem dyskusja potoczyła się inaczej. Poprzednio Qasama była tylko jedną z niewiadomych w matematycznym równaniu, w którym z jednej strony umieszczono bliżej nieokreślone zagrożenie, a z drugiej — bardzo konkretną nadzieję na ponad dwukrotne zwiększenie liczby Światów Kobr. Teraz, kiedy mgła tajemniczości ustąpiła i kiedy ujawniono szczegóły zagrożenia, jakie stanowi sama planeta i jej mieszkańcy, do najbardziej logicznych i rzeczowych argumentów w dyskusji między zwolennikami i przeciwnikami przyjęcia propozycji Troftów zaczęło się wkradać coraz więcej emocji. Większość przeciwników, z którymi rozmawiał Corwin, dała się tylko częściowo uspokoić wieścią, że i Jonny sprzeciwia się wojnie na wielką skalę z innymi ludźmi, ograniczając się na ogół do stwierdzenia, że powinien się bardziej starać przekonać całą radę o słuszności swojego zdania. Zwolennicy, ignorując zazwyczaj tak śliskie aspekty zagadnienia jak etyka, twierdzili tylko, że najważniejszą sprawą, na jaką powinien zwrócić uwagę, jest bezpieczeństwo Światów Kobr. Pojedynkę na tak dobrane argumenty nie mógł być, rzecz jasna, rozstrzygnięty, i po trzech dniach rozmów Corwin stwierdził, że ma tego wszystkiego serdecznie dosyć.

Ale dopiero kiedy zadzwonił do niego Joshua, uzmysłowił sobie, jak bardzo rozmowy przez telefon i informowanie społeczeństwa zawładnęły jego życiem.

— Czy zdarzyło ci się widzieć ostatnio z Justinem? — przeszedł do rzeczy Joshua, gdy wstępne powitania dobiegły wreszcie końca.

— Nie widziałem go ani razu od czasu tamtego wieczoru, kiedy obaj składaliście sprawozdania — odparł Corwin, mrugnawszy oczami, kiedy zdał sobie sprawę ze znaczenia tej prawdy.

To już cztery dni — pomyślał — w trakcie których nie rozmawiałem z nikim innym spośród członków rodziny, jeżeli nie liczyć ojca. Nigdy przedtem nie zda-

rzyło mu się nie kontaktować z nimi tak długo. — Wiesz, ostatnio miałem bardzo dużo pracy — powiedział.

— No cóż, sądzę, że byłoby lepiej, gdybyś znalazł chociaż trochę czasu na rozmowę z nim. I to szybko.

Corwin zmarszczył brwi.

— Dlaczego? Czy stało się coś złego?

Na widocznej na ekranie twarzy Joshuy odmalowało się niezdecydowanie.

— Nie wiem — odparł. — Czuję tylko, że coś jest z nim nie w porządku. Czy wiesz, że przez te wszystkie dni nie opuszczał budynku akademii?

Corwin nie wiedział.

— Badania lekarskie?

— Chodzi o to, że nie. Większość czasu spędza samotnie w pokoju, który mu przydzielono. Studiuje jakieś dane i zapoznaje się z archiwalnymi raportami, nie odrywając się od komputera.

Corwin przypomniał sobie raport Justina, który przejrzał pobieżnie przed dwoma dniami, a potem przesłał do archiwum. Pamiętał, że jego brat przeszedł na Qasamie przez prawdziwe piekło...

— Może w ten sposób zabija czas, czekając, aż zabliznią się jego duchowe rany? — zasugerował.

W tej samej chwili jednak, w której wypowiedział tę myśl na głos, uświadomił sobie, jak fałszywie brzmi w jego uszach. Justin nie należał do ludzi, którzy w ukryciu liżą swoje rany.

Joshua zareagował tak, jakby potrafił czytać w jego myślach.

— Jeśli tak, jego rany muszą być o wiele groźniejsze, niż sądziłem, bo nigdy przedtem się nie zamykał w sobie. Martwi mnie także to szperanie po archiwach bibliotecznych akademii. Czy znasz jakiś sposób na to, żeby sprawdzić, z czym właściwie się zapoznaje?

— Myślę, że tak — odrzekł Corwin i potarł dłonią policzek. — No cóż... czy przypominałeś mu o tym, że dziś wieczorem mamy zebranie Rady Wojennej Rodu Moreau?

— Tak — kiwnął głową tamten. — Powiedział, że postara się wziąć w nim udział.

— To dobrze — odparł z namysłem Corwin. — Bardzo dobrze. Pamiętaj, że nie rozmawiałeś dzisiaj ze mną, więc nie wiem, że mu przypominałeś. Zadzwoń

do niego jak dobry starszy brat i przy tej okazji postaram się wyciągnąć, o co chodzi. Zgoda?

— Jasne. Dzięki, Corwin... Dręczyło mnie to tak bardzo, że musiałem zadzwonić.

— Nie ma sprawy. Do zobaczenia wieczorem.

Twarz Joshuy zniknęła z ekranu. Przybrawszy nachmurzoną minę, Corwin wystukał numer akademii Kobr i poprosił o połączenie go z Justinem. Po chwili na ekranie pojawiła się twarz jego drugiego brata.

— Słucham? Ach, to ty... Cześć, Corwin. Co mogę dla ciebie zrobić?

Na długą sekundę Corwinowi odebrało mowę. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek przedtem Justin zwracał się do niego tak chłodno i oficjalnie. Tak rzeczowo, jeżeli już o tym mowa.

— Mm... dzwonię, bo chciałem zapytać, czy przyjdiesz dzisiaj wieczorem na Rodzinne Zebranie Okrągłego Stołu — odezwał się w końcu. — Zakładam, że tata ci o tym powiedział, prawda?

— Tak, mówił mi przed kilkoma dniami, a dziś przypomniał mi Joshua. Ciocia Gwen też tam będzie?

Do licha — pomyślał Corwin, krzywiąc się w głębi duszy. Miał zamiar zachować tę informację na sam koniec rozmowy jako coś w rodzaju smakowitej niespodzianki mającej zachęcić Justina do przyjścia. Ciocia Gwen — młodsza siostra Jonny'ego — była ulubioną krewną brata, chociaż od czasu przeprowadzki przed sześcioma laty na Palatinę jej wizyty w ich domu stawały się coraz krótsze i rzadsze.

— Zgadza się — powiedział. — Jako przedstawicielka geologów ma zapoznać się z danymi zebranymi na Qasamie.

Corwin nie był pewien, czy na dźwięk tego słowa usta Justina lekko nie zdrząły.

— Tak, tata wspominał, że ma przylecieć. No cóż, tak jak powiedziałem Joshui, postaram się przyjechać.

— Co robisz, że jesteś taki zajęty? — zapytał go Corwin, starając się, by jego głos brzmiał obojętnie. — Przecież wciąż nie jesteś na służbie, prawda?

— Oficjalnie, tak. Jest jednak coś, nad czym ostatnio pracuję, i zależy mi, by skończyć to jak najszybciej.

— Co takiego?



Wyraz twarzy Justina nie zmienił się.

— Dowiesz się, kiedy skończę. Na razie wolałbym nie mówić nic więcej.

Corwin wypuścił powietrze, przyznając się przed samym sobą do porażki.

— No dobrze, nie moja sprawa. Jeśli chcesz, bądź dalej taki tajemniczy. Tylko daj mi znać, jeżeli będziesz miał kłopoty z dojazdem, postaram się załatwić jakiś samochód.

— Dzięki. Odezwę się później.

— Cześć.

Ekran ściemniał, a Corwin odchylił się na krześle. Wyprawa na Qasamę niewątpliwie zmieniła jego brata — nie był tylko pewien, czy na lepsze. Niemniej, jak powiedział Joshui, gojenie się pewnych ran wymaga czasu.

Odezwał się brzęczyk interkomu. Zgłosił się Yutu — z jakimś nowym problemem, który wymagał zajęcia oficjalnego stanowiska. Corwin zwrócił uwagę na ekran sieci informacyjnej, starając się nie zaprzętać sobie głowy zmartwieniami związanymi z zachowaniem się młodszego brata.

Pyre czuł się tak, jak za dawnych dobrych czasów. Prawie.

Zaproszenia na obiady rodziny Moreau sprawiały mu zawsze wielką radość nie tylko dlatego, że czuł się dobrze w jej towarzystwie, ale i z uwagi na fakt, iż milcząca zgoda wszystkich na traktowanie jak członka rodziny była zaszczytem, który przypadł w udziale tylko nielicznym. W ciągu wielu spędzonych razem lat z przyjemnością obserwował, jak chłopcy stawali się coraz starsi, aż zaczęli brać udział w dyskusjach na równi z dorosłymi. Miał okazję zaznajomić się z meandrami polityki Światów Kobr, a nawet poznał starszą od siebie tylko o trzy lata Gwen Moreau na tyle dobrze, że rozmyślał, czy się z nią nie ożenić. Tego wieczoru, kiedy siedział przy stole, przysłuchując się i uczestnicząc w rozmowach, czuł, jak wspomnienia tamtych szczęśliwych lat unoszą się nad stołem niczym aromat bardzo dobrej kahve.

Czuł też jednak, że dobry nastrój i starania, by go podtrzymać, mąci widok pustego krzesła, na którym siadywał zwykle Justin. Jonny zapewniał wszystkich, że drugi bliźniak zdąży na czas, żeby wziąć udział w dyskusji, ale kiedy po obiedzie zjedzono deser, a po nim podano kahve, Pyre zaczął w to coraz bardziej wątpić.

Jeszcze gorsze od dobrowolnego wygnania Justina było nieuchronne przeświadczenie, że on ponosi za to winę.

Nie chodziło tu tylko o to, że był instruktorem młodego Kobry, odpowiedzialnym za przygotowanie go do wyprawy. Przeszkolił już wiele innych Kobr i uważał, że winą za zbytnią pewność siebie Justina, za brak tej odrobiny instynktu samozachowawczego, tak potrzebnego każdemu narażającemu życie, należy obciążyć jego osobowość. Wiedząc o tym, mógłby wprawdzie zabronić mu udziału w wyprawie, ale radzie bardzo zależało na uczestnictwie w niej obu bliźniaków, a on nie mógł podać konkretnego powodu, którym mógłby uzasadnić swój sprzeciw.

Gdyby jednak udał się w ślad za opancerzonym autokarem, którym Moff przewoził go z Sollas do Purmy...

Był to scenariusz, który Pyre rozważał w nieskończoność w czasie drogi powrotnej na Aventinę. Myśl o tym prześladowała go, ilekroć się nad tym zastanawiał. Gdyby śledził autokar, być może mógłby odbić Justina już na pierwszym postoju, a później razem z nim uwolnić Cerenkova i Rynstadta. Mógłby także czekać, aż zabiorą go do tamtego silnie strzeżonego budynku, i przyjść mu z pomocą, kiedy będzie w środku. Gdyby tak postąpił, Justin nie znalazłby się głęboko pod ziemią zdany tylko na własne siły, otoczony setkami wrogów i pozbawiony pomocy, na którą tak liczył.

A wówczas nie musiałyby zapłacić tak dużej ceny za przekonanie się, że nawet Kobry mogą się bać. Albo wpadać w panikę.

Mówiąc krótko, że są po prostu ludźmi.

Obiad dobiegł końca i wszyscy przeszli do salonu. Głos zabrał Jonny, ale za nim powiedział kilka zdań, rozległo się ciche pukanie i wszedł Justin.

Na chwilę zapadło niezręczne milczenie. Wszyscy naraz chcieli się odezwać, znaleźć właściwe słowa powitania, radości, zaciekawienia, troski czy zwyczajnej uprzejmości. Niezręczną sytuację przerwał w końcu Joshua.

— W samą porę — burknął na wpół serio. — Przecież to ty miałeś podawać główne danie.

Justin uśmiechnął się, czując, jak napięcie opada.

— Przepraszam za spóźnienie — zwrócił się do brata, również niecałkiem poważnie. — Steki z gantui będą lada chwila na stole, a jako częściową rekompensatę za spóźnienie przyjmijcie zapewnienie, że mięso jest wyjątkowo świeże.

Usiadłszy koło Joshuy, kiwnął pozostałym głową i z oczekiwaniem odwrócił się w stronę ojca.

— Dużo straciłem? — zapytał.

— Prawdę mówiąc, dopiero zaczynaliśmy. To, co chciałem powiedzieć... co chciałem zasugerować — zabrzmiało zapewne bardzo dziwnie — odezwał się z wahaniem Jonny, spoglądając po kolei na pozostałych. — Co gorsze, na poparcie swoich słów nie mam żadnego konkretnego dowodu, a poprosiłem was o przybycie głównie po to, byście pomogli mi zdecydować, czy rzeczywiście odkryłem coś ważnego, czy to wszystko jest tylko wytworem mojej fantazji. — Przerwał i popatrzył w stronę Chrys siedzącej na kanapie między Corwinem a Gwen i zatrzymał przez chwilę wzrok na jej twarzy, jak gdyby chciał szukać u niej poparcia. — Prosiłem was o zapoznanie się z treścią raportu z Tacty przedstawionym przez naukowców z "Menssany", a zwłaszcza z tą jego częścią, która dotyczy opisu ptaka nazwanego przez nas straszkiem. Opis zresztą nie zawiera szczegółów, jest tylko relacją z krótkotrwałej obserwacji jednego z okazów, jakiej dokonaliśmy w pobliżu perymetru statku. W raporcie nie ma jednak ani słowa na temat przekonania, jakiego nabrałem od tamtej chwili. Uważam mianowicie, że straszki wykazują pewne zdolności telepatyczne.

Wydawało się, że słowo to zawisnęło w powietrzu niczym gęsty dym. Pyre spojrzął na pozostałych: na Chrys, która wyglądała na zakłopotaną, na Corwina, Joshuę i Gwen, których twarze wyrażały zdumienie i niedowierzanie i w końcu na Justina, który sprawiał wrażenie, jak gdyby go to... zaniepokoiło.

— Wszystkie dowody, jakie mam na poparcie swoich słów, są, rzecz jasna, bardzo subiektywne — ciągnął Jonny — ale pozwólcie, że najpierw opowiem wam o wszystkim, co się wydarzyło, a później wysłucham waszego zdania.

Z namysłem, jak gdyby zdawał sprawę w sądzie, zaczął im opisywać, jak straszek przyglądał się im z nisko rosnącej gałęzi drzewa, jak zaczął zdradzać oznaki niepokoju, kiedy Jonny wezwał innych, jak wybrał właściwą chwilę, by odlecieć, w jaki sposób to zrobił i jakim fiaskiem zakończyły się wszelkie próby pochwylenia czy chociażby tylko ujrzenia innego takiego samego ptaka. Kiedy skończył, zapadła bardzo długa cisza.

— Czy ktoś oprócz ciebie doszedł do takiego samego wniosku? — zapytała w końcu Gwen.

— Dwie czy trzy osoby bardzo poważnie się nad tym zastanawiały — rzekł jej Jonny. — Z oczywistych powodów nikt nie napisał o tym w raporcie ani słowa, ale ręczę, że ja i Chrys nie wysłaliśmy sobie tej całej historii z palca.

— Uhm. Zapewne nie chodzi ci o telepatię w pełnym znaczeniu tego słowa, prawda? — powiedziała Gwen. — Jeżeli wziąć pod uwagę objętość mózgu straszka, nie może być tak rozumny, by ptak zdołał w i e d z i e ć, o czym myślą ludzie.

— Kiedy rozmawialiśmy wtedy na ten temat, doktor Hanford stwierdził mniej więcej to samo — odezwała się Chrys. — Zastanawialiśmy się wówczas, czy straszki mogą mieć coś w rodzaju zbiorowej świadomości, i doszliśmy do wniosku, że zapewne chodzi tu bardziej o poczucie zagrożenia, a nie zdolność czytania myśli ludzi.

— Też byłbym tego zdania — wtrącił się Corwin. — Zbiorowa świadomość, nawet gdyby istniała, nie powinna przejmować się utratą jednego ze swoich najmniejszych elementów. Prawdę mówiąc, mogłaby nawet celowo poświęcić jednego czy dwa straszki po to, żeby zobaczyć, jak sprawnie umiemy się posługiwać bronią.

— Słuszna uwaga — stwierdził Jonny, kiwnąwszy przedtem głową. — Skłaniam się ku teorii rozpoznawania zagrożenia, chociaż sędzę, że ptak musiałby wówczas mieć bardzo dokładną skalę wartości, żeby wiedzieć, kiedy zagrożenie jest niebezpiecznie duże.

— Jeżeli o to chodzi, moment odlotu mógł być wybrany najzupełniej przypadkowo — zasugerował Corwin.

— Całe to zdarzenie mogło być przypadkowe — odezwał się niepewnie Joshua. — Przykro mi, tato, ale w tym wszystkim nie widzę niczego, czego nie dałoby się wyjaśnić w inny sposób.

— No tak, zapewne masz rację — zgodził się z nim bez urazy Jonny. — I gdyby mnie tam nie było, zapewne także podchodziłbym do tego tak samo zdroworozsądkowe i sceptycznie. Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że masz rację. Tak czy siak, musimy jednak jakoś to rozstrzygnąć i to szybko.

— Dlaczego? — zapytał Pyre. — Wydaje mi się, że to fauna Tacty nie jest najważniejszym problemem, z jakim musimy się uporać. Skąd zatem taki pośpiech?

Jonny otworzył usta, ale pierwszy odezwał się Justin.

— Ponieważ rada musi wkrótce podjąć decyzję w sprawie wojny z Qasamą — powiedział beznamiętnie. — A straszki są spokrewnione z mojkami. Nie mam racji?

Jonny kiwnął głową, a Pyre poczuł, jak z twarzy odpływa mu cała krew.

— Chcesz powiedzieć, że walczyliśmy tam z ptakami umiającymi czytać w naszych myślach? — zapytał.

— Nie wiem — odparł Jonny. — Ty tam byłeś. Ty mi to powiedz.

Pyre przesunął językiem po wargach i spojrzął na Justina. Wstrząs, jaki przed chwilą przeżył, zaczynał z wolna mijać, i czuł, że znów może logicznie myśleć.

— Nie — odezwał się po dłuższej chwili. — Nie, nie miały zdolności telepatycznych. Po pierwsze, nie umiały rozpoznać, że jesteście Kobrami. Dopóki nie zacząłem strzelać, ani razu nie zareagowały w ten sposób, jak gdyby wiedziały, że jestem uzbrojony.

— Czy zdarzyło ci się widzieć, jak reagują na widok konwencjonalnej broni? — zapytała Gwen.

Pyre kiwnął głową.

— Przy pierwszym spotkaniu, obok statku, kiedy grupa zwiadowcza musiała zostawić lasery w służbie.

— I w przypadku Deckera — mruknął Justin.

— I w przypadku Deckera — powtórzył Pyre, czując dreszcz na wspomnienie poświęcenia Yorka. — Prawdę mówiąc, posunąłem się do stwierdzenia, że mojoki nawet nie czują zagrożenia, a przynajmniej nie w taki sposób, w jaki naszym zdaniem reagują straszki. Kiedy na skraju Sollas tamtej nocy wspinałem się po murze na dach, zaskoczyłem tam qasamańskiego strażnika i jego mojoka. Gdyby ptak zorientował się w jakiś sposób, że nadchodzę, poderwałby się do lotu. — Spojrzął znacząco na Justina. — Czy ty chciałbyś powiedzieć coś innego?

Młodszy Kobra wzruszył ramionami.

— Tylko tyle, że teoria o zbiorowej świadomości może iść na śmietnik, w każdym razie jeżeli chodzi o mojoki. Żaden nie nauczył się o nas niczego, chociaż zabijaliśmy je dziesiątkami. — Przerwał i lekko się skrzywił, jak gdyby na wspomnienie tamtych chwil. — I... jest jeszcze jedna sprawa.

Pozostali musieli to także wyczuć, gdyż przy stole zapadło pełne współczucia milczenie. Justin kilka razy otwierał usta, chcąc zacząć mówić, ale kiedy w końcu się przemógł, jego głos był jak zawsze spokojny i pewny siebie.

— Domyślam się, że przeczytaliście mój raport. Wiecie zatem, że... no cóż, kiedy zjeżdżałem windą do podziemi tamtego budynku w Purmie, po prostu wpadłem w panikę. Zabiłem wszystkie mojoki i kilku Qasaman w windzie, a po kilku minutach podobną grupę na korytarzu na górze. Nie wiecie jednak... a przynajmniej nie wszyscy, że to, co wówczas czułem, nie było zwyczajną paniką. Kiedy zaatakowały mnie mojoki, prawdę mówiąc, dosłownie straciłem zmysły. Nie pamiętam, w jaki sposób je zabijałem, a kiedy doszedłem do siebie, wszystkie były martwe.

Przerwał, starając się odzyskać spokój, ale zanim to zrobił, odezwał się Joshua.

— Czy zdarzyło się to tylko podczas ataku mojoków? — zapytał. — Qasamanie w taki sposób na ciebie nie działali?

Justin pokręcił głową.

— Nie w tym stopniu. A w każdym razie nie ci, z którymi jechałem windą. Jeżeli chodzi o innych... no cóż, też nie mogę sobie przypomnieć, w jaki sposób ich zabiłem. Nie wiem... może tylko staram się usprawiedliwić swoją porażkę.

— A może nie — odezwał się Jonny. — Almo, czy kiedy walczyłeś z mojokami, też doświadczyłeś czegoś podobnego?

Pyre zawahał się, starając się przypomnieć sobie tamte chwile. Bardzo chciałby powiedzieć, że tak było, by przywrócić Justinowi rzekomo utraconą godność. Gdyby mojoki naprawdę wpływały w jakiś sposób na stan emocjonalny młodszego Kobry...

Pokręcił jednak głową.

— Przykro mi, ale chyba nie. Z drugiej strony nigdy nie walczyłem z ptakami, które uznały mnie za zagrożenie. Być może powinniśmy porozmawiać z Winwardem i dowiedzieć się, co on wówczas przeżył.

Joshua zamyślił się, patrząc na ścianę.

— Miasta. Projektują je z myślą o mojokach. Czy sądzicie, że może to mieć większe znaczenie, niż sądzimy?

Gwen poruszyła się niespokojnie.

— Muszę przyznać, że nie rozumiem, na czym polega to "projektowanie", a zwłaszcza, skąd bierze się zwariowany pomysł przepędzania centralnymi ulicami wielkich stad bololinów. Czy nie byłoby o wiele prościej wyprawiać się na polowania, kiedy mojokom przyjdzie ochota na rozmnażanie?

— Albo w samym mieście założyć ptaszarnie z tarbinami? — zasugerowała Chrys. — Nie wspominając już o tym, że wówczas byłoby o wiele prościej rozmnażać oswojone mojoki niż wyprawiać się poza miasto i łapać dzikie.

— To z pewnością miałyby większy sens — zgodził się z nią Pyre.

— Zakładając — odezwał się cicho Corwin — że to Qasamanie o tym zdecydowali.

No i stało się — pomyślał Pyre. — To, o czym inni myśleli, ale jakoś nie chcieli się z tym zdradzić, zostało w końcu powiedziane. Popatrzył po twarzach

wszystkich osób, mając nieprzyjemne wrażenie, że widzi nakładający się na nie obraz Qasamanina-marionetki, której sznurki trzyma w dziobie wielki mojok.

Po krótkiej ciszy, jaka zapadła po tych słowach, pierwszy odezwał się Justin.

— To nie jest tak, jak sądzicie, że mojoki potrafią rozkazywać swoim panom — powiedział. — Tamtej nocy było ich wiele, a mimo to "Dewdrop" udało się odlecieć bez przeszkód.

Pyre także się nad tym zastanowił.

— Tak — potwierdził z wahaniem. — Gdyby to miało być prawdą, mojoki powinny w jakiś sposób wpłynąć na mnie, zarówno w lasach otaczających Purmę, jak w biurze burmistrza Kimmerona. Nie zrobiły tego, widocznie więc nie mogły.

— Może muszą trochę dłużej z kimś przebywać — odezwał się Corwin. — A może ich zdolności znikają przy większej odległości albo pod wpływem stanu napięcia nerwowego.

— Zaczęliście rozważać problem w kategoriach ilościowych — wtrąciła się cicho Chrys. — Czy to znaczy, że wszyscy zgadzacie się z opinią, iż mojoki w pewien subtelny sposób wpływają na bieg wydarzeń na Qasamie?

Zapadła cisza.

— Miasta — powiedział wreszcie Justin. — Świadczy o tym architektura miast. Qasamanie zadali sobie bardzo dużo trudu, żeby stworzyć namiastkę naturalnego sposobu rozmnażania się mojków, chociaż istnieje wiele innych, prostszych metod rozwiązania tego zagadnienia. To zabawne, że żaden z nas wcześniej o tym nie pomyślał.

— Może wcale nie takie zabawne — odezwał się ponuro Pyre. — Może mojomkom udało się chociaż w niewielkim stopniu powstrzymać naszą ciekawość, przynajmniej w tej kwestii.

— A może nie — odciął się Joshua. — Nie przypisujmy tym ptakom zbyt wielkich, nadludzkich umiejętności, dobrze? Pamiętajcie, że nie są nawet inteligentne. Uważam, że my, ludzie, mamy i bez nich wyjątkową zdolność do przecoczenia tego, co najbardziej oczywiste.

Dyskusja na ten temat ciągnęła się jeszcze przez jakiś czas, a później zaczęto omawiać inne sprawy... które wszystkich pochłonęły tak bardzo, że tylko Pyre zwrócił uwagę, że Justin wyszedł.

Burko w przydzielonym mu na pewien czas pokoju było zbyt małe i o parę centymetrów za krótkie, ale stał na nim terminal komputerowy, a to było

wszystko, co Justina obchodziło. Wystukał właśnie na klawiaturze kolejne polecenie wyszukania interesujących go danych, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

— Proszę — powiedział machinalnie, spodziewając się, że znów ktoś będzie rzędził, że pracuje do późnych godzin nocnych...

— Nikt nigdy ci nie powiedział, że to niegrzecznie wychodzić bez pożegnania?

Odwrócił się na obrotowym krześle, czując, że zaczyna się rumienić z zaskoczenia i wstydu.

— Ach... cześć, ciociu Gwen — udało mu się powiedzieć bez zająknięcia. — Mm... no cóż, byliście tacy zajęci rozmową o mojokach, a ja miałem tu jeszcze trochę pracy...

Przerwał pod wpływem jej uporczywego spojrzenia.

— Aha — powiedziała. — No cóż, wielka szkoda, że zdecydowałeś się na wyjście w takiej chwili. Straciłeś szansę zapoznania się z moją analizą.

— Tą na temat budowy geologicznej Qasamy i rozmieszczenia na niej rud ważniejszych metali?

— Właśnie. Zawiera niespodziankę: informację o sposobie, w jaki Qasamianie porozumiewają się z sobą na duże odległości.

Justin zamrugał oczami. Serce mu szybciej zabiło.

— Naprawdę to odgadłaś? Nie daj się dłużej prosić... Jak to robią?

— Coś za coś — oznajmiła, machnąwszy ręką w stronę blatu biurka i leżących na nim map i papierów. — Najpierw wyjaw mi swoją tajemnicę.

Justin skrzywił się... ale przypomniał sobie, że i tak zamierzał już wkrótce komuś o tym powiedzieć. Gdyby zrobił to teraz, mógł liczyć na to, że ciocia Gwen go zrozumie.

— No dobrze — westchnął w końcu. — Staram się opracować plan taktyczny następnej wyprawy zwiadowczej na Qasamę.

Gwen nie spuszczała z niego wzroku.

— Dlaczego uważasz, że dojdzie do następnej wyprawy?

— Nie może nie dojść — odparł. — Pierwsza nie pozwoliła odpowiedzieć na zbyt wiele bardzo ważnych pytań. Chociażby na temat ich podziemnych ośrodków przemysłowych, a także mojoków, o ile tata ma rację.

— Aha. Domyślam się, że chciałbyś zostać dowódcą tej wyprawy?



Wargi Justina lekko drgnęły.

— Nic podobnego... chciałbym tylko być jednym z jej uczestników.

— Uhm. — Gwen rozejrzała się po pokoju, sięgnęła po stojące obok drzwi krzesło i postawiła je przy stole w taki sposób, by mogła siedzieć twarzą do bratanka. — Wiesz co? — odezwała się, kiedy usiadła. — Gdybym nie znała cię tak dobrze, mogłabym pomyśleć, że starasz się przed czymś uciec.

— Jeżeli chcesz wiedzieć, nie sądzę, żeby wyprawianie się po raz drugi na Qasamę można było nazwać ucieczką — oburzył się Justin.

— To zależy od tego, czemu musisz tam stawić czoło. Wiem, że niełatwo jest zostać, jeśli czujesz, albo tylko wydaje ci się, że czujesz, jak wszyscy inni cię potępiają. Czasem jednak większym tchórzostwem jest każde inne wyjście.

Justin nabrał głęboko powietrza w płuca.

— Ciociu Gwen — powiedział. — W żadnym razie nie możesz wiedzieć, jak się czuję. Tam, na Qasamie, zawiodłem na całej linii i teraz muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, by się zrehabilitować, przynajmniej we własnych oczach.

— Nie słuchałeś tego, co mówiłam. To nie chodzi o sprawianie zawodu. Uważam, że pochopna decyzja o wzięciu udziału w jakiegokolwiek akcji jest formą ucieczki. Kropka. A jeżeli już o tym mowa, to wiem, jak się czujesz. Kiedy twój ojciec wrócił z wojny... — Przerwała i zaciśnęła usta, ale po chwili mówiła cicho dalej. — Pewnej nocy w jego rodzinnym mieście doszło do wypadku, w którym... był nieumyślnym sprawcą śmierci dwóch kilkunastoletnich chłopców.

Justin poczuł, jak mu zasycha w gardle.

— Nigdy o tym nie opowiadał — odezwał się cicho.

— Nie było czym się chwalić. — Westchnęła. — Wydarzyło się to, kiedy tamci udawali, że chcą przejechać go samochodem. Zaprogramowane odruchy Kobry kazały twojemu ojcu zareagować w taki sposób, że zginęli. Szczegóły nie są zresztą ważne. Później także starał się uciec przed samym sobą. Zdażył nawet wypełnić i przygotować do wysłania formularze o przyjęcie go na jakąś pozaplanetarną uczelnię, a jednak został. Został i nie tylko pomógł nam wszystkim uporać się z niechęcią, jaką darzyli go inni, ale nawet ocalił życie kilku ludzi, ratując ich przed śmiercią w ogniu.

— A więc został... ale później opuścił rodzinne strony na dobre i przyleciał tu, na Aventinę?

Gwen zamrugała oczami.

— No cóż... tak, ale to nie to samo. Władze potrzebowały wówczas pomocy Kobr w podbijaniu nowych światów i ochronie kolonistów...

— Czy mógł odmówić?

— Trudno mi powiedzieć. Nie zrobiłby tego, gdyż wiedział, że jego zdolności i umiejętności są najbardziej przydatne właśnie tutaj.

Justin rozłożył szeroko ręce.

— Ciociu, czy tego nie rozumiesz? Użyłaś mojego własnego argumentu. Poleciał, bo jego umiejętności Kobry były potrzebne tutaj. Moje umiejętności są potrzebne na Qasamie, więc też chcę polecieć. To przecież jedno i to samo.

— Wcale nie — odezwała się Gwen, a w jej oczach i głosie odbiło się niemal błaganie. — Ty nie masz doświadczenia i nie zostałeś wyszkolony po to, żeby być wojownikiem. Starasz się uspokoić gryzące cię sumienie w ten sposób, że chcesz się zemścić.

Justin westchnął i pokręcił głową.

— Nie chcę się zemścić. Naprawdę nie chcę. Od chwili przylotu aż do dzisiaj miałem dwa tygodnie na to, żeby uporać się z emocjami, i... wydaje mi się, że rozumiem motywy swojego postępowania. Qasaman należy powstrzymać, a żeby to zrobić, trzeba zebrać na ich temat więcej danych... — Przerwał i głęboko odetchnął. — A nawet jeżeli nie jestem prawdziwym wojownikiem, nie sądzę, żeby na Aventynie udało się znaleźć jakiegoś innego.

— Twój ojciec bardzo się starał, żeby Kobry służyły sprawie rozwoju kolonii i zapewnienia kolonistom bezpiecznych warunków życia.

— Ale przedtem musiał przejść przez swoją wojnę — odparł Justin. — Tak jak ja muszę teraz przejść przez swoją.

Na długą chwilę w pokoju zapanowało milczenie. Później Justin obdarzył Gwen grymasem, który od biedy mógł uchodzić za uśmiech.

— Teraz twoja kolej — powiedział. — Na czym polega twoja tajemnica?

Gwen przeciągle westchnęła, najwyraźniej przyznając się do porażki.

— Jeżeli rzucisz okiem na mapę topograficzną Qasamy, zobaczysz, że wszystkie wioski i miasta są rozrzucone wzdłuż długiego, wygiętego jak bumerang grzbietu, mierzącego mniej więcej sześć kilometrów szerokości w najszerszym miejscu i cztery tysiące długości. Są podstawy, by sądzić, że grzbiet powstał na skutek wylewu dużych ilości magmy bazaltowej.

— Musiało być jej bardzo dużo — mruknął Justin.

— To prawda, chociaż ze światów Dominium, na których byłam, znam kilka przykładów obfitych wylewów. Tak czy inaczej, dokonałam niezbędnych symulacji komputerowych i doszłam do wniosku, że najprawdopodobniej bazalt przedarł się przez warstwy skał zawierające wysokoprocentowe rudy metali. Jeżeli to prawda, Qasamanie dysponują podziemnym, znajdującym się na głębokości stu metrów naturalnym falowodem, którym mogą przesyłać swoje niskoczęstotliwościowe sygnały, jeśli tylko umieszczą anteny w odpowiednich miejscach. Spotkałam się już z przykładem wykorzystania tego zjawiska gdzie indziej, ale tutaj bazalt, otoczony rudami metali, zatrzymuje w swym wnętrzu prawie cały sygnał. Na powierzchnię nie przedostaje się nic, co mogłoby zostać podsłuchane przez wrogów.

Justin cicho gwizdnął.

— Sprytne. Bardzo sprytne — powiedział. Planeta posiadająca naturalną sieć kablową do przesyłania sygnałów... Jeżeli to prawda, mógł pozbyć się jakichkolwiek złudzeń, że mojoki potrafią czytać myśli na duże odległości. — Kiedy będziesz wiedziała na pewno, czy masz rację?

Ponownie westchnęła.

— Przypuszczam, że nie wcześniej, aż twoja zwiadowcza wyprawa natrafi na te anteny. — Patrzyła na niego przez kilka chwil, a później wstała. — Czas na mnie — powiedziała. — Na dole czeka Almo, żeby odwieźć mnie do hotelu. Zadzwoń do ciebie trochę później.

— Dziękuję, że wstąpiłaś — rzekł Justin. — I nie martw się... tym razem wyprawa będzie trwała tylko dzień lub dwa, więc kiedy przedłożę raport, będę miał więcej czasu dla rodziny.

— Jasne. No cóż... W takim razie dobranoc.

— Dobranoc, ciociu Gwen.

Przez dłuższą chwilę stał w milczeniu tam, gdzie go zostawiła, wpatrując się w zamknięte drzwi. Qasamański falowód znajdował się sto metrów pod powierzchnią planety. Mniej więcej trzydzieści pięter... w przybliżeniu tyle samo, ile guzików miała winda tamtego budynku w Purmie, z którego uciekł. Czy właśnie tym miał być? Ośrodkiem lokalnej łączności, a nie szybem wiodącym do podziemnych zakładów przemysłowych, jak sądził? Jeśli tak...

Jeśli tak, decydując się tak szybko na ucieczkę, stracił szansę obejrzenia czegoś, co miało właściwie tylko niewielkie znaczenie.

Mimo wszystko nie musiał więc uważać, że zawiódł. A przynajmniej nie w takim stopniu, jak sądził do niedawna.

Była to pocieszająca myśl, ale w sensie praktycznym niczego nie zmieniała. Na Qasamie było jeszcze wiele do zrobienia, a on i jego koledzy Kobry byli jedynymi ludźmi zdolnymi to wykonać.

Wróciwszy do biurka, z nową energią zabrał się znów do pracy.

# ROZDZIAŁ 11

Stiggur nie był argumentami Jonny'ego ani zaskoczony, ani przekonany. Z oczywistych względów większość zebranych również nie.

— Ptak umiejący czytać w myślach — obruszył się Yartanson. — Daj spokój. Nie uważasz, że tym razem trochę przesadziłeś?

Jonny z dużym wysiłkiem zmusił się do zachowania spokoju.

— A co z architekturą miast? — zapytał w odpowiedzi.

— A co ma być? — odciął się Yartanson. — Można to wyjaśnić na sto innych sposobów. Może mojoki źle się czują, jeżeli się regularnie nie mnożą, a mieszkańcy miast są tak leniwi, że nie chcą wyprawiać się w tym celu do lasu? Może nie mogą wznieść muru wokół miasta, żeby powstrzymać bololiny, i ten sposób uznali za możliwy do przyjęcia kompromis?

— To po co w ogóle budują miasta? — zapytał Jonny. — Nie lubią tłoku, dlatego nie zadowolą się wioskami?

— Ponieważ życie w większych gromadach ma wiele społecznych i ekonomicznych zalet — odezwał się Fairleigh. — Jako powód wystarczy podać chęć maskowania podziemnych zakładów przemysłowych.

— A jeżeli chodzi o te tactańskie straszki — powiedział Roi — porównywanie ich z moją okami uważam za mocno naciągane. A wnioski, jakie na tej podstawie wyciągasz, są wręcz śmieszne. Przykro mi, ale nie mogę tego nazwać inaczej.

— To dość śmiałe stwierdzenie jak na kogoś, kto nie ma pojęcia o biologii — odparł cierpko Jonny.

— Czyżby? No cóż, może zatem powinniśmy poprosić o zabranie głosu naszą etatową panią biolog — powiedział Roi, zwracając się do Telek. — Lizabet, co o tym sądzisz?

Telek spojrzała na niego chłodno, a później w taki sam sposób popatrzyła kolejno na pozostałych.

— Myślę — odezwała się w końcu — że byłoby o wiele lepiej dowiedzieć się tego na pewno. I to jak najszybciej.

Po jej słowach zapadła pełna zdumienia cisza. Jonny spojrzał na nią, czując, że jej niespodziewane poparcie niemal wytrąca go z równowagi.

— Zgadzasz się z tym, że mojoki wpływają w jakiś sposób na zachowanie się Qasaman? — zapytał.

— Zgadzam się z tym, że spełniają ważniejszą funkcję, niż nam się wydaje — oświadczyła. — Musimy się dowiedzieć, o ile ważniejszą.

Stiggur chrząknął.

— Lizabet... Rozumiem, że twoja zawodowa ciekawość zwrócona jest bardziej na mojoki, niż na zaplecze techniczne — powiedział. — Sądzę jednak...

— Pozwól zatem, że ujmę to w inny sposób — nie dała mu dokończyć zdania. — Dowiedziałam się o teorii Jonny'ego dopiero wczoraj... nieważne, w jaki sposób... i poświęciłam trochę czasu na dokładniejsze przestudiowanie danych zebranych na Qasamie — oświadczyła, a później spojrzała na Roia. — Olor, moim zdaniem chyba najpopularniejszym zwierzęciem domowym na naszych światach jest palatiński jarzonos. Zgadzasz się z tym? To dobrze. Jak sądzisz, ilu ludzi na Palatinie ma w domu przynajmniej jednego?

Roi kilka razy mrugnął.

— Nie wiem. Nigdy o tym nie myślałem. Jakies osiemdziesiąt procent?

— Zadałam sobie trochę trudu, by to sprawdzić — rzekła

Telek. — Zakładając, że każdy mieszkaniec planety hoduje tylko jednego, dokładna liczba nie przekracza sześćdziesięciu procent. A ponieważ niektórzy mają po kilka, dochodzi do osiemdziesięciu siedmiu.

— Co to ma do rzeczy? — zapytał ją Stiggur. Telek spojrzała mu prosto w oczy.

— Trzyście procent ludzi szalejących na punkcie zwierząt domowych nie ma u siebie w domu ani jednego. Ale każdy, dosłownie każdy Qasamanin ma swojego mojoka.

W ciszy, jaka zapadła po jej słowach, Jonny zmarszczył brwi starając się przypomnieć sobie sceny, które widział, kiedy zapoznawał się z raportami. To całkiem możliwe — pomyślał, trochę zaskoczony.

— Żadnych wyjątków? — zwrócił się z pytaniem do Telek.

— Tylko trzy, które znalazłam w pamięci komputera. Dwóch możemy nie brać pod uwagę, jako że dotyczą dzieci, które nie ukończyły dziesięciu lat oraz tancerzy i walczących mężczyzn. Tym ostatnim zresztą i tak zwrócono ich ptaki

po skończeniu walki, a sędzę, że mojoki tancerzy także czekały na nich gdzieś za kulisami. Jeżeli wziąć to wszystko pod uwagę, otrzyma się sto procent dorosłych ludzi posiadających własne ptaki. Zapraszam do dyskusji, co sądzić na ten temat.

— Życie na ich planecie jest bardzo niebezpieczne — odezwał się Yartanson, wzruszając ramionami.

— Wcale nie — sprzeciwiła się Telek. — Wioski powinny być dość bezpieczne. Otaczają je przecież mury, a sami Qasamanie przyznają, że drapieżne krisjawy spotyka się coraz rzadziej. W miastach mają alarmy ostrzegające ich o bololichach, więc także nie muszą się niczego obawiać. Argument o niebezpiecznym życiu jest zapewne wygodny, ale bardzo wątpliwy.

— Jak pogodzisz z tym fakt, że wszyscy mieszkańcy nie ruszają się nigdzie bez broni? — zapytał Roi.

— Właśnie — poparł go Jonny. Stwierdził, że siedzący po drugiej stronie stołu Hemner coś cicho mruknął i zaczął bawić się swoim ekranem. Zaczekał chwilę, ale kiedy tamten nie powiedział nic więcej, zwrócił się do Yartansona. — Howie, czy pozwoliłbyś swoim obywatelom na noszenie broni w zamkniętych, bezpiecznych pomieszczeniach?

Yartanson z namysłem pokręcił głową.

— Rzecz jasna, Kobry są uzbrojone, ale wszystkich innych sprawdzamy zaraz po wejściu, czy nie mają broni.

— Być może Qasamanie żyli się z bronią tak bardzo, że teraz nie potrafią bez niej chodzić — odezwał się Fairleigh. — Nie możecie się spodziewać, że z dnia na dzień z tego zrezygnują.

— Dlaczego nie? — zapytała Telek. — Pamiętaj, że od niepamiętnych czasów mają także zwyczaj nieatakowania się nawzajem.

— A poza tym — dodał Hemner, wpatrując się w swoje dłonie — zakaz noszenia broni w obrębie miasta wprowadzono bez przeszkód na dziesiątkach planet Dominium.

— Nie sędzę, żeby Qasamanie tak łatwo się na to zgodzili — rzekł Roi, kręcąc głową.

— Może wróćmy do tematu, dobrze? — odezwała się Telek. — Zastanawiamy się nad tym, dlaczego Qasamanie nadal zawracają sobie głowy noszeniem mojoków, skoro ich bezpieczeństwo od tego nie zależy.

— Na to pytanie już sobie odpowiedzieliśmy — westchnąwszy, powiedział Stiggur. — Dopóki chociaż jedna osoba nosi mojoka i broń, dopóty muszą je nosić wszyscy. W przeciwnym razie nie będą się czuli bezpieczni.

— Uwarunkowania kulturowe...

— Większości wystarczą — dokończył Stiggur. — Większości, ale nie wszystkim. A ja, gdybym był Qasamaninem, chciałbym mieć obronę nawet przed tą małą grupką zagrażających innym ludzi.

Telek skrzywiła się, wyraźnie próbując spojrzeć na problem z innej strony.

— Brom... — zaczęła.

— No dobrze, już dosyć gadania — odezwał się stanowczo Hemner. — Uważam, że powinniśmy przegłosować propozycję Lizabet. I to natychmiast.

Oczy wszystkich skierowały się na kruchego, starszego mężczyznę.

— Jor, wprowadzasz do naszej dyskusji zamęt — odezwał się cicho Stiggur. — Dobrze wiem, że wszyscy podchodzimy do tego bardzo emocjonalnie...

— Naprawdę wiesz? — Hemner uśmiechnął się z przymusem. Jonny z lekkim niepokojem stwierdził, że jego dłonie, zamiast jak zwykle spoczywać na blacie stołu, były teraz niewidoczne. — I jak sądzę, wolisz gadać, zamiast działać? Manipulować emocjami innych jest przecież o wiele łatwiej, prawda? No cóż, czas jednak na działanie. Chcę, żebyś zarządził głosowanie nad przyjęciem propozycji Telek w sprawie dalszych badań mojoków, bo inaczej...

— Co inaczej? — warknął Stiggur, czując, jak zaczyna ogarniać go rozdrażnienie.

— Inaczej przeciwnicy propozycji zostaną wyeliminowani — rzucił szorstko Hemner. — Począwszy od niego.

Wyjął spod blatu stołu prawą dłoń i trzymany w niej mały płaski pistolet zaczął kierować w stronę Roia.

Ktoś sapnął... ale zanim dłoń z pistoletem znieruchomiła, do akcji wkroczył Jonny. Lasery jego małych palców rozbłysły nitkami światła, z których jedna trafiła w pistolet, a druga przeszła powietrze tuż przed oczami Hemnera. Kiedy starszy mężczyzna poczuł na dłoni i twarzy ciepło promieni, szarpnął się gwałtownie do tyłu, a lufa pistoletu skierowała się w górę. Uchwyciwszy się obiema dłońmi krawędzi blatu, Jonny odepchnął swoje krzesło do tyłu tak mocno, że znalazło się pod ścianą, a sam wyskoczył nad blat stołu, poszybował ku Hemnerowi i kopnął go w dłoń z pistoletem. Usłyszał głośny jęk, a potem broń wylądowała pod przeciwległą ścianą.



— Zabierzcie mu pistolet! — krzyknął, czując ostry ból, jaki podczas tych ewolucji przeszył jego dręczone artretyzmem stawy. Później obrócił się, usiadł na stole przed Hemnerem i mocno schwycił go za oba nadgarstki. — Jor, co, u diabła, chciałeś przez to osiągnąć?

— Zamierzałem udowodnić wam pewną prawdę — odparł spokojnie tamten, bez śladu porywczosci, która przed minutą wszystkich tak zdziwiła. — Moje nadgarstki... nie tak mocno!

— Co zamierzałeś zrobić?

— Niech mnie diabli.

Głos należał do Roia i Jonny odwrócił się w jego stronę.

Roi stał pod przeciwległą ścianą, trzymając "pistolet" Hemnera...

... który był niczym więcej jak wiecznym piórem wciśniętym w kunsztownie złożoną magnetyczną kartę.

Jonny popatrzył na Hemnera.

— Jor... o co tu właściwie chodzi?

— Już mówiłem, chciałem tylko czegoś dowieść — odparł tamten. — Uff... Czy nie mógłbyś...?

Uwolniwszy dłonie Hemnera, Jonny zszedł ostrożnie ze stołu, okrążył go i wrócił na swoje miejsce. Roi także usiadł, a Stiggur chrząknął.

— Lepiej, żeby to wyjaśnienie miało jakiś sens — ostrzegł Hemnera.

Tamten kiwnął głową.

— Olor, czy byłeś uzbrojony, kiedy udałem, że mierzę do ciebie z pistoletu? — zapytał.

— Oczywiście, że nie — parsknął Roi.

— A jednak, nawet gdybym miał prawdziwy pistolet, nie mógłbym ci nic zrobić, prawda? Wiesz, dlaczego?

— Dlatego, że był z nami Jonny, a on jest od ciebie znacznie szybszy.

Hemner kiwnął głową i zwrócił się do Stiggura.

— Bezpieczeństwo, Brom. Nie wszyscy muszą mieć mojoki, żeby mogli się czuć bezpieczni. Mojoki atakują każdego, kto wyciąga pistolet, bez względu na to, czy stanowi to zagrożenie dla jego pana, czy nie. — Machnął ręką w stronę swojego ekranu. — Dowodzą tego zarejestrowane obrazy scen, jakie rozegrały się w autokarze, kiedy ptaki zareagowały na atak Yorka. Sam niedawno je oglądałem.

Nawet jeżeli wszyscy noszą broń, nie wszyscy muszą mieć mojoki. Uważam, że przy tak głęboko zakorzonej niechęci do przemocy, wystarczyłoby, gdyby miało je najwyżej dwadzieścia procent Qasaman.

— Zakładając, że będą tak samo spokojni bez swoich szponiastych przyjaciół na ramionach, którzy by im o tym przypominali — burknął Fairleigh. — Może są bardziej agresywni, kiedy ich nie mają?

Yartanson nagle się roześmiał.

— Dylan, czy wiesz, co przed chwilą powiedziałaś? Niemal dokładnie to samo, co przedtem mówił Jonny. — Zwrócił się do Jonny'ego. — No dobrze, zgadzam się, że mojomu należy poświęcić więcej uwagi. Ale zbadać należałoby także bazę techniczną Qasaman, a ja nie potrafię powiedzieć, która z tych dwóch spraw jest ważniejsza.

— Więc zbadajmy obie naraz — odezwała się Telek. Sięgnąwszy do stosu magnetycznych dysków leżących na stole przed nią, wyjęła jeden i wsunęła do czytnika. — To, co mam, jest kompletnym planem taktycznym, jaki wczoraj doręczył do mojego biura Almo Pyre. Chciałabym, żebyście uważnie go przeczytali i potraktowali jako plan następnej wyprawy na Qasamę. Brom?

— Ktoś ma jakieś uwagi albo chce zgłosić sprzeciw? — zapytał Stiggur, wzdychając wzrokiem po twarzach. — W takim razie w porządku. Zapoznajmy się z tym planem.

Telek przesłała zapis na pozostałe ekrany i wszyscy zajęli się czytaniem. Jonny, studiując plan, przypomniał sobie okres własnego szkolenia... a w miarę, jak poznawał szczegóły, rósł w nim podziw dla profesjonalnego podejścia Pyre'a. Mimo że komputerowa biblioteka akademii zawierała wiele podręczników z zakresu historii, techniki i taktyki walki, trzeba było mieć wielki talent, żeby sporządzić plan tak wszechstronny, zwłaszcza po odbyciu tylko pobieżnego szkolenia, jakie mogły zapewnić Pyre'owi i jego podwładnym pierwsze Kobry.

Dopiero jednak kiedy dotarł do końca ostatniej strony, zauważył nazwisko autora planu... i wpatrywał się w nie przez minutę, zanim w końcu mógł w to uwierzyć.

Był nim Justin Moreau.

Czas oczekiwania w biurze Telek na jej powrót przedłużył się do prawie dwóch godzin, ale Pyre niemal tego nie zauważył. Plan Justina został opracowany w najdrobniejszych szczegółach, lecz młodszy Kobra z oczywistych względów nie mógł przydzielić zadań. Pracą tą będzie musiał zająć się koordynator Sun i inni dowódcy Kobr, o ile, rzecz jasna, przyjmą plan Justina. Nie znaczyło to, że

Pyre nie mógł przedstawić im do akceptacji spisu nazwisk osób, które jego zdaniem powinny wziąć udział w wyprawie. Kiedy wróciła Telek, skończył właśnie ustalać skład głównej grupy i zastanawiał się nad uczestnikami pierwszego z trzech patroli.

— No i? — zapytał, kiedy zamknęła drzwi i opadła na krzesło stojące za biurkiem.

— Zgodzili się — powiedziała z satysfakcją, ale było widać, jak była tym zmęczona. — Brom musi jeszcze przedstawić to do akceptacji przywódcom pierwszych Kobr, ale nie sądzę, żeby chcieli dokonać jakichś istotnych zmian. Nadal chcesz mieć te dwa tygodnie na wyposażanie i szkolenie Kobr biorących udział w wyprawie?

Pyre kiwnął głową.

— Potrzebują układów wspomagających system naprowadzania na wiele celów naraz i dodatkowego szkolenia taktycznego. Przynajmniej niektórym przyda się teraz doświadczenie, jakie zdobyli podczas tropienia i polowania na kolczaste lamparty.

— Aha. Czy... hm... kiedy będziesz na Qasamie, zamierzasz wyprawić się do lasu?

— Takie miałem plany. Chyba, że twoim zdaniem powinienem być w grupie, która znajdzie się w wiosce.

Telek zacisnęła wargi.

— Prawdę mówiąc, byłoby chyba lepiej, gdybyś pozostał na pokładzie i stamtąd koordynował poczynania innych.

— Czyżby? — Pyre obdarzył ją zdumionym spojrzeniem. — Wolałabyś, żebym w ogóle nie schodził na ląd?

— Wolałabym, żebyś nie ryzykował życia, jeżeli już musisz wiedzieć — przyznała niechętnie. — Uważam, że zrobiłeś, co do ciebie należało.

— Aha. Tak samo jak Justin, Michael i Dorjay? A może w moim przypadku chodzi o coś innego, ponieważ tak bardzo ci zależało, żebym wziął udział w tamtej wyprawie na pokładzie "Dewdrop"?

Uśmiechnęła się gorzko.

— A więc dowiedziałeś się o tym. Miałam nadzieję, że potrafię trochę lepiej się maskować.

— Mam przyjaciół w elicie władzy. Tym bardziej byłem zdziwiony, że nalegałaś na mój udział.

Telek głośno westchnęła.

— No cóż, nie chodziło mi o to, że jesteś dobrym przyjacielem rodziny Moreau — powiedziała. — Chociaż właśnie z tego powodu poprosiłam ciebie i Hallo-rana o dokonanie wstępnej analizy kosztów. Jeżeli jednak chodzi o samą wyprawę... — Przerwała i spojrzała za okno na widoczną w dole panoramę Capitali. — Od samego początku dręczyło mnie pytanie, dlaczego Baliusanie sądzą, że do rozprawienia się z Qasamanami nadają się bardziej Kobry niż Troftowie.

— Musieli już wtedy wiedzieć, że mojoki atakują każdego, kto wyciąga pistolet — zasugerował Pyre.

— Bez wątplenia. Poza tym zastanawialiśmy się wówczas, czy nie chodzi im o wypróbowanie naszych umiejętności. Później jednak przyszło mi do głowy jeszcze jedno wyjaśnienie.

— Myślisz, że mogli wiedzieć, iż Qasamanie są takimi samymi istotami, jak my? — zapytał.

— Uważam to za całkiem możliwe — rzekła Telek, kiwnąwszy głową. — Wiedzieli, że Kobry będą miały przewagę w walce z innymi, zwykłymi ludźmi. A jako istoty z natury sprytnie, nie chcieli, rzecz jasna, żebyśmy dowiedzieli się o tym, zanim nie przedsięwzięmiemy jakichś kroków.

— Ta-a — mruknął przeciągle Pyre. — Na Qasamie z trudem udało się nam ująć z życiem, a po powrocie mamy duże kłopoty z wytłumaczeniem tego wszystkiego opinii publicznej. Wyobraź sobie, co by się działo, gdybyśmy od samego początku wiedzieli, że przyjdzie nam walczyć z ludźmi. — Przerwał i przymrużywszy oko, popatrzył na Telek. — To wszystko jednak nie tłumaczy, dlaczego zależało ci na moim udziale w wyprawie.

Głęboko westchnęła.

— Nie podobała mi się sama myśl o tym, że może zażąda się ode mnie zgody na walkę z inną kolonią ludzi — powiedziała. — Nalegałam na twój udział, by mieć pewność, że podczas oceny sytuacji nie popełnię błędu. Czy wiesz, Almo, że byłam kiedyś zamężna?

Pokręcił głową, nie zwracając uwagi na tę niespodziewaną zmianę tematu.

— Rozwiodłaś się?

— Owdowiałam. Jeszcze zanim zgodziłam się pełnić funkcję gubernatora. Mój mąż był Kobrą... zginął na Caelianie. — Umilkła, a na jej twarzy odmalowały

się wspomnienia tamtych czasów. Pyre czekał, przeczuwając, co może usłyszeć za chwilę. — Bardzo mi go przypominasz — odezwała się po dłuższej przerwie. — Nie tylko z wyglądu, ale przede wszystkim w zachowaniu. Chciałam mieć obok siebie kogoś, kto nie pozwoliłby mi zapomnieć o potrzebie zdobycia nowego świata, na który mogliby się przenieść Caelianie.

— Nawet gdyby ten świat miał zostać zdobyty za cenę życia Qasaman? — burknął opryskliwie.

Jego słowa zabrzmiały bardziej szorstko, niż zamierzał, ale Telek nawet nie się nie skrzywiła.

— Tak — odparła cicho. — Nawet za taką cenę. Moja lojalność kazała mi trzymać zawsze stronę Światów Kobr... i zawsze tak będzie.

Pyre popatrzył na nią, czując przechodzące mu po plecach dreszcze. Tyle czasu spędzili razem na pokładzie "Dewdrop", a on niczego się o niej nie dowiedział.

— Przykro mi, jeżeli będziesz mnie nienawidził po tym wszystkim, co ci powiedziałam — odezwała się po chwili. — Uważam jednak, że nie miałam wyboru.

Kiwnął głową, chociaż sam nie był pewien, z którą częścią jej zdania się zgadza.

— Zechciej teraz mi wybaczyć — powiedział, zdając sobie sprawę z tego, jak formalnie i oschle zabrzmiały jego słowa. — Muszę wracać do pracy. Powiniennem skończyć układać listę osób, które polecą ze mną na Qasamę.

— Dobrze. Porozmawiamy trochę później.

Odwrócił się i wyszedł... zastanawiając się, czy jednak nie powinien znienawidzić Telek za jej bezwzględność.

Przywódcy Kobr przeanalizowali plan Justina, przedyskutowali go i zmienili niektóre szczegóły, a później złożyli w jedną całość i orzekli, że trudno o lepszy. Wybrano i zaczęto szkolić czterdzieści osiem Kobr i czternastu naukowców, którzy mieli tym razem wylądować na Qasamie. Domena Baliu wyraziła głębokie niezadowolenie z faktu, że musi finansować kolejną wyprawę na podstawie czegoś, co było tylko domysłem, ale zanim okres szkolenia dobiegł końca, Jonny'emu i Stiggurowi udało się przekonać obce istoty do zmiany zdania.

Przed upływem miesiąca od powrotu pierwszej wyprawy "Dewdrop" i "Menssana" wystartowały z kosmodromu w Capitalii i skierowały się znów ku Qasamie.



## ROZDZIAŁ 12

Noc na Qasamie.

Kiedy "Menssana" opuszczała się na swych grawitorach, wioski położone we wschodniej części łuku, który nazwano teraz Urodzajnym Półksiężycem, były ciche i ciemne. Ciemne, ale niezłe widoczne przez noktowizory statku. Widoczne były także drogi łączące miasta — sieć zwięzających się pasemek wymierzonych jak filigranowy grot strzały w wioskę wysuniętą najbardziej na południe... i tylko jedną drogę wiodącą na północ, łączącą wioski z resztą qasamańskiej cywilizacji.

"Menssana" wylądowała najpierw w pobliżu tej drogi, o jakieś dwadzieścia kilometrów na północ od wioski, ale zanim uniosła się znów w powietrze, zostawiła dwudziestu dwóch ludzi i dwie patrolówki. Patrolówki po chwili wystartowały, kierując się ku swoim celom, jeszcze zanim "Menssana" zdążyła zniknąć ludziom z oczu, a statek skierował się niemal leniwie ku uspiionej, wysuniętej na południe wiosce. Jego czujniki wychwytywały duże ilości promieniowania elektromagnetycznego, dźwięków i cząsteczek materii, wypluwając w zamian mapy i wydruki. Statek okrążył całą wioskę w bezpiecznej odległości, by go nikt nie dostrzegł, a kiedy wylądował w lesie o jakieś pięćdziesiąt metrów od muru, czterdziestu ludzi, których z niego wyszło, miało niezłe pojęcie o tym, co ich czeka.

Po następnej godzinie, chociaż nikt o tym jeszcze nie wiedział, zajęli wioskę.

Burmistrz przeszedł dwa kroki od drzwi wejściowych swojego biura, zanim wzrok powiedział mu, że ktoś inny siedzi na jego wyściełanym tronie — i z rozpędu zrobił jeszcze dwa kroki, zanim się zatrzymał. Jego oczy najpierw rozszerzyły się ze zdumienia, a później zwięzły ze złości. Wypluł jakieś niezrozumiałe słowa.

— Kim jesteś? — przetłumaczył je komputer pokładowy "Menssany".

— Dzień dobry, panie burmistrzu — odezwał się śmiertelnie poważnie siedzący na poduszkach Winward, wpatrując się odtworzonymi oczami w mojoka na ramieniu przybysza. — Przepraszam za najście, ale muszę dowiedzieć się czegoś od pana i mieszkańców wioski.

Kiedy pierwsze słowa qasamańskiej mowy zaczęły się wydostawać z urzędnika wiszącego na szyi Winwarda, burmistrz zamarł bez ruchu... a kiedy jego wzrok spoczął na twarzy Kobry, zbladł jak kreda.

— To ty — szepnął tylko.

Winward ze zrozumieniem kiwnął głową.

— Ach, więc Kimmeron rozesłał moje zdjęcie, prawda? To dobrze. Wiesz zatem, kim jestem... i rozumiesz, że wszelki opór byłby głupotą.

Prawa ręka burmistrza drżała niezdecydowanie w pobliżu olstra z bronią.

— Nie radzę — ostrzegł go Winward. — Zanim zdążysz to wyciągnąć, zabiję i ciebie, i twojego mojoka. Poza tym oprócz mnie są tutaj inni... wielu innych, a jeśli zaczniesz strzelać, mieszkańcy wioski także zaczną, a wówczas będziemy musieli zabić setki ludzi, by pozostałym udowodnić, że możemy to zrobić. — Przekrzywił głowę. — Nie musimy tego udowadniać, prawda?

W twarzy burmistrza drgnął jakiś mięsień.

— Przeglądałem raporty o zniszczeniach, jakich wówczas dokonałeś — odparł ponuro.

— To dobrze — stwierdził Winward, starając się dostosować do jego tonu głosu. — Nie cierpię robić dwa razy tego samego, jeżeli nie muszę. No tak. Czy teraz będziesz z nami współpracował?

Burmistrz przez chwilę się nie odzywał.

— Czego od nas chcecie? — zapytał w końcu. Winward po cichu odetchnął z wielką ulgą.

— Chcemy tylko zadać niektórym mieszkańcom wioski parę pytań, a także przeprowadzić kilka bezbolesnych i nieszkodliwych testów na nich i na ich mojkach.

Mówiąc to, obserwował uważnie twarz burmistrza, ale nie zdołał stwierdzić, jakie wrażenie wywarły jego słowa.

— Dobrze — odezwał się Qasamanin. — Poddaję się twojej woli tylko dlatego, żeby nie doprowadzać do rozlewu krwi. Ostrzegam cię jednak, że jeżeli twoje testy nie okażą się tak nieszkodliwe, jak mówisz, będziesz miał tu więcej rozlewu krwi, niż kiedykolwiek widziałeś.

— Zgoda. — Winward wstał i wskazał na stojącą obok tronu konsolę z umieszczonymi w niej przełącznikami. — Wezwij teraz mieszkańców wioski do



wyjścia z domów na ulice. Mogą zabrać ze sobą mojoki, ale broń muszą zostawić w domach.

— Kobiety i dzieci także?

— Muszą też wyjść, bo niektórzy będziemy chcieli także poddać testom. Jeżeli sprawi ci to ulgę, mogę wyrazić zgodę na to, żeby podczas zadawania pytań kobiecie albo dziecku był obecny mężczyzna z najbliższej rodziny.

— To... byłoby bardzo słuszne — rzekł burmistrz, przez chwilę patrząc Winwardowi prosto w oczy. — Jakiemu demonowi zaprzedałeś duszę, że pozwolił ci zmartwychwstać?

Winward lekko pokręcił głową.

— Nawet gdybym ci powiedział, i tak nie uwierzysz — odparł. — A teraz wezwij mieszkańców wioski.

Qasamanin zacisnął wargi i usiadł. Wcisnąwszy na konsolce kilka przełączników, zaczął mówić, a jego słowa powtarzało słabe, dobiegające z ulicy echo. Winward słuchał go przez chwilę, a później sięgnął do wiszącego na szyi urządzenia i zakrył dłonią mikrofon translatora.

— Dorjay, melduj — powiedział.

— Sytuacja w przekaźniku łączności dalekosiężnej opanowana — odezwał się w słuchawce głos Linka. — Mm... wydaje mi się, że rozkazy burmistrza zaczynają być wykonywane.

— Bądź czujny. Nie chcemy, żeby któryś wkradł się tam do ciebie i nadał sygnał SOS do Sollas.

— Zwłaszcza kiedy rozbieramy na części znajdującą się tu aparaturę — dodał rzeczowo Link. — Będziemy czujni. Czy chcesz, żebym nadal sprawował nadzór nad bramą i nad zmotoryzowanymi patrolami?

— Tak. Domyślam się, że kiedy nasi psychoanalitycy zabiorą się do pracy, zrobi się tu spore zamieszanie.

— Zgoda. Informujcie mnie o wszystkim, co się dzieje. Winward nacisnął raz obudowę mikrofonu, przerywając połączenie, a później znów nakrył go dłonią.

— Pani gubernator? — zwrócił się do Telek. — Jak przebiega rejestrowanie sygnałów z czujników badających psychikę burmistrza?

— Idealnie — usłyszał w słuchawkach jej głos. — Mamy zapis stanowiący punkt odniesienia, kiedy szedł korytarzem do swojego biura, a późniejsze wyniki świadczące o dużym napięciu są po prostu wspianiałe.

— To dobrze. My także zaczniemy, kiedy będziemy mogli. Czy są jakieś wieści od rozesłanych patroli?

— Tylko raporty na temat zwykłych środków ostrożności. "Dewdrop" także nie stwierdza ruchów żadnych oddziałów. Wygląda na to, że udało się nam wylądować niepostrzeżenie.

Co znaczyło, że mają do dyspozycji kilka godzin albo nawet dzień czy dwa, zanim reszta planety się zorientuje, że wrócili. Później ich położenie może się stać bardzo ciężkie.

— Dobrze. Dorjay melduje, że jego technicy rozkładają aparaturę systemu łączności dalekosiężnej na części, więc niedługo i stamtąd będzie pani miała jakieś wieści. Rozłączam się.

Burmistrz wyprostował się nad konsolą i popatrzył z rezygnacją na Winwarda.

— Będą posłuszni twoim rozkazom — oznajmił. — Przynajmniej na razie.

Czyżby zaczął odzyskiwać odwagę? Winward nie miał nic przeciwko temu — im więcej zmian nastroju, tym cenniejsze informacje zbierały ukryte czujniki. Pod warunkiem, że nie odzyska jej zbyt dużo.

— Świetnie — odrzekł, kiwnąwszy głową. — Wyjdzie pan teraz ze mną na ulicę i zaczeka tam, aż moi ludzie wszystko przygotują. Ale przedtem proszę o pistolet.

Qasamanin zawahał się przez krótką chwilę, ale wyciągnął broń z olstra i położył na konsolce.

— Dobrze, a teraz chodźmy — rozkazał Winward, nie próbując sięgnąć po pistolet. Jeżeli przypuszczenia Telek były słuszne, może mógłby to zrobić, nie prowokując mojoka do akcji... ale nie był gotów, żeby to sprawdzić. Jeszcze nie.

Qasamanin bez słowa wstał i razem z Winwardem wyszedł na ulicę.

Drzewa w tej części lasu, w której wylądowała patrolówka drugiej grupy zwiadowczej, nie rosły bardzo gęsto. Pod tym względem przypominały Rayowi Banyonowi bardziej lasy Chaty niż o wiele gęstsze bory dalekiego zachodu Aven-tiny, gdzie dorastał. Cieszył się, że widoczność ma dobrą, ale martwił, gdyż w tak rzadkim lesie mogły żyć duże drapieżniki. Krótko mówiąc, miało to swoje zalety, ale i wady.

W tej chwili jednak mieszkańcy lasu, i ci duzi, i ci mali, trzymali się od ludzi z daleka. Omiótlszy wzrokiem przestrzeń w sąsiedztwie patrolówki, Banyon jed-

nym uchem przysłuchiwał się rozmowie doktora Hanforda z kimś z pokładu orbitującej nad nimi "Dewdrop".

— No cóż, my nie dostrzeżliśmy niczego, kiedy przelatywaliśmy nad drzewami — mówił Hanford. — A czy wy nadal coś widzicie?

— Nic — odpowiedział głos ze statku. — Sądzę, że to coś musiało się ukryć w gąszczu drzew i dlatego straciliśmy je z oczu.

Hanford głośno westchnął. Banyon świetnie rozumiał powód jego rozdrażnienia: po raz trzeci w ciągu sześciu godzin, jakie spędzili na Qasamie, puszczała się w szaleńczy pościg za cieniem, którym mógł być krisjaw, ale po raz trzeci na próżno.

Co gorsze, nie wiedzieli nawet, czy w ogóle krisjaw był tym zwierzęciem, które mieli odnaleźć.

— Wiecie chociaż, w którą stronę mógł pójść? — zapytał w końcu zoolog.

— Doktorze Hanford, powinien pan zrozumieć, że czujniki podczerwieni "Dewdrop" nie zostały zaprojektowane z myślą o wykrywaniu tak małych obiektów, a przynajmniej nie z tej wysokości. Zaraz, zaraz... gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że na północny zachód.

— Dzięki — rzucił oschle Hanford. — Dajcie znać, kiedy zauważycie następny obiekt.

— Na północny zachód — mruknął jeden z pozostałych dwóch zoologów, kiedy Hanford przerwał połączenie. — Ja też, gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że na północny zachód. W tym kierunku podążają przecież wszystkie zwierzęta na tej zwariowanej planecie.

— Nie sądzę, by postępowały tak drapieżniki — rzekł Hanford i ponownie westchnął. — No co, Rey? Jak teraz? Na piechotę czy patrolówką?

— Myślę, że patrolówką — odparł Banyon. — Przez jakiś czas możemy spróbować poszukać sami. Zobaczymy, czy nie pójdzie nam chociaż trochę lepiej.

— Bo gorzej już nie może. No, to jazda.

Trzej zoologowie wcisnęli się do środka patrolówki, a w ich ślady poszedł Banyon i jego trzej koledzy Kobry. Uniósłszy się zaledwie ponad korony drzew, skierowali się powoli na północny zachód.

Christopher wyłączył mikrofon i mruczając coś pod nosem, zaczął znów wpatrywać się w ekran czujnika podczerwieni. York zachichotał, uniósłszy głowę nad swojego ekranu.

— Masz jakiś kłopot, Bil? — zapytał.

— To nie dla mnie — burknął w odpowiedzi Christopher, nie odrywając wzroku od ekranu. — W jaki sposób mam znaleźć krisjawa, jeśli nawet nie mam pojęcia, jak wygląda?

— Kiedy trafisz na dużą jaśniejszą plamę, która się porusza...

— Tak, wiem o tym. Wolałbym, żeby Elsner się pospieszył i zajął moje miejsce.

— Wciąż siedzi przed największym ekranem i wypatruje stada bololinów dla patrolu trzeciego?

— Tak. — Christopher wyraźnie się wzdrygnął. — Ci ludzie muszą być szaleni. Za żadne skarby świata nie zgodziłbym się uganiać za bololinami, tak jak oni.

— Za żadne skarby nie namówiłbyś mnie nawet do zejścia na ląd — mruknął York.

Christopher ukradkiem popatrzył w jego stronę.

— Tak. Hm... słyszałem, że poproszono cię o zostanie na pokładzie "Menssany" razem z Lizabet, Yurim, Marckiem i resztą.

— Zgadza się — odparł beznamiętnie York. — Ale odmówiłem.

— Aha. — Christopher spojrzał na nową prawą rękę Yorka — mechaniczną rękę — a potem z poczuciem winy skierował wzrok w inne miejsce.

— Myślisz, że to z tego powodu, prawda? — zapytał go York, unosząc prawą dłoń i poruszając palcami. Podczas ruchu jego palce lekko zadrżały, przypominając w ten sposób, że mózg Yorka nie w pełni się przystosował do współpracy urządzeń elektronicznych i mechanicznych z jego neuronami. — Myślisz, że boję się zejść na ląd?

— Jasne, że nie...

— To się mylisz — stwierdził prosto z mostu York. — Boję się, i to jak diabli, ale mam cholernie dobry powód.

Wyraz twarzy Christophera świadczył o tym, że udręka stała się jeszcze większa, a Yorkowi przyszło do głowy, że może nigdy przedtem nie słyszał niktogo, kto mówiłby do niego, jak on teraz.

— Chcesz wiedzieć, dlaczego Yuri, Marek i inni są teraz na Qasamie, a ja tutaj? — zapytał.

— No cóż... dobrze. Dlaczego?

— Ponieważ chcą udowodnić, że są odważni — powiedział York.— Częścio-wo innym, ale przede wszystkim sobie. Chcą wykazać, że potrafią bez mrugnienia okiem po raz drugi włożyć głowę w paszczę kolczastego lamparta, jeżeli muszą.

— A ty takiej potrzeby nie odczuwasz?

— Właśnie — oznajmił York, kiwnąwszy lekko głową. — Moją odwagę sprawdzano wiele razy, i to zarówno przed przybyciem na Aventinę, jak i później. Ja w i e m, że jestem odważny, i nie mam cholernego zamiaru niepotrzebnie ryzykować, żeby udowodnić to całemu wszechświatowi. — Machnął ręką w stronę swojego ekranu. — A jeżeli Qasamanie uczynią jakiś ruch, będę mógł ocenić grożące nam niebezpieczeństwo równie dobrze stąd, jak z powierzchni planety. Ergo zostaję tutaj.

— Rozumiem — odparł Christopher, kiwnąwszy głową. W jego oczach jednak nadal czaiło się cierpienie. — To ma sens, naprawdę. Ja... no cóż, cieszę się, że to wyjaśniłeś.

Odwrócił głowę i zaczął wpatrywać się w ekran, a York, widząc to, zdusił westchnienie. Christopher nie zrozumiał go ani trochę bardziej, niż cała reszta. Wciąż myśleli, że w tak skomplikowany sposób stara się nie przyznać do tego, iż jest tchórzem.

### **Niech ich wszyscy diabli.**

Odwróciwszy się w stronę ekranu, zaczął znów wypatrywać oznak działalności wojskowej Qasaman, a leżąca na kolanie mechaniczna dłoń zwinęła się w pięść.

Kiedy w końcu załodze "Dewdrop" udało się zlokalizować stado bololinów w rozsądnej odległości od wioski, minęło południe, ale dopiero po następnej godzinie dotarł w jego pobliże patrol trzeci. Stado pasło się na łące, na której rosło kilkanaście drzew, a kiedy patrolówka zataczała nad nim kręgi, obserwujący je Rem Parker cicho gwizdnął.

— Wyglądają paskudnie — stwierdził.

Jeden z siedzących obok niego Kobr coś mruknął, przyznając mu zapewne rację.

— Myślę, że widzę na ich grzbietach tarbiny... te płowe plamy tuż za ich łbami, pośrodku kolców — powiedział.

— Tak. Wspaniałe miejsce na letni wypoczynek — przyznał Parker, spoglądając na technika pochylonego nad swoimi przyrządami. — No co, Dań? Będzie coś z tego?

Dań Rostin wzruszył ramionami.

— Chyba niewiele. Jesteśmy zbyt daleko na południe od drogi i trzeba byłoby zmusić stado do znacznej zmiany kursu, żeby na nią powróciło. Jeżeli jednak te zwierzaki okażą się tak samo chętne do współpracy jak tamte płaskokopytne czworonogi z Chaty, może nam się uda. Poczekaj chwilę, to przedstawię ci to bardziej szczegółowo.

Okazało się, że sprawa nie wygląda tak beznadziejnie, jak sądził Parker. W żadnym miejscu wytworzone przez nich pole magnetyczne, które chcieli nałożyć na już istniejące, nie spowodowałyby zmiany kierunku wektora wypadkowego pola o kąt większy od dwudziestu stopni, a wartości natężeń prądów koniecznych do wzbudzenia tego pola mogły być bez trudu osiągnięte przez aparaturę pokładową patrolówki.

Rzecz jasna, będą przy tym musieli od czasu do czasu zbliżać się na odległość zaledwie stu metrów od środka stada, ryzykując uszkodzenie patrolówki, gdyby znaleźli się zbyt blisko jego skraju. Nie było na to rady, a zresztą w tym celu szkolono przecież Kobry.

— No cóż, zatem zaczynajmy — odezwał się Parker. — I miejmy nadzieję, że zareagują w ten sam sposób, co ich płaskokopytni krewniacy, o których mówili biologowie.

W przeciwnym razie — ale tego już nie powiedział — Kobry będą musiały pędzić je do samej wioski, jak kiedyś kowboje stada bydła.

A tej sztuczki wolałyby nie próbować.

Zbliżał się wieczór, kiedy Winward powrócił po skończonym obchodzie stanowisk zajętych przez Kobry do ratusza, w którym doktor McKinley i pozostali psychologowie prowadzili swoje obserwacje. Gdy tam dotarł, z pokoju McKinley a wyprowadzano właśnie jednego z przebadanych już Qasaman. Korzystając z okazji, Winward zajrzał do środka.

— Witajcie — powiedział, kiwnąwszy głową dwójce mężczyzn, którzy także spojrzeli w jego stronę. — Jak leci?

McKinley wyglądał na bardzo zmęczonego, ale kiedy się odezwał, głos miał dosyć ożywiony.

— Prawdę mówiąc, całkiem dobrze. Nawet bez pomocy komputera widać, że poziom emocji zmienia się w taki sposób, jak przewidywaliśmy.

— To dobrze. Niedługo wieczór. Kiedy zamierzasz zakończyć tę fazę testów?

— Muszę przebadać jeszcze jednego. Jeśli chcesz, możesz zostać i obserwować.

Winward spojrzął na stojącego pod ścianą Kobrę. On także sprawiał wrażenie zmęczonego, chociaż nie w takim stopniu, jak McKinley.

— Alek, możesz iść na kolację — zaproponował koledze. — Ja zostanę tutaj i zaczekam, aż doktor McKinley skończy.

— To miło z twojej strony — odrzekł Alek, a później skierował się do wyjścia. — Serdeczne dzięki.

McKinley zaczekał, aż wyjdzie, a później nacisnął przycisk na obudowie zawieszzonego na szyi translatora.

— W porządku, możesz teraz wezwać numer czterdziesty drugi — powiedział.

Po chwili wzmacniacze słuchu Winwarda uchwyciły odgłosy kroków dwóch zbliżających się osób, a kiedy drzwi się otworzyły, do środka wszedł inny Kobra w towarzystwie nieco zdenerwowanego Qasamanina. Kobra opuścił pomieszczenie, a McKinley wskazał mężczyźnie niskie krzesło stojące przed przywłaszczonym przez siebie biurkiem.

— Proszę siadać — powiedział.

Qasamanin usłuchał, spojrzawszy podejrzliwie na Winwarda. Kobra stwierdził, że w przeciwieństwie do tubylca, jego mojk sprawiał wrażenie spokojnego, chociaż trzepotał skrzydłami i stroszył pióra dosyć często.

— Zaczniemy od pytania o twoje nazwisko i zawód — odezwał się McKinley. — Mów wyraźnie i głośno do mikrofonu tego rejestratora — dodał, wskazując stojącą na krawędzi biurka prostopadłościenną skrzynkę.

Qasamanin odpowiedział, a McKinley przeszedł do ogólnych pytań dotyczących zainteresowań i warunków życia w mieście. Stopniowo pytania stawały się coraz bardziej drażliwe i po kilku minutach McKinley pytał badanego o uczucia, jakim darzy przyjaciół, częstotliwość stosunków z żoną i o inne, równie intymne sprawy. Winward przyglądał się twarzy mężczyzny z dużą uwagą i na pierwszy rzut oka odniósł wrażenie, że tamten znosi wszystko z godnością i stoickim spokojem. Wiedział, że bardziej precyzyjną ocenę zapewnią czujniki umieszczone w krześle i obudowie rejestratora.

McKinley był właśnie w trakcie zadawania kolejnego pytania na temat dzieciństwa, kiedy nagle przerwał w pół słowa i jak to robił czterdzieści jeden razy

przedtem, udał, że wsłuchuje się ze zdumieniem w jakieś trzaski dobiegające ze słuchawki.

— Przepraszam — powiedział — ale wygląda na to, że trzepot skrzydeł twojego mojoka zakłóca nam nagrywanie. Hm... — Rozejrzawszy się po pokoju, wskazał dużą poduszkę leżącą w przeciwległym kącie. — Czy nie zechciałbyś zostawić go trochę dalej od rejestratora?

Qasamanin skrzywił się i spojrzał ponownie na Winwarda. Później, każdym ruchem ciała i gestem wyrażając sprzeciw, spełnił prośbę.

— Dziękuję — odezwał się McKinley, kiedy Qasamanin usiadł na poprzednim miejscu. — Zobaczmy... wygląda na to, że będę musiał powtórzyć.

Zaczął zadawać to samo pytanie, co poprzednio, a Winward zwrócił uwagę na siedzącego teraz w kącie mojoka. Siedzącego, ale w sposób oczywisty demonstrującego niezadowolenie z wygnania. Ruchy łba, straszenie piór i trzepotanie skrzydłami były teraz o wiele częstsze i wyraźniejsze. Zdenerwowany, bo odseparowano go od opiekuna? — zastanowił się Kobra. — A może wyprowadzony z równowagi, gdyż na taką odległość nie może tak dobrze wpływać na bieg wydarzeń? Na samą myśl o tym, że mojoki mogą wywierać wpływ na podświadomość Qasaman, Winward dostawał drgawek. Jako chyba jedyny ze wszystkich, z którymi o tym rozmawiał, miał nadzieję, że teoria Jonny'ego okaże się błędna.

— Niech to diabli.

Winward zwrócił uwagę znów na przesłuchanie i stwierdził, że McKinley się zamyślił.

— Przykro mi, ale rejestrator nadal nagrywa zbyt wiele szumów — powiedział nachmurzony. — Przypuszczam, że będziemy musieli usunąć twojego mojoka z tego pomieszczenia. Kreel? Czy mógłbyś tu przyjść na chwilę? Weź ze sobą coś odpornego na rozdarcie przez szpony.

— Chwileczkę — odezwał się badany, unosząc się trochę z krzesła. — Nie możesz zabierać mi mojoka.

— Dlaczego nie? — zapytał McKinley. — Nie zrobimy mu nic złego, a za pięć minut dostaniesz go z powrotem.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł ten sam Kobra, który przedtem wprowadził Qasamanina. W ręce trzymał zwinięty kawałek bardzo grubego materiału.



— Nie wolno ci tego robić — powtórzył mężczyzna, a w oczach zapaliły mu się pierwsze iskry gniewu. — Odpowiadałem na wszystkie twoje pytania, jak chciałeś. Nie masz prawa traktować mnie w ten sposób.

— Jeszcze tylko siedem pytań i będzie koniec — zapewnił go łagodnie McKinley. — Pięć minut albo nawet mniej i otrzymasz go z powrotem. Posłuchaj, po drugiej stronie korytarza jest pusty pokój. Jeśli chcesz, Kreel może w nim stać z mojokiem na ramieniu, a kiedy skończymy, otworzysz drzwi i odbierzesz sobie ptaka. Nie stanie mu się żadna krzywda. Obiecuję.

Jeśli będzie grzeczny — dodał w myśli Winward. Oprócz Kreela w pokoju był, rzecz jasna, drugi Kobra. Przez cały ten czas mierzył z laserów do ptaka, ale i tak Winward nie zazdrościł Kreelowi, który musiał przez kilka minut stać, mając twarz oddaloną o kilkanaście centymetrów od szponów.

Qasamanin nadal protestował, ale ton jego głosu świadczył o tym, że prawie się pogodził z sytuacją. Kreel w tym czasie owinął grubym materiałem lewe przedramię i schylił się, jak gdyby zapraszał ptaka. Po chwili oczywistego wahania mojok usłuchał. Kreel wyszedł, zamknąwszy drzwi za sobą, a McKinley powrócił do zadawania pytań.

Jak obiecywał, wszystko zakończyło się w ciągu kilku minut, ale o wiele wcześniej Winward uświadomił sobie, jak bardzo wściekły może być Qasamanin bez uciekania się do rękoczynów. Kiedy ze złością wypluwał odpowiedzi w kierunku rejestratora, było widać, że poprzednia niechętna zgoda na współpracę zamieniła się w gniew. Dwukrotnie odmówił odpowiedzi. Winward stwierdził, że napina mięśnie w oczekiwaniu na chwilę, w której poddany testowi mężczyzna straci w końcu cierpliwość i rzuci się przez blat stołu, by schwycić McKinleya za gardło.

Na szczęście tak się nie stało. McKinley dotarł do ostatniego pytania z listy, a po pół minucie badany i jego mojok znaleźli się znów razem.

— Jeszcze jedna sprawa i będziesz wolny — odezwał się McKinley, kiedy Qasamanin głaskał ptaka uspokajająco po szyi. — Kreel owinie ci teraz szyję taśmą z numerem po to, byśmy wiedzieli, że już z nami rozmawiałeś. Domyślam się, że nie chciałbyś przechodzić przez to wszystko po raz drugi?

Qasamanin obruszył się, ale kiedy Kreel owijał mu szyję czerwoną wstążką i zgrzewał jej końce, by nie spadła, udał, że ignoruje wszystko i wszystkich za wyjątkiem mojoka. Później, nie odzywając się ani słowem, skierował się korytarzem w stronę wyjścia, a Kreel szedł o dwa kroki za nim.

McKinley nabrał głęboko powietrza w płuca, a później bardzo długo je wypuszczał.

— A jeśli ci się wydaje, że to było nietaktowne — odezwał się do Winwarda z kwaśną miną — zaczekaj, aż się dowiesz, co planujemy na jutro.

— Nie mogę się doczekać — odparł Kobra, kiedy wrócili do pokoju z rejestratorem. — Czy naprawdę na podstawie tych badań udaje ci się dowiedzieć czegoś ważnego?

— O, tak. — Obróciwszy rejestrator w swoją stronę, McKinley wysunął z niego jeden panel, ujawniając klawiaturę i miniaturowy ekran. Później zaczął wystukiwać polecenia i po chwili na ekranie ukazały się jakieś linie. — Uśrednione wyniki badań trzystu sześćdziesięciu Qasaman, z którymi rozmawialiśmy dzisiaj — oznajmił Winwardowi. — A ta linia to poziom odniesienia emocji ludzi, opracowany na tydzień przed odlotem z Aventiny. Mimo drażliwych pytań, Qasamanie zachowują się spokojnie, dopóki mają na ramionach mojoki. Poziom emocji trochę rośnie, kiedy przenosimy ptaki do kąta, ale kiedy zabieramy je do innego pomieszczenia, osiąga wartości niebotyczne. Prawdę mówiąc, nawet trochę przekracza nasz poziom odniesienia — o, tutaj — ale jeszcze szybciej maleje, kiedy dostają mojoki z powrotem.

Winward zacisnął wargi.

— Część tego wzrostu może być spowodowana koniecznością udzielania odpowiedzi dwa razy na to samo pytanie — zasugerował.

— A część może wynikać z istniejących między nami różnic kulturowych, chociaż bardzo staraliśmy się minimalizować wpływ obu tych czynników — rzekł McKinley, kiwnąwszy głową. — Jasne. Na razie nie można uznać tego za solidny dowód, ale wszystko wskazuje, że przypuszczenia okażą się prawdziwe.

— Ta-a — rzekł w zamyśleniu Winward. Oddziaływanie na podświadomość... — Co chcecie zrobić jutro, jeśli uważasz że to ma być jeszcze gorsze?

— Mamy zamiar pozwolić im, żeby w czasie przesłuchania zatrzymali ptaki, ale chcemy drażnić je za pomocą ultradźwięków. Żeby stwierdzić, czy ich rozdrażnienie udzieli się ich opiekunom.

— Zapowiada się niezły ubaw. Wiecie tyle o zmysłach tych ptaków, że sądzicie, iż to się uda?

— Tak myślimy. No cóż, wkrótce się przekonamy.

— Aha. A trzeciego dnia będziecie chcieli pozamieniać mojoki ich właścicielom?

— Zgadłeś. A poza tym planujemy zbadać poziom ich emocji na widok boloninów, pod warunkiem, że trzeciemu patrolowi uda się zapędzić do wioski jakieś stado. Mam nadzieję, że na ulicach będzie wówczas dużo osób z opaskami na szyjach tak, by ich czujniki dostarczyły nam odpowiednią ilość danych. Jestem pewien, że tego doświadczenia nie udałoby się nam powtórzyć. — McKinley przymrużył jedno oko i spojrzał na Winwarda. — Wyglądasz na przybitego. Coś cię gnębi?

Winward przygryzł wargę.

— Naprawdę uważasz, że cała reszta planety będzie czekała aż dwa dni, zanim stwierdzi, że dzieje się coś złego, i zareaguje na to w jakiś drastyczny sposób?

— Myślałem, że zależy nam na tym, żeby jakoś zareagowali.

— Czekamy na tę reakcję po to, żeby zobaczyć ich ciężki sprzęt wojskowy, jeżeli taki mają — odparł Winward. — Nie chcemy jednak, żeby wytoczyli przeciwko nam coś takiego, dzięki czemu będą mogli nas wkopać w ziemię.

— O, rany. No tak. Przyznaję, że to różnica. No cóż... jeżeli zareagują szybciej, będziemy musieli przyspieszyć badania. A wy, Kobry, zaczniecie wreszcie zarabiać na swój wikt i opierunek.

Winward skrzywił się. Uzbrojeni po zęby Qasamanie i chmary mojoków...

— Sądzę, że wówczas będziemy musieli — powiedział.

## ROZDZIAŁ 13

York przez cały dzień czuwał na pokładzie i kiedy nastawał wieczór, zaczął marzyć o spędzeniu nocy spokojnie w łóżku, zanim sprawy w dole przybiorą zły obrót. Spał jednak tylko cztery godziny, kiedy obudził go głośny brzęczyk pokładowego interkomu.

— Tak... tu York — odezwał się zaspanym głosem. — O co chodzi?

— Coś się dzieje na Qasamie — usłyszał głos oficera dyżurnego. — Myślę, że powinien pan to zobaczyć.

— Już idę.

W narzuconym szlafroku, ale bosy, dokładnie po dwóch minutach usiadł przed jednym z dużych ekranów i stwierdził, że oficer, budząc go, postąpił słusznie.

— Helikoptery — zidentyfikował maszyny, zwracając się do dwóch siedzących przed ekranami obserwatorów. — Możliwe, że wyposażone w pomocnicze dysze zwiększające siłę ciągu, gdyż lecą całkiem szybko. Skąd nadlatują?

— Po raz pierwszy spostrzeżliśmy je, kiedy znajdowały się o kilka kilometrów na wschód od Sollas — wyjaśnił oficer dyżurny. — Gdyby leciały trochę wolniej, mogły lecieć jeszcze długo, nim byśmy je zauważyli. Zwróciliśmy na nie uwagę, bo się szybko poruszały.

— Mhm. — York zaczął przebierać palcami po klawiaturze, spoglądając na dane, jakie pojawiły się u dołu ekranu. Z prędkością niewiele mniejszą od nadźwiękowej leciało sześć maszyn — co wcale nie znaczyło, że nie mogły szybciej — kierując się na południowy wschód w stronę miejsca, w którym wylądowała "Menssana". Spotkanie mniej więcej za dwie godziny. — Połączcie mnie z gubernator Telek — powiedział, odwróciwszy głowę.

Telek także spała, ale zanim oficer dyżurny "Menssany" wyciągnął ją w końcu z łóżka, York zdążył uzyskać dodatkowe informacje.

— Dwa dosyć duże, zapewne do transportu wojska — powiedział, kiedy jej twarz pojawiła się na ekranie interkomu. — Pozostałe cztery mniejsze, prawdopodobnie do zadań zwiadowczych albo atakowania celów naziemnych. Wszystkie

przemawia za tym, że nie są to typowe helikoptery bojowe, a przerobione maszyny cywilne, co powinno pozwolić nam uporać się z nimi trochę łatwiej.

— No cóż, dobrze chociaż, że nie mają napędu grawitacyjnego — zamyśliła się Telek. — Przynajmniej pod tym względem mamy nad nimi przewagę.

— Niekoniecznie. — York pokręcił głową. — Nikt przy zdrowych zmysłach nie wyposaża helikopterów bojowych w silniki grawitacyjne, bez względu na to, czy je ma, czy nie. Te napędy są zbyt duże i ciężkie, żeby mogły być skuteczne przy wykonywaniu nagłych zwrotów i manewrów przy dużych prędkościach. Poza tym emanująca z nich poświata sprawia, że w nocy maszyny byłyby bardzo łatwym celem dla każdego strzelca.

— A więc jednak powinniśmy się nimi martwić?

— Martwić, to za mało powiedziane. Kiedy służyłem jako komandos, bardzo często używaliśmy helikopterów. Widziałem, jak bez trudu zrównywały z ziemią obszar dwukrotnie większy od waszej wioski.

Widoczna na ekranie twarz Telek wyraźnie zbladła.

— Jeżeli tego spróbują, zabiją trzy tysiące swoich obywateli — powiedziała.

— Zgadza się. Nie sądzę, żeby byli aż tak wściekli — zgodził się York. — Z drugiej strony nie wierzę, że będą wisieli w powietrzu, starając się trafić nasze Kobry, dopóki się nie upewnią, jaką bronią możemy odpowiedzieć na ich atak.

— A więc grupa naukowców zbierających dane może zostać na swoim miejscu — zdecydowała Telek. — Sądzisz, że patrole powinny wylądować?

— W każdym razie powinny starać się nie rzucać w oczy. A "Menssana" niech się wynosi, gdzie pieprz rośnie z miejsca, w którym jest teraz.

— Cholera. — Telek przygryzła wargę. — Tak, myślę, że masz rację. Czy uważasz, że przeniesienie się o jakieś sto kilometrów dalej będzie wystarczająco bezpieczne?

— Im dalej, tym lepiej. Musicie się jednak pospieszyć i zdążyć, zanim znajdą się tak blisko was, że dostrzegą poświatę waszych grawitorów. Nie chciałbym, żebyście przekonali się na własnej skórze, do czego jest zdolna ich broń powietrze-powietrze.

— Słuszna uwaga. Kapitanie Shepherd?

— Start za trzy minuty — odezwał się w interkomie głos kapitana "Menssany". — Znaleźliśmy odpowiednie miejsce na kryjówkę o trzysta kilometrów na pomocny zachód stąd, ale musi pani wyrazić na nie zgodę.

— Co, prosto na trasie lotu helikopterów? — marszcząc brwi, zapytał York.

— Nie, o kilka kilometrów z boku — odparł Shepherd. — Znajduje się tam duża formacja skalna zapewniająca możliwość ukrycia statku pod nawisem osłaniającym jakąś szczelinę. A poza tym to najmniej prawdopodobne, że Qasamanie, jeżeli nas tu nie znajdą, będą prowadzili poszukiwania w tamtym kierunku.

— Świetnie — przerwała mu niecierpliwie Telek. — Proszę tylko zabrać nas stąd jak najszybciej, a ja w wolnej chwili rzucę okiem na mapy. Decker, nie spuszczaaj oka z helikopterów i daj znać, gdyby pokazało się więcej.

— Rozkaz — odrzekł York. — Pani też niech każe swoim ludziom, żeby nie odrywali wzroku od ekranów. Qasamanie pod osłoną nocy mogli ustawić pod drzewami artylerię przeciwlotniczą lub obserwatorów.

— Twoje słowa to prawdziwy balsam kojący moje stare nerwy — stwierdziła oschle Telek. — Muszę kończyć i porozumieć się z Michaelem. Odezwę się trochę później.

Twarz Telek zniknęła z ekranu interkomu.

**— Przynajmniej tym razem , nie będą mogli zagłuszyć naszej łączności — odezwał się oficer dyżurny.**

— Chyba że w ciągu tych sześciu tygodni opanowali sekret przesyłania sygnałów radiowych kanałami o zmiennej częstotliwości — odrzekł ponuro York. — Podejrzewam, że są do tego zdolni. — Głęboko westchnąwszy, postarał się zapomnieć o resztkach snu. — No cóż, panowie — powiedział. — Zabieramy się do pracy. Zarządzam pełny nadzór całej wioski i przestrzeni w promieniu tysiąca kilometrów wokół niej. I meldować o wszystkim, co się dzieje.

Jakieś pięćdziesiąt kilometrów na zachód od wioski helikoptery rozdzieliły się na trzy grupy: dwa mniejsze poleciały nad osadę, a pozostałe ominęły ją od południa i północy. Winward i jego Kobry przygotowali się do odparcia ataku... Ale maszyny tylko nad nimi przeleciały, na wschód od wioski połączyły się w jedną grupę i zatoczywszy hak, skierowały się na północ. Przez jakiś czas leciały nad drogą i z kolei Pyre i jego ludzie stanowiący patrol pierwszy przygotowali się na ich przyjęcie. Nawet jednak jeśli zostali dostrzeżeni, nic o tym nie świadczyło. Helikoptery odleciały na północ i po jakimś czasie wtopiły się w pobliżu następnej wioski w krajobraz, znikając równocześnie z ekranów "Dewdrop".

— Jak myślisz, zauważyli nas? — zapytał Justin Pyre'a, kiedy cała grupa dziesięciu Kobr tworzących patrol pierwszy zajmowała ponownie pozycje wzdłuż drogi na skraju lasu.

— Trudno powiedzieć — odparł tamten, spoglądając na zegarek. — Mniej więcej półtorej godziny do wschodu słońca. Ich załogi mają mnóstwo czasu, żeby napełnić ponownie zbiorniki paliwa, zabrać amunicję, a nawet trochę wypocząć i pogadać o taktyce, a później zaatakować nas przed świtem, jeżeli chcą. To zależy od tego, jak czułe są ich detektory podczerwieni, bo radary i detektory ruchu w tej gęstwinie liści nad nami są prawie bezużyteczne.

— Sądziłem, że zaatakowaliby nas, gdyby zobaczyli — odezwał się któryś z grupy.

— Może myślą, że nie zauważyliśmy ich w tych ciemnościach — stwierdził Pyre. — Jeśli tak, może nie chcieli atakować, żeby spoieleniem kawałka lasu o dwadzieścia kilometrów na północ od wioski nie zaalarmować grupy naukowców zbierających dane.

— Myślę, że to zadanie będą chcieli powierzyć rano swoim oddziałom lądowym — wtrącił się rzeczowo inny.

Pyre skrzywił się. Wiadomość o konwojach przemieszczających się drogami na południe nadeszła z "Dewdrop" dosłownie przed kwadransem.

— To możliwe — przyznał. — Chociaż na ich miejscu zaprosiłbym na zabawę także helikoptery. Nie będzie wówczas czasu na subtelność.

— Bardzo śmieszne — odezwał się Justin. — Masz jakąś dobrą wiadomość?

Pyre wzruszył ramionami.

— Tylko taką, że konwoje nie dotrą tutaj wcześniej niż za kilka godzin... co oznacza, że przynajmniej niektórzy będą mogli się trochę przespać.

— Dlaczego tylko niektórzy?

— Musimy wystawić posterunki — przypomniał Pyre. — Nie możemy dopuścić, żeby Qasamanie zrobili coś, co umknie uwadze "Dewdrop", a helikoptery mogą ukradkiem powrócić. Hej, przywyknijcie do tego, chłopaki... Na tym właśnie polega wojna: na martwieniu się i bezsenności.

Plus, oczywiście, na umieraniu. Pyre miał tylko nadzieję, że jego ludzie nie będą musieli przekonywać się o tym na własnej skórze.

Przelot helikopterów na krótko przed wschodem słońca nie uszedł, rzecz jasna, uwagi naukowców w wiosce. Ale dopiero kiedy rankiem wznowili przesłuchania, stwierdzili, że i mieszkańcy je słyszeli.

— Widać to po ich twarzach, gestach i ruchach całego ciała tak wyraźnie, jakby trzymali w dłoniach oświadczenia — odezwał się przez zaciśnięte zęby McKinley do Winwarda po upływie pierwszej godziny przeprowadzania wywia-

dów z mieszkańcami. — Wiedzą, że władze ich nie zawiodą, i są pewni, że wkrótce jakoś zareagują. Spodziewają się, że może jeszcze dzisiaj.

Winward kiwnął głową. Zdawał sobie sprawę, że York i inni na pokładzie "Dewdrop" także doszli do takiego samego wniosku.

— No cóż, nie możemy czekać obojętnie, aż rozpętają wojnę na dużą skalę — powiedział. — Kiedy najwcześniej możecie skończyć?

McKinley wzruszył ramionami.

— To zależy od tego, ile danych będziemy chcieli zebrać — odparł. — Już zapadła decyzja o przyspieszeniu tempa badań, które chcieliśmy przeprowadzić dziś i jutro. Zamierzamy zrobić tylko połowę tego, co zaplanowaliśmy na drugi i trzeci dzień.

Z pokoju przylegającego do drugiej części korytarza doleciał ich nagle stłumiony skrzek i stuk upadającego na podłogę przedmiotu.

— Co, u... — zaczął McKinley, odwracając się w stronę wyjścia.

Winward już biegł, nastawiając po drodze wzmacniacze słuchu na większą czułość. Usłyszał odgłosy szamotania... stłumione przekleństwa... był już na korytarzu... tamte drzwi...

Otworzył je na oścież i ujrzał, jak któryś z Kobr odciąga od stołu wyrywającego się Qasamanina, który zapewne chciał się przez niego rzucić. Testujący go przedtem psycholog podnosił się niepewnie z podłogi, a jego biała jak kreda twarz dziwnie kontrastowała z czerwienią krwi spływającej mu z rany na policzku. Obok niego, koło wywróconego krzesła, leżał martwy mojak.

Kobra popatrzył na wchodzącego Winwarda.

— Mójok próbował zaatakować i musiałem go zabić. Stało się to tak nagle, że zareagowałem o ułamek sekundy za późno.

Winward kiwnął głową, słysząc, że tuż za nim do pokoju wpadł McKinley.

— Zabierz go stąd — polecił Kobre.

— Mordercy! — Qasamanin splunął w stronę Winwarda, gdy drugi Kobra usiłował go wyprowadzić. — Cuchnące, rojące się od robactwa ekskrementy...

Drzwi za nimi się zatrasnęły i potok przekleństw ustał.

— Idę o zakład, że translator nie przetłumaczył wszystkiego — odezwał się Winward, kiedy razem z McKinleyem podeszli do psychologa. — Nic ci nie jest?



— Nie — odparł tamten, przykładając chusteczkę do policzka. — Zupełnie mnie zaskoczył. W pewnej chwili jego cierpliwość się wyczerpała, a w następnej usiłował się na mnie rzucić.

Winward i McKinley spojrzeli sobie prosto w oczy.

— Kiedy to się stało? — zapytał Kobra. — Wtedy, kiedy zginął jego moжок?

— To dziwne, ale nie. Prawdę mówiąc, chyba i on, i moжок zaatakowali mnie w tej samej chwili. Ale nie mogłbym przysiąc.

— Mhm. — McKinley kiwnął głową. — No cóż, dowiemy się, kiedy przejrzymy taśmy. Lepiej będzie, jak pójdziesz teraz do centrali, żeby ktoś opatrzył ci tę ranę. Nie ma sensu niepotrzebnie ryzykować.

— Tak jest. Przepraszam.

— To nie twoja wina. I nie wracaj, dopóki nie będziesz pewien, że dasz radę to ciągnąć dalej. Aż tak bardzo jeszcze się nie spieszymy.

Psycholog kiwnął głową i wyszedł.

— Jeżeli będzie za bardzo zdenerwowany, może to wypaczyć wyniki badań — wyjaśnił McKinley.

Winward kiwnął głową. Zdążył właśnie ustawić rejestrator na stole i wysuwał teraz tylny panel.

— Zobaczmy, co się właściwie stało.

Okazało się, że naukowiec miał rację. Ptak i człowiek zareagowali dokładnie w tej samej chwili.

— Tutaj widać oznaki narastającego zdenerwowania i u jednego, i u drugiego — pokazał McKinley, jeszcze raz przeglądając taśmę. — W tym miejscu masz stroszenie piór i kłapanie dziobem, a tutaj napinanie mięśni twarzy i nerwowe zaciskanie dłoni.

— I to wszystko w odpowiedzi na ultradźwięki, których nie może usłyszeć ucho ludzkie? — zapytał Winward, czując dziwne mrowienie wzdłuż kręgosłupa.

— Tak. Popatrz tylko na krzywe wskazujące zachowanie psychologa. On także znajdował się pod działaniem sygnału, a nawet się porządnie nie spocił. — McKinley przygryzł wargę. — Nie sądziłem, że Qasamanin i moжок zareagują równocześnie.

— Może odzyskują odwagę, wiedząc, że ich wojsko przybywa im na odsiecz.

— Ale ptaki nie są chyba tak inteligentne, żeby o tym wiedziały lub przynajmniej to przeczuwały — burknął McKinley;

— Może dowiadują się o tym z ruchów ciała i gestów swoich panów — stwierdził Winward. — Może właśnie w taki sam sposób mojoki przekazują im swoje zdenerwowanie.

— Możliwe — westchnął McKinley. — Niestety, teorie o ruchach ciała i czytaniu w myślach będzie bardzo trudno sprawdzić, jeżeli nie przeprowadzimy dokładniejszych badań.

— Na które nie mamy czasu — skrzywił się Winward. — No cóż, róbcie, co możecie. Może ty i pozostali psychologowie na podstawie zebranych teraz danych zdołacie wyciągnąć później jakieś wnioski. Na razie postarajcie się nie doprowadzać następnych delikwentów do szału.

— Dobrze.

Banyon nabrał głęboko powietrza w płuca i później długo je wypuszczał. Nareszcie znaleźli to, co chcieli.

Trzy stworzenia spoglądające z gąszczy były bez wątpienia krisjawami — żadne inne zwierzę na Qasamie nie mogło mieć takich falistych, podobnych do psich kłów w kształcie płomyków. Silnie umięśnione, mniej więcej dwumetrowej długości drapieżniki skradały się teraz w stronę ludzi, nie odrywając ślepiów od łupu.

A więc teoria Telek okazała się prawdziwa. Na barku każdego zwierzęcia siedział równie czujny mojok.

— Co teraz? — trochę nerwowo mruknął stojący u boku Banyona doktor Hanford.

— Włączyłeś rejestratory? — zapytał go Banyon, a gdy wyczuł raczej niż ujrzał, że doktor kiwnął głową, zapytał: — Wszyscy na stanowiskach?

W słuchawce usłyszał trzy twierdzące odpowiedzi. Pozostałe Kobry zajęły stanowiska po bokach i za zwierzętami... czekali, żeby zbadać, jak zareagują drapieżniki.

— Przygotujcie się — mruknął w stronę stojących za nim biologów. — Zaczynamy.

Uniósłszy poziomo ręce, oddał z laserów strzały w krzaki po obu stronach skradających się drapieżników.

Krisjawy nie były głupie. Wszystkie trzy na długą chwilę zamarły bez ruchu, a później zaczęły wycofywać się tak samo ostrożnie, jak przedtem się skradały. Cofnęły się jednak tylko o metr. Wtedy jeden ze stojących z boku ukrytych Kobr Banyona wypalił w krzakach płonąca ścieżkę o metr za ich zadami. Ponownie za-

marły, obróciwszy łby w tamtą stronę, jak gdyby chciały wypatrzeć zagrażającego im stamtąd wroga.

— No cóż — odezwał się Banyon po kilku chwilach. — Wygląda na to, że przynajmniej na razie zostaną w tym miejscu. Jak blisko chcecie podejść, by je zbadać?

— Nie bliżej, niż to absolutnie konieczne — mruknął jeden z biologów. — Nie wierzę, żeby siatka krępująca mogła unieruchomić tak duże zwierzę.

— Bzdura — powiedział Hanford, chociaż zdaniem Banyona niezbyt pewnie. — Pozwól mi użyć miotacza przeciwko temu z prawej. Uważajcie wszyscy, bo mogą być kłopoty.

Za plecami Banyona rozległ się cichy syk rozprężanego powietrza, w stronę krisjawa poszybował niewielki cylinder... a po chwili głośny wybuch rozerwał pojemnik na strzępy i krępująca sieć owinęła się wokół przednich łap i łba zwierza. Siedzący na nim mojak, skrzeczając głośno, na ułamek sekundy wcześniej poderwał się do lotu... a krisjaw wpadł we wściekłość.

Banyon nieraz już używał krępujących sieci podczas polowań na kolczaste lamparty na Aventinie. Poza tym przed kilkoma tygodniami parę razy łapał w nie jeszcze większe i paskudniej wyglądające zwierzęta w czasie wyprawy "Dew-drop" na pięć planet, ale nigdy nie spotkał się z tak gwałtowną reakcją. Krisjaw wył jak oszalały, starając się rozerwać krępującą mu tułów i łapy siatkę, szarpał ją pazurami i kłami, tarzał się w poszyciu, wyskakiwał w górę i prężył się jak w agonii.

Nie upłynęło kilka sekund, a w siatce zaczęły pojawiać się pierwsze dziury.

Hanford postąpił krok do przodu i uniósł pneumatyczny pistolet, mierząc do krisjawa, ale Banyon już się zdecydował.

**— Daj spokój! — zawołał do zoologa, starając się przekrzyczeć panujący hałas, a potem zmusił go do opuszczenia lufy.**

Później, uniósłszy lewą nogę, wymierzył do krisjawa i wystrzelił z przeciwpancerneho lasera.

Okolicę przeszył jasny błysk, a drapieźnik z przedśmiertnym skowytom runął na ziemię, nie zdążywszy wyplątać się ze szczątków siatki.

Ktoś stojący z tyłu cicho zaklął.

— Teraz jasne, dlaczego Qasamanie wyprawiają się na polowania w dużych grupach.

— Tak. — Banyon spojrział na pozostałe dwa krisjawy, stojące spokojnie trochę dalej. Spokojnie, ale o kilka metrów w bok od miejsca, w którym tkwiły przed wystrzeleniem siatki krępującej. Obok nich jeszcze dymiło kolejne pasmo spalonej roślinności. — Co się stało? — zapytał. — Starają się wymknąć, korzystając z zamieszania?

— Taki miały zamiar — odezwał się rzeczowo któryś Kobra. — Myślę, że przynajmniej na jakiś czas namówiliśmy je do współpracy.

— Współpracy — odezwał się w zamyśleniu Hanford. — Przypominam sobie, jak burmistrz Huriseem coś mówił o tym, że kiedy Qasamanie tu przybyli, krisjawy zachowywały się względem nich przyjaźnie.

— Powiedział, że to legenda — przypomniał mu inny Kobra. — Nie przekonacie mnie, że zachowanie zwierząt może ulec aż tak diametralnej zmianie.

— A na co teraz patrzysz? — parsknął Hanford. — Te dwa krisjawy są tak potulne, że bardziej już chyba nie mogą.

— Tylko dlatego, że widziały, w jaki sposób mogą być unicestwione, jeżeli spróbują zachowywać się inaczej.

— Co już samo w sobie o czymś świadczy — wtrącił się Banyon. — Pamiętacie dzisiejszy poranny raport naszej grupy badawczej, w którym mówi się, jakoby mojoki i ludzie informowali się nawzajem o stopniu agresji?

— Czy sądzisz, że to mojok nakłonił krisjawa do tego, żeby walczył z oplątującą go siecią? — zapytał Hanford, osłoniwszy oczy przed słońcem, kiedy rozglądał się po drzewach w poszukiwaniu ptaka.

— Akurat na odwrót — odparł Banyon. — Zastanawiam się, czy to nie mojok tłumił agresję krisjawa.

— To szaleństwo — odezwał się jeden z Kobr. — Pozostałe krisjawy w dalszym ciągu zachowują się jak kaczki na powierzchni stawu, podczas gdy ich najlepszym wyjściem byłby atak albo próba ucieczki.

— Nie bierzesz pod uwagę faktu, że przed chwilą zademonstrowaliśmy im, jak łatwo możemy je zabić, jeżeli spróbują jednego lub drugiego — odezwał się z namysłem Hanford. — Pamiętacie tamtego straszka z Tacty? Jeżeli mojoki mają podobne do niego wyczucie zagrożenia, mogły uznać, że najlepszym wyjściem jest siedzenie i czekanie na to, co zrobimy.

Pozostali zastanawiali się nad znaczeniem tych słów. Zapadła więc dosyć długa cisza.

— Przypuszczam, że to mogłoby mieć sens — odezwał się w końcu jeden z zoologów. — Z drugiej strony trudno mi sobie wyobrazić, w jaki sposób ten system w ogóle zaczął działać. Nie mówiąc już o tym, jak to udowodnić.

— Jeżeli teoria o czytaniu w myślach jest prawdziwa, nie sądzę, żeby było to takie trudne — rzekł Banyon. — Mojokom potrzebny jest jakiś drapieżnik na tyle groźny, żeby mógł rozprawić się z bololinem po to, by ptakowi umożliwić dostęp do tarbina. Może w zamian mojok spełnia funkcję obserwatora albo jakąś podobną.

— Gdyby wziąć pod uwagę władzę, jaką mogą mieć nad emocjami, ich wzajemne stosunki wcale nie muszą układać się na tak partnerskich zasadach — powiedział cicho Hanford. — Te ptaki mogą być nawet tylko pasożytami.

— Masz rację — stwierdził Banyon. — A jeżeli chodzi o dowód... Dale, nastaw celownik na najbliższego mojoka, dobrze? Mierz w łeb ptaka, a krisjawowi nie rób krzywdy.

— W porządku — odezwał się w słuchawkach głos Kobry. — Jestem gotów.

Banyon wymierzył we właściwego krisjawa i przeniósł ciężar ciała na prawą stopę. Gdyby stało się to, czego się spodziewał, chciał mieć swój przeciwpancer-ny laser gotowy do strzału.

— Dobrze. Teraz!

Z boku i nieco z tyłu za krisjawem rozbłysnęła nitka światła, trafiła w ptasią głowę... a ułamek sekundy później drapieżnik przeraźliwie zawył i ruszył do ataku. Uruchomiwszy włącznik automatycznego prowadzenia ognia, Banyon odchylił się, uniósł lewą nogę i wymierzył z bliska w łeb krisjawa. Kiedy strzelił, okolicę przeszył jasny błysk, a futro drapieżnika ściemniało. Krisjaw zwałił się bezwładnie na ziemię...

A Banyon uniósł głowę w samą porę, żeby ujrzeć, jak trzeci mojok pikuje prosto w stronę jego twarzy.

Kiedy nanokomputer odrzucił go na bok, cała okolica wywinęła szaleńczego kozła... ale wcześniej Banyon zauważył, jak ostatni krisjaw spręży się do skoku. W chwilę później Kobra wylądował na ziemi i przetoczył się, przyjmując impet na lewe ramię. Usłyszał, jak ktoś głośno krzyknął... a kiedy, przykucnąwszy, znie- ruchomiał, zobaczył, jak krisjaw rzuca się na Hanforda.

Banyon wyciągnął poziomo ręce, z których wystrzeliły w stronę drapieżnika dwie nitki światła, ale życie naukowca uratował odruchowo wystrzelony pojemnik z krępującą siecią. Skaczący krisjaw uderzył go, przewrócił, ale patrzył tylko z nienawiścią na swoją ofiarę, bo jego kły i pazury chwilowo przynajmniej zosta-

ły unieruchomione w sieci. Banyon szarpnął się, by uwolnić nogi z krzaków, w które się zaplątały... ale zanim zdążył wymierzyć w bestię przeciwpancerny laser, okolicę przeszły dwa jaskrawe błyski, po których krisjaw runął, a na Hanforda zwały się dymiące szczątki.

Banyon wstał i błyskawicznie rozejrzał się po okolicy. Wciąż nie wiedział, co stało się z mojokiem.

Już wkrótce się dowiedział. Ptak, wczepiony szponami w jedno ze skrzyżowanych ramion któregoś biologa, tłukł go skrzydłami po głowie, usiłując w tym samym czasie dobrać się dziobem do osłoniętej twarzy.

Banyon w następnej sekundzie doskoczył do nich, złapał ptaka za szyję i z całej siły pociągnął. Mojok oderwał szpony i zaczął się szamotać, starając się wyrwać z rąk nowego przeciwnika. Uchwyt Banyona był jednak wspomagany siłą jego serwomotorów... po kilku kolejnych chwilach ptak w dłoniach znieruchomiał.

— Nic ci nie jest? — zapytał zoologa, krzywiąc się na widok krwi przesiąkającej przez materiał rękawa jego bluzy.

— Ramiona i cała głowa palą mnie jak ogniem — mruknął tamten, niepewnie opuszczając ręce. — Poza tym... myślę, że nic więcej.

Przynajmniej na jego twarzy nie było widać żadnych obrażeń.

— Za chwilę zabierzemy cię do patrolówki — obiecał Banyon i zwrócił się w stronę Hanforda.

Pozostałe Kobry zdążyły w tym czasie ściągnąć z niego szczątki krisjawa, a Dale klęczał teraz u jego boku.

— Co z nim? — zapytał Banyon.

— Może mieć złamane żebro albo dwa — odparł Dale, wstając. — Sądzę, że nie powinniśmy go stąd ruszać. Już lepiej ja pójdę do patrolówki i przylecę tutaj.

Banyon kiwnął głową i uklęknął obok leżącego Hanforda, a Dale oddalił się zważym truchtem.

— Jak się czujesz? — zapytał zoologa.

— Pod względem naukowym wspaniale — odparł tamten, zmuszając się do słabego uśmiechu. — Udało się nam wykazać, że dzikie mojoki pełnią w przyrodzie tę samą funkcję, co oswojone w stosunku do Qasaman. Pomagają krisjawom walczyć.

— A poza tym wygląda na to, że pomagają im podejmować decyzje, w jakich okolicznościach walka jest najlepszym wyjściem — stwierdził Banyon, kiwnąwszy głową.

— Walka w przeciwieństwie do ucieczki?

Banyon uniósł głowę i popatrzył w zagniewane oczy biologa, który nie wyglądał nawet na rannego.

— Nie uciekłem — odezwał się cicho.

— Pewnie, że nie — prychnął tamten. — Tylko uskakiwałeś w miejsce, z którego miałbyś lepsze pole ostrzału. A w tym czasie drapieżnik mógł nas zabić. Dobra robota... naprawdę świetna.

Odwrócił się tyłem do Kobry.

Banyon westchnął, przymknąwszy na chwilę oczy. Oni nigdy się nie nauczą — pomyślał. — Ani ludzie, którzy przydzielają Kobry jako strażników, ani ci, którym ich przydzielano. Skomputeryzowane odruchy Kobry zaprojektowano w ten sposób, żeby w razie potrzeby ratowały mu życie, ale tylko jemu. Przy programowaniu nanokomputera nie przewidziano heroicznych czynów mających na celu ratowanie życia innych kosztem poświęcania własnego... ale cywile nie rozumieją tego nigdy, bez względu na to, ile razy by im o tym mówić.

Usłyszał w słuchawce cichy trzask świadczący o tym, że włączono przekaznik patrolówki pośredniczący w przesyłaniu zmiennoczęstotliwościowego sygnału z pokładu statku.

— Banyon? Tutaj Telek. Wracajcie.

— Tak jest, pani gubernator. Co się stało?

— Jak idzie polowanie?

— Prawdę mówiąc, całkiem nieźle. Możemy przesłać wszystkie dane na pokład, kiedy tylko podłączymy nasze rejestratory do nadajnika.

— Nie zawracajcie sobie tym głowy — rzekła Telek, a Banyon wyczuł w jej głosie oznaki niepokoju. — Postarajcie się tylko zabrać je na pokład "Menssany". Wiecie, gdzie jesteśmy?

— Tak, o ile statek od wczoraj nie ruszał się z miejsca. Czy dzieje się coś złego?

— Właściwie nie. A przynajmniej nic, co byłoby dla nas niespodzianką. Chciałabym tylko szybko wystartować, o ile zajdzie taka potrzeba.

Banyon skrzywił się, kiedy poczuł, jak coś ścisnęło go za serce.

— Konwój Qasaman dotarł w pobliże patrolu pierwszego? — zapytał.

— Przed dziesięcioma minutami. A nasz patrol w tej chwili toczy z nimi walkę.



## ROZDZIAŁ 14

Cały las rozbrzmiewał jazgotem szybkostrzelnej broni maszynowej, a grad rozszalałych kul smagał liście i poszycie, odłupując z pni pobliskich drzew duże płaty kory. Rozpłaszczony na brzuchu za pniem najgrubszego drzewa, jakie rosło w pobliżu jego stanowiska, Justin leżał na ziemi i czekał, aż ogień zaporowy Qasaman osłabnie albo przynajmniej zmieni kierunek. Kiedy wyczuł, że tak się stało, ostrożnie wychylił głowę zza pnia drzewa i spojrzął. O sto metrów przed sobą zobaczył sześciu Qasaman powracających biegiem w stronę konwoju z miejsca, w którym Kobry zwały w poprzek drogi duże drzewo. Zapewne umieścili pod nim ładunki wybuchowe — pomyślał Pyre... w tej samej chwili, w której Justin wyjrzał ze swojej kryjówki, zaporą podskoczyła w płomieniach żółtego ognia. Kiedy dym się trochę przerzedził, okazało się, że część pnia zniknęła.

— Zapora zniszczona — zabrzmiał w słuchawkach Justina meldunek jednego z Kobr. — Konwój rusza w dalszą drogę.

— Biorę to na siebie — powiedział do mikrofonu Justin.

O dwadzieścia metrów bliżej znajdowała się rosnąca w pobliżu drogi kępa dużych drzew, z których jedno przygotowali specjalnie w tym celu zeszłej nocy. Oderwawszy od ziemi dłoń, starannie wymierzył w nie i strzelił.

Lina utrzymująca pień podciętego uprzednio największego drzewa trzasnęła i z łoskotem łamiących się gałęzi zagłuszającym nawet huk wystrzałów, następny pień zwałił się wdzięcznie w poprzek drogi.

— Zapora przywrócona — zameldował.

— Przygotować się do odwrotu — rozkazał zwięźle dowódca. — Zastona dymna gotowa?

W odpowiedzi las po obu stronach drogi zaczął zasnuwać się kłębamii czarnego dymu.

— Pierwsza drużyna, odwrót — polecił Pyre.

Justin wstał i oderwał się od osłaniającego go pnia. Biegł szybko, lecz tak, by jak najtrudniej było go trafić. Wiedział, że dym uniemożliwi namierzenie bezpośrednie i za pomocą celowników czułych na podcierwień, ale miał na uwadze

zbląkane kule, których wciąż świstało co niemiara. Pozbawiona polotu taktyka Qasaman świadczyła wyraźnie o tym, że nie mają doświadczenia w prawdziwej walce, ale nadrabiali te braki gorliwością i entuzjazmem.

Pokonał w ten sposób pół drogi do następnej kryjówki i pędził właśnie przez jakąś polanę, kiedy z góry dobiegł go huk nowych wystrzałów. Na chwilę zamarł i cicho zaklął, zdawszy sobie sprawę z tego, że...

Wróciły helikoptery.

A przynajmniej jeden. Sądząc po kierunku, z którego dolatywały dźwięki, helikopter znajdował się trochę na wschód od niego, a pilot był zapewne zajęty niszczeniem kilkudziesięciu podgrzewanych manekinów, które rozstawili tam nad ranem, by wprowadzić w błąd działające na podczerwień celowniki wroga. Z każdą chwilą jednak warkot silnika się nasilał. Justin skręcił i puścił się biegiem ku najbliższej kryjówce. Usłyszał, że warkot maszyny zmienił ton, a po chwili ujrzął i ją samą przez gęstwinę liści... a poszycie o kilka metrów za nim przeorała seria kul z pokładowego karabinu.

Przyspieszył i dotarł pod osłonę wybranego uprzednio drzewa, jeszcze zanim Qasamanin zdołał wymierzyć po raz drugi.

— Nic mi nie jest! — zawołał do mikrofonu, nie czekając, aż ktoś o to zapyta. — Tylko nie mogę się stąd ruszyć!

— Ja się tym zajmę — burknął inny. — Kto mnie osłania?

— Jestem gotów — odezwał się Pyre. — Na trzy. Raz, dwa, trzy!

Pilot helikoptera zataczał krąg, starając się znaleźć nad Justinem z drugiej strony i przelatywał właśnie nad inną polaną, kiedy rozbłysnął laser przeciwpancerny Pyre'a, trafiając w okno kabiny.

Maszyna szarpnęła się i zaczęła szybko opadać, ale pilot nad samymi koronami drzew wyrównał lot. Musiał mieć dużą wprawę, gdyż zajęło mu to najwyżej kilka sekund... ale wówczas z ziemi, dokładnie spod helikoptera, wystrzeliła przez gęstwinę liści jakaś postać, by po chwili uchwycić się klamki bocznych drzwi kabiny. Nie wypuszczając klamki z ręki, obróciła się głową w dół, skierowała lewą nogę w stronę wirnika i po chwili mierzenia wypaliła z przeciwpancernego lasera.

Pilot jednak nie dawał za wygraną. Prawie w tej samej chwili szarpnął stery, nakazując maszynie ciasny skręt, by siła odśrodkowa oderwała uczeponego wciąż klamki Kobrę. Jego nanokomputer jednak, tak zresztą jak wszystkie inne, dysponował zestawem niemal kocich odruchów, które umożliwiły mu bezpieczne lądowanie, toteż manewr helikoptera nie okazał się dla Kobry śmiertelny... a

kiedy pilot ostrożnie wyrównał lot maszyny, nadwerężony przez strzał Kobry wirnik nie wytrzymał i po kilku sekundach las zatrzęsł się, targnięty wybuchem rozbijającej się maszyny.

— Meldować — rzucił Pyre, gdy huk eksplozji przemienił się w nieco cichszy odgłos płonących w oddali szczątków.

— Wszystko w porządku — zapewnił pozostałych Kobra. — Tylko jeżeli ktoś będzie chciał spróbować takiej samej sztuczki, niech uważa na konary. Te cholerne gałęzie drapią jak wszyscy diabli.

Justin odetchnął z ulgą... ale nagle uświadomił sobie, że w lesie zrobiło się bardzo cicho.

— Przestali strzelać... — zaczął.

— Almo, na drodze widzę jakiegoś Qasamanina — przerwał mii ktoś. — Jest sam, jeżeli nie liczyć mój oka, i trzyma białą flagę.

Białą flagę. Winward kiedyś też wybrał się w drogę z białą flagą... i mimo to omal go nie zastrzelono. Justin zaczął się zastanawiać, czy Pyre to pamięta... na tę myśl zacisnął zęby. Był ciekaw, jak zareaguje starszy Kobra.

— W porządku — odezwał się po chwili Pyre. — Miejcie oczy szeroko otwarte... tamci mogą chcieć odwrócić naszą uwagę, żeby wymknąć się z pojazdów i spróbować okrążyć nas pieszo. Zawołam go i dowiem się, o co chodzi.

— Nie zapomnij o namierzeniu jego mojoka — odezwał się ktoś rzeczowo.

— Nie żartuj — odparł Pyre. — Zaczynam.

Głos dowódcy rozbrzmiał w słuchawkach Justina całkiem cicho, ale po chwili wzmocniła go tuba translatora, a tłumaczenie jego słów na qasamański rozległo się po całym lesie:

— Idź dalej. Trzymaj ręce tak, byśmy mogli je dobrze widzieć, a twój mojok niech pozostanie na ramieniu. Powiem ci, kiedy będziesz mógł skręcić z drogi.

W lesie stało się znów cicho. Nastawiwszy wzmacniacze słuchu na większą czułość, Justin usiadł za drzewem i czekał, co się wydarzy.

Telek potarła oczy kciukami.

— Od pojawienia się konwoju — odezwała się zmęczonym głosem do Pyre'a — mamy wciąż ten sam problem. Mówiąc krótko, zebraliśmy zbyt mało danych, żeby decydować się na powrót.

— Chodzi ci o to, że nie udało się wykazać, iż mojoki wywierają bezpośredni wpływ na zachowanie się Qasaman? — zapytał.

Pomyślała, że prawdopodobnie Pyre ma rację.

— Zespół naukowców nie dokończył jeszcze wszystkich badań — odparła.

— I może nie dokończyć — burknął Pyre. — Nie sądzę, żeby blefowali, kiedy oświadczyli, że to nasza ostatnia szansa odlotu, potem zaczną do nas strzelać. Jeżeli naprawdę to zrobią, nie troszcząc się o koszty, nie uda się nam utrzymać pozycji.

A za tę krótką zwłokę — pomyślał — możemy zapłacić życiem dziesięciu pierwszorzędnym Kobr, a Qasamanie uzyskają szansę zapoznania się ze sprzętem i uzbrojeniem stosunkowo mało uszkodzonego ciała Kobry.

— Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest sprzeczek z tobą, której i tak nie wygram — powiedziała Telek. — Nie widzę tu jednak żadnej pułapki, a doświadczenie mówi mi, że kryje się w tym wszystkim jakiś podstęp.

— Może nie. Może Moff pragnie tylko nie dopuścić do przelewu krwi.

Na dźwięk tego nazwiska wargi Telek lekko zadrżały. Moff. Opiekun i przewodnik przybyszów z innego świata, bystry obserwator, który poprzednim razem znacznie utrudnił im odlot, a teraz jeden z przywódców naprędce zorganizowanej grupy interwencyjnej. Człowiek obdarzony wieloma talentami... a przy tym i wielkim szczęściem, jeśli udało mu się przeżyć jatkę, jaką urządził wówczas w Purmie Justin. Na myśl o bliźniaku uświadomiła sobie, co musiał czuć, wiedząc o obecności Moffa, ale po chwili, zirytowana, zmusiła się do myślenia o czymś innym. Moff. Co właściwie o nim wiedziała? Co mogłoby przynajmniej dać jej jakąś wskazówkę na temat tego, co naprawdę knuje? Czy zamierza zmusić ludzi do opuszczenia wioski tylko po to, żeby później wpadli w pułapkę w innym miejscu, w którym życie ludności cywilnej Qasamy nie będzie zagrożone? Czy w wiosce było coś takiego, czego oni jego zdaniem nie powinni zobaczyć? Czy po prostu zależało mu jedynie na tym, żeby odwieść dwie społeczności ludzi z różnych planet od wojny, która wydawała się nieunikniona?

Ale grupa naukowców musiała mieć więcej czasu.

— Pani gubernator?

— Jestem, Almo — powiedziała, westchnąwszy głęboko. — No dobrze, zdecydujemy się na eksperyment. Powiedz im, że się wyniesiemy, kiedy tylko udowodnimy ich przedstawicielowi, iż nie zabiliśmy ani nie skrzywdziliśmy żadnego mieszkańca osady.

— **Czy to da patrolowi trzeciemu dosyć czasu na to, żeby dotrzeć do wioski ze stadem bololinów?**

Telek sprawdziła obliczenia.

— To możliwe, pod warunkiem, że będziemy przedłużali negocjacje. Ale po zakończeniu badań wpływu pory polowań na psychikę mieszkańców nie zdążymy odebrać czujników, które psychologowie umieścili na szyjach badanych osób.

— Rada bardzo stanowczo nalegała, żeby nie zostawiać żadnych urządzeń elektronicznych — przypomniał Pyre.

— Wiem, wiem. No cóż, jeżeli będziemy musieli zrezygnować z tych testów, po prostu z nich zrezygnujemy i koniec. Posłuchaj, na razie postaraj się wybadać, czy zgodzą się wysłać do wioski swojego przedstawiciela. Ja w tym czasie porozumiem się z Michael'em i McKinley'em i zapytam, co sądzą na ten temat.

— Zgoda. — Pyre na chwilę się zawahał. — Jeżeli to ci w czymś pomoże... jesteśmy gotowi tu nawet zginąć.

Telek zamrugnęła, czując, jak jej oczy nagle zwilgotniały.

— Doceniam to — rzekła chropawo. — Ale wy także kwalifikujecie się jako sprzęt elektroniczny i dlatego nie wolno mi was zostawić. Pogadaj z Qasamanami i spróbuj połączyć się ze mną trochę później.

— Tak, to naprawdę doskonały pomysł — odezwał się Winward do Telek z ponurą satysfakcją. — Myślałem o tym odkąd psychologowie zaczęli narzekać, że potrzebują więcej czasu na przeprowadzenie dokładniejszych badań.

— No i?

— Jeżeli nie można samemu zrobić badań, trzeba chociaż postarać się o ich wyniki. Chyba wiem, gdzie ich szukać.

— Chcielibyśmy, żeby to był ktoś cieszący się u mieszkańców wioski dużym autorytetem — ostrzegł Qasamanina Pyre, starannie dobierając słowa. — Ktoś, komu obywatele osady zaufają. Chcemy wykazać, że nasi naukowcy nie zrobili im najmniejszej krzywdy.

— Najechaliście nasz świat, sterroryzowaliście ludność wioski, a teraz chcecie, żeby traktować was jak dżentelmenów? — splunąwszy, odezwał się Qasamanin. — Nie macie prawa niczego od nas żądać, ale tak się składa, że Moff wyraził zgodę na towarzyszenie waszemu przedstawicielowi do samej wioski. To wyłącznie gest mający świadczyć o jego dobrej woli.

— Rzecz jasna.

Pomyślał, że Winward przewidział wszystko... i bez względu na powody, dla których Moff zgodził się przyjąć ich propozycję, Qasamanin już wkrótce znajdzie się w ich rękach.

A wówczas cała reszta będzie należała do McKinleya i Winwarda. Pyre miał cichą nadzieję, że dadzą sobie radę.

— Dwa... jeden... teraz!

Dań Rostin wyłączył zasilanie ogromnego elektromagnesu patrolówki. Dokładnie w tej samej chwili Parker poderwał mały stateczek w powietrze. Zrobił to w samą porę: kolce na grzbietach pierwszych bololinów pędzących na skraju stada niemal otarły się o spód patrolówki. Parker uniósł nieco maszynę i zdmuchnął z czubka nosa kroplę potu.

— Patrol trzeci do Telek! — zawołał, zwróciwszy głowę w stronę mikrofonu systemu łączności dalekosiężnej. — Zakończyliśmy ostatnią zmianę kursu. Czy może pani potwierdzić, że kierunek jest prawidłowy?

— Tu Telek — odezwał się prawie natychmiast głos pani gubernator. — Zaczekaj chwilę... właśnie otrzymujemy wiadomość z pokładu "Dewdrop". — Przez kilka chwil się nie odzywała. — Tak, potwierdzam. Czy z jakiegoś powodu nie biegną teraz trochę szybciej?

— Z całą pewnością — powiedział jej Parker. — Myślę, że te wszystkie zmiany kierunku i natężenia pola zaczęły w końcu działać im na nerwy. Jeżeli nie zwolnią, powinny dotrzeć w pobliże wioski za jakieś pięćdziesiąt minut.

— "Dewdrop" ocenia ten czas mniej więcej tak samo. No dobrze, powiadomię teraz o tym psychologów. Mam nadzieję, że to nie zakłóci harmonogramu ich dzisiejszych badań.

— I ja mam taką nadzieję — parsknął Parker. — Jestem pewien, że w żaden sposób nie udałoby się nam teraz ich powstrzymać.

Telek westchnęła.

— Tak. No cóż... Teraz wracajcie do nas. Jeżeli możliwe, starajcie się nie zwracać niczyjej uwagi. Nie musicie się bardzo spieszyć. Nie sędzę, żebyśmy w ciągu najbliższego czasu mieli odlecieć.

Moff przejechał samochodem przez otwartą bramę wioski, a później, zatrzymawszy pojazd, odezwał się po raz pierwszy od chwili opuszczenia obszaru kontrolowanego przez Kobry:

— Dokąd teraz?

— Do ratusza — zarządził Justin. — Prosto tamtą ulicą, a potem w lewo.

Tamten w odpowiedzi tylko kiwnął głową, a Justin popatrzył z ukosa na twarz Qasamanina. Moff nie wydawał się zdumiony faktem, że to właśnie Justina przydzielono mu jako opiekuna, ale właściwie nie było rzeczy, która mogłaby go

zadziwić. Nawet teraz, gdy przybył do opanowanej przez wrogów wioski, jego twarz pozostawała obojętna i tylko oczy rzucały spojrzenia mogące świadczyć o niepokoju czy trosce.

— Gdzie są mieszkańcy? — zapytał w pewnej chwili. Justin rozejrzał się. Oprócz Kobr stojących na rogach budynku, do którego się zbliżali, ulice były wyludnione. Połączył się z Winwardem i powtórzył pytanie Moffa.

— Na placach w centralnej i północnej części osady — usłyszał i przekazał tę informację Moffowi.

— Chciałbym ich zobaczyć, zanim porozmawiam z waszymi przywódcami — oświadczył tamten.

Justin wzruszył ramionami, starając się sprawić wrażenie, że jest mu wszystko jedno. Prawdę mówiąc, nie miał zbyt dużo czasu, ale tego nie mógł Moffowi zdradzić.

— Jeżeli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko temu — powiedział. — Tylko nie marnuj czasu. Chciałbym, żeby nasze rozmowy się zaczęły, zanim ktokolwiek wyciągnie broń i znowu zaczną strzelać.

— Nasi ludzie nie zaczną strzelać, dopóki nie zrobią tego wasi.

Justin jeszcze raz wzruszył ramionami i usiadł wygodniej w fotelu. Pojazd skręcił. Oczekiwano, że Justin postara się zorientować, czy Moff czegoś nie knuje, ale poza miniaturowym rejestratorem ukrytym w grubym naramienniku, na którym siedział mojon, Kobra nie dostrzegł żadnego urządzenia, które mogłoby stanowić jakąś wskazówkę. Pomyślał o potraktowaniu Cerenkova i Rynstadta bronią bakteriologiczną

I poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie, mimo że Telek i Winward zapewniali go, iż istnieją pewniejsze i bezpieczniejsze sposoby ataku. Starał się nie zapominać, że sposób myślenia Qasaman nie musi być taki sam jak Aventinian.

Moff skręcił jeszcze kilka razy, zanim ich oczom ukazał się widok dużego placu ze znajdującym się na nim tłumem ludzi.

Na pierwszy rzut oka Justinowi wydawało się, że spogląda na wielki wioskowy piknik. Większość dorosłych siedziała w kilkuosobowych grupach, a dzieci bawiły się w pobliżu. Na obrzeżach placu stały nadzorujące mieszkańców Kobry.

— Inni są trochę dalej? — zapytał Moff, wskazując kierunek ręką.

— Myślę, że tak — odparł Justin.

Nie pytając o pozwolenie, Moff skręcił i skierował pojazd w tamtą stronę. Pozostali mieszkańcy wioski znajdowali się rzeczywiście na innym, nieco mniej-

szym placu o kilka bloków dalej na północ od pierwszego, a Moff zatrzymał samochód. Przez chwilę uważnie przyglądał się zgromadzonemu, jak gdyby szukał oznak niewłaściwego traktowania, a Justin zwrócił uwagę, że powoli obraca cały tułów, chcąc widocznie umożliwić kamerze w naramienniku zarejestrowanie widoku całego tego miejsca. Czyżby pragnął w ten sposób uspokoić dowódców swoich wojsk, że mieszkańcom nie stała się najmniejsza krzywda? To możliwe, jeżeli kamera rejestratora przekazuje obrazy na żywo...

Justin poczuł, że nagle napinają mu się wszystkie mięśnie. Nie, nie chodziło wcale o mieszkańców. Popatrzył na miejsca, na które spoglądał tamten. Moff patrzył na strażników.

Liczył Kobry.

Oczywiście. To była ta sama sztuczka, której już próbował, kiedy chcąc zapoznać się z wnętrzem "Dewdrop", zgodził się na powrót Joshuy z rannym Yorkiem. Justin domyślił się, że z trzydziestu Kobr znajdujących się w wiosce co najmniej dwadzieścia pilnowało teraz obu grup mieszkańców — absurdalnie mało jak na trzy tysiące osób, nawet mimo ich możliwości. Moff z pewnością to także dostrzegł i zapewne równie łatwo doszedł do wniosku, iż Kobr nie może być wiele więcej.

Mówiąc krótko, grupa psychologów prowadząca badania mogła znaleźć się w prawdziwych opałach. To zaś oznaczało... właśnie, co takiego?

Justin tego nie wiedział, ale był pewien, że musi przekazać im tę informację jak najszybciej. Przycisnąwszy ukradkiem mikrofon do ust, zaczął szeptać.

York pokręcił głową, nie odrywając oczu od ekranu stojącego przed nim monitora.

— Na razie nie widzę żadnych helikopterów — odezwał się do Telek. — Jest pani pewna, że kamera Moffa umożliwi nie tylko rejestrowanie obrazów?

— Udało się nam ustalić jego pasmo transmisyjne — odparła zwięźle. — Co z innymi samolotami? Mówiłeś, że na lotnisku pod Sollas pojawiło się kilka maszyn poziomego startu?

— Wciąż tam stoją. Czy Almo nadal nie melduje o żadnych kłopotach przy zaporze na drodze obok patrolu pierwszego?

— Nie. Może Qasamanie planują obejść pozycje jego Kobr szerokim łukiem od południa i to pieszo — rzekła Telek, kręcąc głową. — Przypuszczam, że tylko czekają, kiedy wyniesiemy się z wioski.

York otworzył usta... ale zamarł, kiedy przyszła mu do głowy nowa myśl.



— Sądzi pani, że Moff może znać sposób dostania się do wioski z przeciwnej strony?

— Jeżeli pytasz, czy w Sollas mogą mieć mapy tych okolic, to myślę, że tak — oświadczyła.

— Tak myślałem. Proszę mi teraz powiedzieć, gdzie w pobliżu lub w samej wiosce jest tyle miejsca, żeby mógł wylądować nasz statek?

— Dlaczego... — zaczęła Telek, ale przerwała. — Otwarta przestrzeń koło bramy i dwa place, na których przebywają teraz Qasamanie.

— A Moff widział te wszystkie trzy miejsca — rzekł York, z ponurą miną kiwnąwszy głową. — Zobaczył na własne oczy to, o czym zapewne zameldowali mu piloci tych helikopterów. Że grupa naszych psychologów nie dysponuje żadnym statkiem znajdującym się na tyle blisko, by mogła nim szybko odlecieć.

Telek wypuściła powietrze, czując dreszcz przebiegający po ciele.

— Cholera. Cholera i jeszcze raz cholera. Nic dziwnego, że nie spieszą się z atakiem. Moff z pewnością chce podjąć jeszcze jedną próbę zawładnięcia statkiem. Wie także, że kiedy "Dewdrop" wyląduje, jego wojska będą musiały być gotowe do walki. To dlatego tak łatwo zgodził się na zawieszenie broni. Kapitanie, w jakim czasie mógłby pan dolecieć w pobliże wioski?

— Nie wcześniej niż za trzydzieści minut — odezwał się Shepherd. — Statek nie jest zaprojektowany z myślą o tak długich lotach w atmosferze i z dużymi prędkościami.

— Pół godziny — parsknął York. — Sami moglibyśmy zejść z orbity i znaleźć się przy nich trochę wcześniej.

— Zapominasz o tym, że w żadnym razie nie możemy upchnąć na pokładzie pięćdziesięciu osób z grupy naukowców i patrolu pierwszego — burknęła Telek. — No cóż, panowie, lepiej zacznijcie myśleć i to szybko. Najlepsza okazja odwrócenia uwagi Qasaman od tego, co się dzieje w wiosce, pojawi się za... — spojrzała na zegarek — mniej więcej czterdzieści minut. Naukowcy będą wówczas musieli się stamtąd wynieść.

Bo w przeciwnym razie — pomyślał York — pozostaną tam na zawsze. Przygryzłszy wewnętrzną skórę policzka, zapatrzył się w ekran i zaczął intensywnie myśleć.

Na widok Moffa i Justina, Kobra stojący przed wejściem do ratusza odsunął się trochę na bok.

— Czekają na was w pierwszym pokoju po lewej stronie — powiedział, otwierając przed nimi drzwi wejściowe.

Kiedy Moff minął go i nie mógł go widzieć, strażnik wykonał dłonią nieznaczny poziomy ruch, nakazując w ten sposób Justinowi: zostań trochę z tyłu. Justin kiwnął głową i zwolnił, pozwalając, żeby Moff jako pierwszy udał się do pokoju, do którego skierował ich strażnik. Drzwi były już otwarte, a kiedy obaj weszli, Justin ujrzał czekających na nich w środku dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Winward, a drugim naczelny psycholog grupy naukowców, McKinley. Obaj stali obok siebie przed znajdującym się w pomieszczeniu niskim biurkiem, a na ich twarzach malowało się napięcie.

— Dzień dobry, Moff — odezwał się Winward, kiwnąwszy głową. — Prawdę mówiąc, nigdy się nie spotkaliśmy, ale dużo o tobie słyszałem.

— I ja o tobie także — odparł chłodno Moff. — Jesteś tym diabelskim wojownikiem, którego moi ludzie nie mogli zabić. A przynajmniej tak twierdzą.

— W każdym razie nie udało im się tego zrobić podstępem — powiedział Winward równie lodowato, starając się dostosować do tonu głosu Moffa. — Zapewne zwróciłeś uwagę na fakt, że my potraktowaliśmy waszą białą flagę rozejmu w bardziej honorowy sposób.

— Jeżeli chcesz mówić o honorze...

— Chcę mówić o wielu rzeczach — przerwał mu bezceremonialnie Winward. — Zanim jednak to zrobię, chcę cię prosić, żebyś zostawił swojego mojoka w sąsiednim pokoju.

Moff wyprostował się, jak gdyby wietrzył jakiś podstęp.

— Żebym był wobec was całkiem bezbronny? — zapytał.

— Nie bądź śmieszny. Gdybyśmy chcieli zrobić ci krzywdę, ty i twój diabelski ptak już dawno leżelibyście na podłodze. Wiesz o tym nie gorzej od nas. Proszę cię po raz drugi i ostatni.

— Mój mojok zostanie ze mną. Winward westchnął.

— No dobrze, sam tego chciałeś.

Sięgnąwszy za siebie na blat biurka, ujął leżącą tam pozbawioną łożyska strzelbę z krótką lufą i uniósł ją do oka. Z głośnym skrzekiem mojok Moffa podrywał się do lotu...

I skrzeknął po raz drugi, kiedy wystrzelona krępująca sieć opadła mu na dziób, oplatając tułów.

— Justin, zabierz go do tamtego pokoju — odezwał się znużonym głosem Winward, wręczając młodszemu Kobre siatkę z unieruchomionym w niej ptakiem. — Nie wykazują zbyt dużej skłonności do uczenia się, prawda? — dodał, zwracając się do Moffa.

Justin nie usłyszał odpowiedzi, gdyż w tym czasie go nie było, ale kiedy powrócił, mówił znów Winward:

— A zresztą, to w tej chwili i tak nieważne. Wiemy dosyć dobrze, co mojoki z wami robią. Wiemy też, że gdyby doszło między nami do wojny na wielką skalę, wygralibyśmy ją z wami bardzo łatwo.

— Ponieważ nie możecie umrzeć? — prychnął Moff. — Niektórzy może w to wierzą, ale nie ja. Nie chroni cię żaden demon... ani inny nie rozdziela jednego umysłu na dwa ciała — dodał, spoglądając z udręką na Justina. — Wasze czary są tylko wiedzą, której już nie pamiętamy, ale kiedy sobie ją przypomnimy, również dla nas będzie czyniła takie cuda.

— Możliwe — odparł Winward, wzruszając ramionami. — Sądzę jednak, że dalsza dyskusja na ten temat nie ma sensu, gdyż w celu zdobycia tej wiedzy musielibyście kilku z nas zabić... a bardzo wątpię, żeby wasze mojoki pozwoliły wam jeszcze kiedyś stanąć przeciwko nam do walki.

Moff otworzył usta, ale słowa, które chciał powiedzieć, zamarły mu na wargach.

— Co to znaczy, że mojoki nie pozwolą nam stanąć do walki z wami? — zapytał niepewnie po chwili.

McKinley pokręcił głową.

— Nie ma sensu udawać, Moff — powiedział. — Zbieramy dane co prawda dopiero od dwóch dni, ale wiemy, że mojoki traktują was jak swoje marionetki. Mielicie trzysta lat na to, by to zbadać... z pewnością musicie wiedzieć o tym nie gorzej od nas.

— Marionetki, powiadasz. — Moff zacisnął wargi. — Niczego nie rozumiecie.

— Czyżby? — zapytał go Winward. — Więc nas oświeć. Moff popatrzył na niego, ale nie odezwał się ani słowem.

— Szczegóły nie są ważne — stwierdził McKinley, wzruszywszy ramionami. — Liczy się tylko żywotny interes mojoków, to znaczy dbanie o to, żeby ich myśliwi, czyli wy, byli żywi. Potrafią czytać w waszych myślach na tyle, żeby zmusić was do zrobienia tego, czego pragną. Jeżeli uznają, że w walce przeciwko nam nie macie szans, nie pozwolą wam do niej przystąpić. — Machnął ręką. — Reakcja

mieszkańców wioski na nasz przyłot jest dla mnie najlepszym dowodem, że mam rację.

— Naprawdę? — Moff splunął.

Justin stwierdził, że Qasamanin wyraźnie zaczyna się irytować. Czyżby wywody McKinleya tak bardzo działały mu na nerwy? A może to była pierwsza od wielu lat chwila, jaką Moff miał okazję przeżyć z dala od swojego mojoka? Mojoka, który potrafił obniżyć poziom agresji swojego pana?

— Co powiecie zatem o żołnierzach, czekających tylko na sygnał do ataku o dwadzieścia kilometrów na południe od wioski? — zapytał tymczasem Qasamanin. — Czy im także mojoki nie pozwolą walczyć? — Przerwał i wycelował palec w McKinleya. — Mieszkańcy wioski się was boją, bo są przesądni. Czy sądzicie, że moi żołnierze również? Kiedy udowodnimy, że możemy zwyciężyć w walce z wami, a stanie się to za kilka godzin, wówczas strach, który wyczuwają i który paraliżuje mojoki, zniknie. Jeśli przylecicie tu następnym razem, cała planeta zjednoczy się przeciwko wam.

— Sądzisz, że mojoki będą chciały ocalić wam życie? — zapytał go McKinley. Moff szyderczo się uśmiechnął.

— Jasne, że będą chciały... i zrobią to, odrywając wam ciało od kości podczas walki. Uważam tę rozmowę za skończoną.

Winward i McKinley spojrzeli na siebie, a psycholog nieznacznie kiwnął głową.

— No dobrze, jeżeli sam tego chcesz — odezwał się Winward. — W ciągu tych kilku godzin, jakie nam dajesz, będziemy bardzo zajęci, a jeśli szczęście nam dopisze, może nie będziemy musieli tu wracać.

— Nie obchodzi mnie, czy wrócicie, czy nie — odezwał się cicho Moff... a Justin, słysząc ton, jakim to powiedział, odniósł wrażenie, że stoi nad świeżo wykopanym grobem. — Kiedyś i nam uda się odkryć na nowo tajemnicę lotów międzygwiazdnych — ciągnął Moff-a wówczas to m y przylecimy do was.

Winward zacisnął wargi i spojrzął Justinowi w oczy.

— Oddaj mu jego mojoka i odprowadź do wyjścia — powiedział. — Dopóki nie będziemy gotowi do odlotu, może przebywać razem z mieszkańcami wioski.

Justin wskazał drzwi. Nie mówiąc ani słowa, Moff odwrócił się, przeszedł obok niego i na korytarzu zaczekał, aż Kobra przyniesie mu ptaka, wciąż owiniętego krępującą siecią.

— Rozplącz ją ostrożnie, a wówczas mojkowi się nic nie stanie — powiedział Qasamaninowi, wręczając mu unieruchomionego ptaka.

Moff tylko raz kiwnął głową i ruszył do drzwi. Justin patrzył w ślad za nim, jak wyszedł na ulicę i skierował się ku tej części osady, w której przebywali mieszkańcy. Kiedy zniknął, Kobra powrócił do pokoju.

— Udał się w stronę placu — zameldował Winwardowi. Starszy Kobra tylko kiwnął głową. Było jasne, że jego uwagę zajmują inne sprawy.

— ...w porządku. Jeżeli jesteście gotowi, to my także — powiedział do zawieszzonego na szyi mikrofonu. — Nakaże pani patrolowi pierwszemu, żeby opuścił swój posterunek przy drodze? To dobrze... Justin jest tutaj ze mną, więc mogę wziąć go pod swoje rozkazy. Spodziewane przybycie?... Rozumiem, za piętnaście i za dwadzieścia. Powodzenia.

— No i? — zapytał go McKinley.

— "Dewdrop" już jest w drodze — poinformował go zwięźle Winward. — Osiądzie na centralnym placu mniej więcej za piętnaście minut.

— "Dewdrop"? — unosząc brwi, zdziwił się Justin. — Dlaczego ma lądować?

— Ponieważ "Menssana" nie może dotrzeć tu tak szybko, a gdyby leciała do nas, mogłaby zostać zaatakowana — wyjaśnił Winward, a później zwrócił się do McKinleya. — Wszystkie czujniki z opaskami zostały już zdjęte?

— I przygotowane do zabrania, z resztą sprzętu — odparł tamten, sięgając po niewielkie pudełko stojące na blacie niskiego stołu. — To jest już naprawdę ostatnie.

— W porządku. Niech twoi ludzie pójdą teraz na plac — polecił Winward, a potem lekko uderzył w obudowę mikrofonu. — Dorjay? Zgadzam się... W porządku, za piętnaście minut. Każ mieszkańcom wynosić się z placu i przygotuj perymetr, żeby statek mógł bezpiecznie wylądować. Przede wszystkim zwracaj uwagę na Moffa... w przeciwieństwie do innych chyba nie darzy nas szacunkiem, a w pobliżu może być ukryta jakaś broń, po którą zechce sięgnąć... Dobrze.

Akcja dywersyjna za niecałe dwadzieścia minut... Musicie być już wtedy gotowi... W porządku. Rozłączam się. Opuścił rękę i popatrzył na Justina.

— Ruszamy — powiedział. — Ty i ja będziemy stanowili część grupy, zadaniem której będzie ochrona pozostałych przed atakiem helikopterów, więc musimy się ukryć blisko muru, zanim zorientują się, co się dzieje.

— A co później? — zapytał go cicho Justin. — Na pokładzie "Dewdrop" w żaden sposób wszyscy się nie zmieścimy.

Winward uśmiechnął się niewyraźnie.

— Właśnie po to wojsko wymyśliło straż tylną, chłopcze. Wiesz, żeby ochraniać odwrót oddziałów. Nie myśl teraz o tym; chodźmy raczej znaleźć jakieś dobre stanowiska ogniowe przy murze.

— W porządku, zarządzam odwrót — mruknął Pyre do mikrofonu. — Starajcie się nie hałasować i zanim znajdziecie się na drodze, upewnijcie się, że Qasamanie was nie widzą.

Usłyszawszy w słuchawkach potakujące mruknięcia, ponownie zwrócił uwagę na znajdujący się zaledwie o dwadzieścia metrów przed nim oddział qasamańskich żołnierzy. Zgodził się pozostawać w zasięgu ich wzroku jako ktoś w rodzaju zakładnika przez czas, jaki Moff miał przebywać w wiosce... co znaczyło, że jeśli tamten nie wróci w odpowiednim momencie, Pyre będzie musiał brać nogi za pas, zanim żołnierze zdecydują się go zastrzelić. Nastawiwszy wzmacniacze słuchu na większą czułość, usiłował usłyszeć ich podniecone głosy świadczące o tym, że dostrzegli podchodzącą do lądowania "Dewdrop".

Głosy, których się spodziewał, rozbrzmiały już w dwie minuty później od strony najbliższego transportera, a Pyre puścił się biegiem przez las, nim ktokolwiek pomyślał, żeby do niego strzelić. Nie musiał się kryć, postarał się wiec dobiec jak najszybciej do drogi, której twarda nawierzchnia pozwalała wykorzystać lepiej siłę serwowatorów. Za plecami usłyszał głośny wybuch i domyślił się, że to Qasamanie wysadzili w powietrze drugie drzewo blokujące oddziałowi drogę. Kiedy znalazł się blisko trzeciego, ostatniego podciętego wcześniej drzewa, zwolnił i oddał strzał słysząc, jak z trzaskiem łamanych gałęzi wali się w poprzek drogi. Stwierdził, że w ten sposób znacznie opóźnił dotarcie żołnierzy w poblizę wioski. Biegł najszybciej jak mógł, patrząc jednocześnie w niebo, by wypatrzeć na nim nie tylko lądującą "Dewdrop", ale i samoloty, które z całą pewnością zechcą skierować przeciwko niej Qasamanie.

Wyglądało na to, że pojawiły się prawie równocześnie. Na tle błękitnego nieba zobaczył daleko przed sobą błyszczący kadłub opadającego niewielkiego statku, a nad głową usłyszał warkot silników trzech małych helikopterów kierujących się błyskawicznie na południe. Kiedy patrzył, jak po chwili maszyny znikają mu z oczu, kryjąc się za koronami odległych drzew, poczuł nagle w gardle jakąś kluchę. Jak spodziewał się York, helikoptery były zmodyfikowanymi śmigłowcami cywilnymi... ale krótka potyczka Kobry z jednym z nich wykazała, że powinno się traktować je bardzo poważnie.

Nie zwalniał biegu. Usłyszał, jak warkot silników maszyn zmienił ton, kiedy znalazły się nad wioską. Po chwili wiatr przyniósł stłumione odgłosy strzałów, a

w chwilę później głośny huk podobny do tego, z jakim tamten helikopter roztrzaskał się o ziemię. Zastanawiał się, kto tym razem spróbował tej samej sztuczki i czy Kobra, który jej dokonał, nie zginął. Mrugnawszy kilka razy, aby pozbyć się łez, przymrużył oczy, chcąc ochronić je przed pędem powietrza, i biegł dalej.

I nagle wszystko się skończyło. Nad drzewami ukazał się słup gęstego, czarnego dymu, z którego po sekundzie wystrzeliła niby pocisk "Dewdrop". W pogoń za nią puściły się dwa helikoptery, ale ich wyrzutnie nie zostały zaprojektowane z myślą o strzelaniu w górę, a napęd grawitacyjny statku wystarczył mu aż nadto, by uciec. Po chwili i helikoptery, i statek zamieniły się w trzy błyszczące punkty na tle błękitnego nieba... a później widoczne były już tylko dwie ciemne plamki.

"Dewdrop" odleciała, zabrawszy na pokład grupę psychologów, ale pozostawiwszy na Qasamie ochraniające naukowców Kobry.

O kilkanaście kroków przed sobą Pyre ujrzał, że zza pnia rosnącego z boku drogi drzewa wychyliła się nagle jakaś postać, machnęła kilka razy, przyzywając go do siebie, a później ponownie ukryła się na skraju lasu. Pyre zwolnił i skręcił między drzewa.

— Wszystko w porządku? — zapytał go Kobra pilnujący drogi.

Pyre kiwnął głową.

— Zostali co najmniej o dziesięć minut za mną — powiedział. — Wiadomo już coś o naszych towarzyszach?

Drugi Kobra szeroko się uśmiechnął.

— Jasne. Tylko posłuchaj.

Pyre zwiększył czułość wzmacniaczy słuchu i wychwycił dobiegający z odali stłumiony grzmot, któremu towarzyszyło dobrze znane sapanie.

— W samą porę — powiedział. — Wszyscy gotowi?

— Gotowi, przynajmniej po mojej stronie. Mam nadzieję, że ochronie naukowców udało się opuścić niepostrzeżenie wioskę, kiedy mieszkańcy zostali oślepieni przez zasłonę dymną.

— I byli pewni, że w tym czasie Kobry przedostają się na pokład, a nie kryją się między domami w wiosce — dodał Pyre, kiwnawszy głową. — Byłoby o wiele lepiej, gdyby Qasamanie sądzili, że wszystkim Kobrom udało się odlecieć statkiem.

Grzmot tymczasem przybliżał się coraz szybciej...

I nagle zza zakrętu drogi, którą przybiegł Pyre, wyłoniło się stado pędzących bololinów. Pyre stwierdził, że było to wielkie stado, bo jego koniec ginął za zakrętem w tumanach wznoszonego kurzu. Musiało liczyć co najmniej tysiąc sztuk... a czterdziestu biegnących po obu jego stronach Kobr, osłoniętych przed wzrokiem Qasaman przez kurz i nie różniących się dla czujników podczerwieni od tła ciepłych boków zwierząt prawie nie było widać.

Czoło stada właśnie ich minęło. Pyre i drugi Kobra poderwali się do biegu. Zbliżyli się do stada na odległość czterech metrów. Pyre popatrzył przed siebie, a potem obejrzał się do tyłu i stwierdził, że dołączają do nich pozostałe Kobry patrolu pierwszego. Liczył na to, że o ile wszystko poszło dobrze, Kobry strzegące psychologów uczyniły to samo po drugiej stronie stada.

Zrozumiał, że przez następnych kilka godzin mogą się czuć względnie bezpiecznie. Później zaś...

"Menssana", zapewne wciąż nie dostrzeżona przez władze planety, znajdowała się o trzysta kilometrów od nich, niemal dokładnie na szlaku, którym pędziły bololiny. Gdyby w ciągu następnych sześciu godzin nikt jej nie zauważył, Kobry mogłyby się dostać na pokład, a wówczas statek by wystartował i znalazł się na orbicie, zanim jakiś samolot poderwie się do lotu, by ją przechwycić.

Przynajmniej takie mieli plany. Wsłuchawszy się w rytm, jaki wybijały jego buty, Pyre pozwolił serwowatorom nóg na przejęcie praktycznie całego ciężaru ciała. Pomyślał, że byłby bardzo szczęśliwy, gdyby mimo wszystko nie udało się uniknąć ostatecznego starcia.

Okazało się, że jego nadzieje się spełniły.



## ROZDZIAŁ 15

Kiedy McKinley wygłaszał swój referat, wszyscy słuchali go w skupieniu i w zupełnej ciszy, a gdy skończył mówić, Stiggur głośno westchnął.

— Nie ma szansy, żebyś się gdzieś pomylił, prawda? — zapytał.

McKinley pokręcił głową.

— A przynajmniej w niczym istotnym. Przeprowadziliśmy tak dużo testów, że udało się nam uzyskać wyniki wiarygodne w sensie statystycznym.

Siedzący naprzeciwko niego Jonny zacisnął wargi, czując w ustach gorzkosłodki smak pyrrusowego zwycięstwa. Okazało się, że miał rację, a wszystkie ważniejsze aspekty jego "zwariowanej" teorii na temat mojoków zostały potwierdzone.

Ceną tego sukcesu miała być jednak wojna.

Widział to po twarzach siedzących wokół stołu ludzi. Pozostali gubernatorzy wyglądali na przerażonych — znacznie bardziej niż wtedy, gdy wróciła pierwsza ekspedycja. I chociaż niektórzy zapewne nie wiedzieli, jak uporać się ze swoim strachem, Jonny znał naturę ludzką na tyle dobrze, żeby wiedzieć, co większość zebranych postanowi w końcu wybrać. Do wyboru pozostały: walka albo ucieczka... a Światy Kobr nie miały dokąd uciec.

— Wciąż nie rozumiem, w jaki sposób mojokom udaje się to osiągnąć — zabrał głos Fairleigh. — Z raportu wynika, że ich mózg jest zbyt mały, żeby można było uznać je za stworzenia inteligentne, prawda?

— Żeby móc robić coś takiego, nie muszą być inteligentne — powiedział McKinley. — Tym, który analizuje sytuację, jest symbiont mojoka: krisjaw albo człowiek. Mojok tylko wyczuwa wynik takiej analizy i nakłania symbionta do takiego postępowania, które jest dla ptaka najkorzystniejsze.

— Zdolność wydawania sądów jest oznaką inteligencji — upierał się przy swoim Fairleigh.

— Niekoniecznie — odezwała się Telek, kręcąc głową. — Umiejętność logicznego ekstrapolowania może być tylko instynktowna. Spotykałam się już u innych zwierząt z instynktami, których skutki na pierwszy rzut oka świadczyły o

większej inteligencji, niż była konieczna. Z pewnością zwróciliście uwagę na fakt, że straszek z Tacty potrafił dokonać podobnej sztuki, mając tylko niewiele większą pojemność czaszki.

— W przypadku mojoka powinno to być nawet jeszcze łatwiejsze — dodał McKinley. — Bardzo możliwe, że Qasamanie opracowali własny zestaw możliwych reakcji włącznie z tymi, w jaki sposób każda z nich, przynajmniej do pewnego stopnia, wpływa na mojoki. Wybór jednej reakcji z tego zbioru nie wymaga od ptaka większej inteligencji niż ta, jaka potrzebna jest do przeżycia każdemu dzikiemu zwierzęciu.

— Czy bierzecie pod uwagę możliwość popełnienia pomyłki podczas interpretacji danych? — zapytał Stiggur. — Musimy być absolutnie pewni, że wiemy, o co chodzi.

— Nie sędzę, byśmy się mogli mylić — odparł McKinley, kręcąc głową. — Nie udało się nam uzyskać od Moffa tylu informacji, ile spodziewał się Winward, ale i tak to, co powiedział, dosyć dobrze potwierdza nasze wnioski.

— Nie wspominając już o incydencie z krisjawami — mruknął Roi. — Ich zachowanie nie da się wyjaśnić w żaden logiczny sposób, jeżeli mojoki nie sprawują nad nimi chociaż ograniczonej władzy.

W pokoju zapadła cisza. Stiggur popatrzył po twarzach wszystkich osób, a potem kiwnął głową w stronę McKinleya.

— Dziękujemy, panie doktorze, że zechciał pan poświęcić nam tyle czasu. Skontaktujemy się z panem, jeżeli będziemy mieli jeszcze jakieś pytania. Czy będzie pan mógł wygłosić swój referat jutro w obecności wszystkich członków rady?

McKinley kiwnął głową.

— O drugiej, zgadza się?

— Tak. A zatem do zobaczenia.

McKinley wyszedł, a Stiggur zwrócił się znów do zebranych.

— Czy ktoś chciałby zabrać głos, zanim przegłosujemy naszą opinię dla całej rady?

— Jak mogło dojść do czegoś takiego? — zapytał Yartanson, a z tonu jego głosu emanowało rozdrażnienie. — Symbionci nie zmieniają partnerów, kiedy przyjdzie im na to ochota.

— Dlaczego nie? — Roi wzruszył ramionami. — Jestem pewien, że Lizabet słyszała o dziesiątkach takich sytuacji.

— Może nie aż o tylu, ale o kilku owszem — odrzekła Telek. — Jeżeli chodzi o mojoki, wystarczy tylko przyjrzeć się zachowaniu krisjawów, żeby zrozumieć, dlaczego ludzie są dla nich tacy atrakcyjni jako partnerzy. Chodzi o to, że mojoki muszą mieć dobrego myśliwego, który polowałby dla nich na bololiny. Drapieżność krisjawów czyni z nich dobrych myśliwych, ale powracający mojak zapewne nigdy nie wie, czy nie zostanie rozszarpany, zanim ponownie nie przejmie władzy. Oglądaliście film z tamtego ataku... w pewnej chwili ptaki podrywały się do lotu, a w następnej krisjawy zaczynały zachowywać się jak szalone.

— Czy sądzisz, że mojoki mogą oddziaływać na ludzi z większej odległości? — zapytał Hemner.

— Na to wygląda, chociaż to może być przypadkowe — rzekła Telek. — Najważniejsze, że Qasamanie są dla mojaków lepszymi i bezpieczniejszymi myśliwymi. Co więcej, ludzie rzadko przegrywają w takiej walce, a przynajmniej nigdy nie giną, co oszczędza mojakom kłopotów związanych ze znalezieniem i przyzwyczajeniem się do kogoś innego.

— Okres przyzwyczajania się może być szczególnie trudny, jeżeli mojak będzie chciał oswoić krisjawa zamiast człowieka — dodał Yartanson. — Tak, to wszystko ma sens. Waszym zdaniem Qasamanie zrobili ze swojej planety raj dla mojaków.

— Wcale tak nie sędzę — zachnęła się Telek. — Możliwe, że tak było na początku, ale teraz mojoki znalazły się w sytuacji bez wyjścia. — Przebiegła palcami po klawiszach i po chwili na ekranie ukazało się lotnicze zdjęcie Urodzajnego Półksiężycyca. — Spójrzcie na to — pokazała końcówką wskaźnika widoczne na nim jaśniejsze plamy. — Tutaj, tutaj i tutaj. Qasamanie budują następne miasta swojego łańcucha.

— No i? — zmarszczywszy brwi, zapytał Yartanson.

— Nie rozumiecie? Miasta to nie najlepsze miejsca dla drapieżnych ptaków. Mojoki muszą albo latać daleko do lasu, żeby upolować pożywienie, albo zadowalać się karmą, jaką dostaną od swoich panów. Liczba Qasaman jednak ciągle rośnie, a ich zmyślny podziemny system łączności dalekosiężnej wymaga, żeby pozostawali w ściśle określonym rejonie planety. To znaczy w miastach.

— Zawsze myślałem, że miasta zbudowano wyłącznie z myślą o mojakach — burknął Roi. — Ten pogląd stanowił główny argument przemawiający za wysłaniem następnej wyprawy, pamiętacie?

— Z myślą o rozmnażaniu mojaków — poprawiła go Telek, kiwnąwszy głową. — Ale nie z myślą o zdobywaniu przez nie pożywienia. Chyba ani razu nie

widzieliśmy, jak te ptaki polują, ale przypuszczam, że żywią się małymi ptakami albo dużymi owadami. Bez względu zaś na to, co robią bololiny i tarbiny, małe ptaki nie przylatują do miast dużymi stadami. Uważam, że zabudowa miejsca jest wynikiem kompromisu, i gdybym była na miejscu mojoka, z całą pewnością czułabym się oszukana.

— Dlaczego więc nie zmieniać sobie panów? — zapytał Yartanson. — Kiedyś już to zrobili... dlaczego nie zrobią tego po raz drugi?

— A na kogo mają zmienić? — odparła Telek. — Qasamanie praktycznie od pierwszych chwil po lądowaniu zabijają każdego krisjawa, który wychyli łeb z trawy. Do tej pory musieli wybić wszystkie żyjące w obrębie Urodzajnego Półksiężycy, a mimo to nadal raz w miesiącu odrywają mieszkańców od zajęć i organizują polowania. To szaleństwo.

— Może nie — odezwał się Jonny. — Powiedzieliście, że przywódcy Qasaman wiedzą o tym, co się dzieje. Czy istnieje lepsza metoda, żeby zapewnić sobie lojalność osobistych strażników, niż sprawiając, że mojoki nie będą miały gdzie się podziąć?

Telek wzruszyła ramionami.

— To możliwe — powiedziała. — Są na tyle podstępni, że mogliby wymyślić coś takiego.

— To z kolei by oznaczało — ciągnął Jonny — że dobrze rozumieją, jak bardzo obecność mojoków łagodzi obyczaje mieszkańców ich świata. Jeżeli przywiązują do tego tak dużą wagę, być może zamiast dyskutować o wojnie, powinniśmy pomyśleć o pozbyciu się tych ptaków.

— W jaki sposób? — parsknęła Telek. — Wszystkie zabić?

— Dlaczego nie? Na światach Dominium już nieraz likwidowano całe gatunki. Uzyskanie specjalnej trucizny działającej wyłącznie na jeden rodzaj zwierząt nie powinno chyba stanowić problemu.

— Tylko w teorii. W praktyce trzeba byłoby mieć więcej danych na temat poziomu hormonów w okresie godowym, a ja sądzę, że takiej informacji o mojkach nie mamy.

— Mamy za to trochę czasu — upierał się Jonny. — Zdaniem naszych techników upłynie co najmniej piętnaście lat, zanim Qasamanie odkryją tajniki napędu gwiazdowego.

— To na nic — mruknął Roi. — Miasta, Jonny. Bardzo trudno jest zabić jakiegokolwiek zwierzęta, które wolą dobre warunki rozmnażania się od dobrych warunków żywienia.

— Zwłaszcza że mają po swojej stronie Qasaman — rzekła Telek. — Pamiętajcie, że bez względu na wpływ, jaki miały mojoki na architekturę miast, to ludzie je zbudowali. Możliwe, że wcale nie potrzebowali w tym celu zachęty ze strony ptaków. Qasamanie wiedzą, że taka architektura zapewni ciągły dopływ mojoków dla wciąż nowych ludzi, a równocześnie uzależni ptaki od warunków życia w takim stopniu, żeby nie chciało się im wracać do krisjawów.

— A poza tym w przeciwieństwie do ptaszarni, ten sposób wyda się mojom bardziej naturalny — odezwał się Roi. — Ptaki będą sądziły, że nic im nie grozi, a w tym czasie Qasamanie zabijają każdego krisjawa w promieniu tysiąca kilometrów.

Stiggur zaczął cicho wybijać jakiś rytm palcami po blacie stołu.

— I na tym polega ostateczna, największa konia losu — powiedział. — Marionetki konspirują, żeby nie dopuścić do odejścia lalkarzy.

— Ironia losu? — odezwał się Hemner, kręcąc głową. — Nie. Największą ironią losu jest końcowe ostrzeżenie Moffa... i fakt, że przy swojej kulturowej paranoi Qasamanie mogli najprawdopodobniej bez końca kulić się ze strachu na swojej małej planetce, nie wychylając z niej nosa w obawie, że spotka ich coś, co im się nie spodoba. Gdyby nie wylądowali u nich Troftowie i nie namówili nas, byśmy zrobili to samo, mogli nigdy nie stać się dla nas nawet najmniejszym zagrożeniem. Zastanówcie się nad tym, kiedy będzie kusiło was żeby pogratulować sobie, że dobrze się spisaliście.

Wokół stołu zapadła długa, przygnębiająco długa cisza. Jonny poruszył się niespokojnie na krześle, czując, jak do pulsującego bólu w stawach przyłącza się rozgoryczenie. Wiedział, że Hemner ma rację, co więcej, miał ją od samego początku, a teraz zagrożenie, o którym tyle mówili i którego się tak bali, miało stać się ponurą rzeczywistością.

Było jednak za późno, by to zmienić.

Kiedy Stiggur w końcu przerwał tę ciszę, Jonny był pewien, że padną właśnie takie słowa.

— Czy ktoś chciałby sformułować wniosek, który przedstawimy jutro całej radzie?

Yartanson popatrzył po zebranych i zacisnął usta, a potem kiwnął głową.

— Ja chcę — powiedział i głęboko westchnął. — Zalecamy radzie przyjęcie propozycji domeny Baliu. Zgodzić się na zasiedlenie pięciu światów w zamian za usunięcie zagrożenia, jakie stanowią Qasamanie.

Stiggur kiwnął głową.

— Ktoś jest innego zdania?

Jonny przesunął językiem po wargach... ale oczyma wyobraźni ujrzał miliony mojków i Qasaman zasiedlających Chatę, Kubę i Tactę... a potem wyruszających stamtąd na podbój Światów Kobr. "A wówczas to my przylecimy do was" — powiedział kiedyś Moff. Jonny był pewien, że mówił poważnie... i sprzeciw, który już miał zgłosić, zamarł mu na ustach.

Pozostali musieli myśleć zapewne o tym samym, bo nikt się nie odezwał.

Trzy minuty później wniosek Yartansona uznano za oficjalne stanowisko.

Justin już nie pamiętał, kiedy po raz ostatni był w swoim mieszkaniu w Capitalii. Stojąc przy oknie salonu i patrząc na światła miasta, próbował sobie przypomnieć, kiedy od chwili podjęcia decyzji o zostaniu Kobrą pojawił się tu ostatnio... przed czterema miesiącami? Pięcioma?

Wkrótce jednak przestał o tym myśleć, bo uznał, że to nie takie ważne. Westchnąwszy, podszedł do biurka i usiadł. Popatrzył na leżące na nim czyste kartki papieru i magnetyczne dyski, które położył tam przed godziną, lecz w ciągu tego czasu nawet ich nie ruszył, i pomyślał, że jeszcze przez jakiś czas będą musiały tak leżeć. Tego wieczoru nie widział nic oprócz twarzy pogrzebanych wcześniej tego ranka trzech młodych ludzi — Kobr, którzy własnym życiem okupili odlot "Dewdrop" z Qasamy. W panującym wówczas zamieszaniu nawet nie miał pojęcia, że ktoś zginął, a dowiedział się o tym dopiero po przylocie, kiedy ujrzał ciała wynoszone ze statku przez kolegów.

Dzisiejszy wieczór nie był więc odpowiednią chwilą na rozpoczęcie przygotowań do wojny.

Usłyszał świergot dzwonka u drzwi i pomyślał, że to zapewne gubernator Telek chce wiedzieć, jak idzie mu praca.

— Proszę! — zawołał.

Drzwi otworzyły się z cichym trzaskiem.

— Witaj, Justin — odezwał się Jonny. Justin poczuł, jak coś ściska go za serce.

— Cześć, tato. Co robisz tutaj o tak późnej porze?

— I to podczas deszczu? — dodał Jonny, lekko się uśmiechając. Strząsnął z płaszcza kilka ostatnich kropel, a potem wszedł i zniknął drzwi za sobą. — Chciałem, żebyś wpadł do nas dzisiaj wieczorem, a twój telefon był wyłączony. Odwiedziny wydały mi się więc jedynym rozsądnym wyjściem.

Justin spuścił wzrok i wpatrzył się w blat biurka.

— Przepraszam, tato, ale miałem właśnie zacząć pracować... nad czymś.

— Planem wojny? — zapytał cicho Jonny. Justin skrzywił się.

— Powiedziała ci gubernator Telek?

— Nie użyła tych słów, ale nietrudno zgadnąć. Udowodniłeś przecież, że jesteś świetnym, uzdolnionym taktykiem, a ona musi jutro rano przedstawić jakiś projekt całej radzie.

— Uzdolnionym taktykiem — powtórzył z goryczą Justin. — Dobre sobie. Zapominasz o tym, że Decker i Winward musieli wymyślić na poczekaniu inne zakończenie, żeby w ogóle nas stamtąd wydostać. A nawet wówczas kosztowało to życie trzech ludzi.

Jonny przez chwilę milczał.

— Większość planów wojskowych jest na tym czy innym etapie zmieniana — odezwał się w końcu. — Bardzo chciałbym móc jakoś cię pocieszyć, ale przychodzi mi do głowy tylko to, że oddali życie, żeby ocalić pozostałych. Czuję jednak, że te słowa dla mnie też nie stanowią żadnej pociechy.

— A więc poświęcili życie dla dobra wyprawy, a następny tysiąc poświęci swoje dla dobra naszych światów. Czy na tym to ma polegać? — Justin pokręcił głową. — W którym miejscu powinno się powiedzieć: "Dosyć"?

— W którym tylko zechcesz — odparł Jonny. — Im szybciej, tym lepiej. Właśnie dlatego chciałem, żebyś wpadł do nas dzisiaj wieczorem.

— Spotkanie rodzinnego okrągłego stołu?

— Zgadłeś. Mamy czas do jutrzejszego zebrania rady, żeby wymyślić jakąś alternatywę wobec wojny.

— Na przykład blokadę planety albo coś w tym rodzaju? — Justin westchnął. — To na nic, tato. Zastanawiałem się już nad tym. Qasama jest zbyt duża, żeby można było ją tak łatwo otoczyć. — Popatrzył na swoje dłonie... silne, niosące śmierć dłonie Kobry. — Po prostu nie ma żadnego innego wyjścia.

— Naprawdę tak uważasz? — zapytał Jonny, a Justin, wyczuwszy niezwykłą energię w głosie ojca, aż uniósł głowę. — Wszyscy tak mówią przez cały czas od

chwili, kiedy Troftowie po raz pierwszy zwrócili się do nas z tą propozycją. I jeśli mam być szczery, różni ludzie mówili mi to samo przez całe życie. — Starając się poruszać ostrożnie, Jonny wstał i podszedł do okna. — Mówili, że Troftów trzeba usunąć z Adirondack i Silvern siłą — ciągnął. — Nie wiem, może mieli rację. Potem twierdzili, że my, Kobry, musimy pozostać w wojsku, gdyż w Dominium nigdy nie przystosujemy się do cywilnego życia. Zamiast tego przybyliśmy na Awentinę i pomogliśmy założyć cywilizację ludzi, którzy mogą i chcą tu z nami współżyć. Później chcieli zmusić nas do ponownej walki z Troftami, gdyż w przeciwnym razie Awentina może zostać zniszczona... a nam, kosztem trochę większego nakładu pracy, udało się wykazać, że i to twierdzenie nie było prawdziwe. Nigdy nie zgadzaj się ze zdaniem, że coś musi być zrobione, Justin, dopóki sam nie przekonasz się, że nie ma innego wyjścia. — Dwa razy zakasłał, a kiedy odwrócił się znów w stronę syna, widać było, jak bardzo jest zmęczony. — Właśnie z tego powodu chciałem cię prosić, żebyś pomógł mi to dzisiaj zrobić.

— A co z mamą? Justin głośno westchnął.

— A co ma być? Ona też wolałaby nie dopuścić do wybuchu wojny.

— Wiesz, o co mi chodzi.

Justin starał się to powiedzieć, ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło.

— Chodzi ci o to, że zgłosiłeś się na ochotnika na tę drugą wyprawę, nie pytając o zdanie reszty rodziny? — Jonny podszedł do swojego krzesła i ciężko na nie opadł. — Muszę przyznać, że bardzo to przeżyła. Wszyscy to przeżyliśmy, chociaż ja chyba rozumiem, dlaczego to zrobiłeś. Kobiety jednak od niepamiętnych czasów martwiły się o swoje dzieci, widząc, że każde idzie w swoją stronę. — Westchnął. — Jeżeli sprawi ci to ulgę, wiedz, że jej troska o ciebie nie wynika wyłącznie z tego, co ty zrobiłeś. Ona jest... no cóż, myślę, że trochę ją prześladowają gorzkie wspomnienia drogi, którą sam obrałem, kiedy przestałem służyć ludziom jako Kobra.

— Masz na myśli politykę? Wiem, że mama nie pochwała zajmowania się polityką, ale...

— Ująłeś to stanowczo zbyt łagodnie. — Jonny pokręcił głową. — Ona nienawidzi polityki. Nienawidzi myśli, ile czasu zajęła nam polityka przez te wszystkie lata. Nienawidzi tego, co jej zdaniem daje rozpaczliwie mały efekt w stosunku do poświęconego czasu.

— Byłeś przecież ludziom potrzebny. Mama sama powiedziała mi kiedyś, że to dzięki tobie Kobry stały się częścią naszego systemu politycznego.



— Może wówczas byłem potrzebny, ale później już nie. A kiedy ty postanowiłaś pójść w moje ślady... no cóż, myślę, że dopiero wtedy zaczęła mieć tego dosyć.

— Nie sądzę, żeby musiała się o to martwić, przynajmniej, jeżeli chodzi o mnie — odezwał się stanowczo Justin. — Zgadzam się, żeby całą aventińską politykę wziął na swoje barki Corwin... ja mogę choćby dzisiaj wrócić do polowań na kolczaste lamparty.

Jonny lekko się uśmiechnął.

— To dobrze — powiedział. — Dlaczego w takim razie nie pojedziesz ze mną i sam jej o tym nie powiesz?

— A po drodze wymyślimy jakiś sposób na to, żeby nie dopuścić do wojny?

— Jeżeli już o tym mowa, dlaczego nie?

Justin pokręcił głową z udawaną rozpaczą, a potem wstał od biurka.

— Tato, zajmowałaś się polityką stanowczo za długo — oświadczył.

— Już ktoś mi to mówił — odparł Jonny. — Chodźmy, to może być bardzo długi wieczór.

Dobytający się z kapsuły kopiującej cichy pisk oznajmił, że proces przepisywania danych z magnetycznego dysku został zakończony. Starając się stłumić ziewnięcie, Telek zwróciła się znów w stronę telefonu i widocznej na ekranie twarzy Jonny'ego.

— No dobrze, skończyłam — oznajmiła. — Teraz powiedz mi, dlaczego zdecydowałaś się mnie obudzić o... hmm...

— Za dwadzieścia piąta — podpowiedział jej Jonny.

— ...za dwadzieścia piąta rano, żeby namówić mnie do zapoznania się z treścią dysku, który równie dobrze mogłeś przysłać mi do biura cztery godziny później.

— Proszę bardzo. Chciałem, żebyś poświęciła te cztery godziny na stwierdzenie, czy naprawdę udało się nam znaleźć sposób rozwiązania naszego problemu bez uciekania się do wojny.

Oczy Telek się rozszerzyły. Spojrzała uważnie na twarz Jonny'ego.

— Masz inną sensowną propozycję?

— Właśnie czekam, żebyś ty mi powiedziała. No i rada, jeżeli uznasz, że mam rację.

Telek przesunęła językiem po wargach.

— Jonny...

— Jeśli mam, będziemy mieli te nowe światy — dodał cicho. — Corwin i ja wymyśliliśmy już, jak przekonać domenę Baliu, że w ten sposób wywiązujemy się z zawartej z nimi umowy.

— Rozumiem. Dziękuję, Jonny. Już zabieram się do pracy.

Szansę powodzenia Propozycji Moreau, jak później zaczęto ten plan nazywać, oceniono na osiemdziesiąt procent, to znaczy o kilka procent niżej, niż szansę wygrania właściwie prowadzonej wojny... Ale koszty jej realizacji miały być znacznie niższe, a straty, jeżeli chodzi o życie ludzkie, zerowe. Po dwóch tygodniach rozważań i publicznych dyskusji propozycja została zaakceptowana.

A w dwa tygodnie później "Menssana" i "Dewdrop" w towarzystwie dwóch wojskowych transportowców Troftów wystartowały jeszcze raz, kierując się ku Qasamie.

## ROZDZIAŁ 16

Noc na Qasamie.

Jak poprzednio, wylądowali w zupełnej ciszy, otoczeni słabą poświatą, jaka promieniowała z ich grawitorów, ale tym razem w sile trzech statków, a nie tylko jednego. Oba transportowce Troftów osiadły na skraju dwóch, oddalonych od siebie obszarów porośniętych dziewiczą puszcza znajdujących się w pobliżu Urodzajnego Półksiężycy, a "Menssana" wylądowała niemal dokładnie na jednym z jego krańców. Dla przebywającego na pokładzie Yorcka miejsce to miało specjalne znaczenie, gdyż było położone zaledwie dziesięć kilometrów od skrzyżowania drogi łączącej Huriseem i Sollas. Naprawdę właściwe miejsce — pomyślał — żeby odpłacić Qasamanom za utraconą rękę.

Z zainstalowanego na mostku głośnika dobiegł ich cichy szum transmisji zmiennoczęstotliwościowego sygnału.

— "Dewdrop" do "Menssany" — odezwał się w następnej chwili głośnik. — Pospieszcie się. Dostrzegliśmy kilka paskudnie wyglądających samolotów poddźwiękowych. Kierują się w waszą stronę. Dotrą do was mniej więcej za piętnaście minut.

— Przyjąłem — powiedział spokojnie kapitan Shepherd. — Czy Troftowie także zwrócili na siebie uwagę?

— Jeszcze nie, ale widzimy startujące samoloty. Zmierzają w tamtym kierunku, jak gdyby ich szukały. Niewątpliwie Qasamanie ogłosili już powszechny alarm.

— Udoskonalili swoje radary — mruknął York.

— Już wychodzą — odezwał się ktoś stojący na wachcie na lewym skrzydle mostka.

York podszedł do niego i wyrztał przez iluminator. Poświata grawitorów zamieniła się teraz w lekkie jarzenie, ale mimo to było na tyle jasno, żeby widzieć wyłaniające się z luku towarowego ciemne kształty.

Setki opuszczających ładownie kolczastych lampartów.

Większość zwierząt po wyjściu na nieznaną ziemię zatrzymywała się na chwilę przy kadłubie statku, rozglądając się na boki albo tylko starając się zachować równowagę po długim okresie uśpienia, w jakim odbyły całą podróż. Żadne jednak nie pozostało w pobliżu statku bardzo długo. Skacząc długimi susami, jeden po drugim lamparty kryły się w mrokach lasu. Spoglądając na nie, York niemal wyczuwał gorliwość, z jaką postanowiły zapoznać się z nowym, nie znanym im otoczeniem. Chociaż życie w leśnych ostępach nie było im obce, musiały w jakiś sposób wiedzieć, że oto znalazły się na planecie, na której nie było żadnych zagrażających im drapieżników. York był bardzo ciekaw, ile kociąt urodzą samice w pierwszym miocie. Piętnaście? Może nawet dwadzieścia? A zresztą, to nie takie ważne. Na planecie istniała nisza ekologiczna, a kolczaste lamparty zrobią wszystko, co będą mogły, żeby zadomowić się w niej jak najlepiej.

A jeżeli szczęście dopisze, już wkrótce mojoki się zorientują, że znów mogą wybierać sobie panów. York miał cichą nadzieję, że Telek nie pomyliła się co do niechęci, jaką ptaki darzą miejscowe miasta.

— Koniec wyładunku — zameldował ktoś przez interkom. — Służby zamknięte i uszczelnione, panie kapitanie.

— Przygotować się do startu — rzekł Shepherd. — Wracamy do domu.

W chwilę później statek bezgłośnie oderwał się od powierzchni planety i poleciał ku gwiazdom. Patrzący wciąż przez bulaj York starał się dojrzeć chociaż jedno z ziaren niezgody, które właśnie skończył zasiewać na niczego nie podejrzewającej planecie. "Bądźcie płodne i mnożcie się" — przyszedł mu na myśl słowa pradawnego błogosławieństwa, które skierował ku lampartom w dole. — "Niech będzie was na planecie coraz więcej. I czynicie ją sobie poddaną".

## ROZDZIAŁ 17

— Wynika stąd — odezwał się Joshua — że domena Baliu nie była zachwycona sposobem, w jaki postanowiliśmy rozwiązać problem Qasamy.

Corwin wzruszył ramionami, przez sekundę wpatrując się w czekający na kosmodromie statek, a potem zwrócił się w stronę stojących obok niego braci. "Menssana" była gotowa do przyjęcia na pokład nowych pasażerów, a on nie chciał przegapić chwili, w której ich zobaczy.

— Nie byli pewni, czy się uda, jeżeli ci o to chodzi — powiedział w końcu. — Musieliśmy pokazywać im całe stosy dysków, żeby wykazać, jak niechętnie w normalnych warunkach współpracują ludzie i jak bardzo postęp w dziedzinie lotów do gwiazd może zostać zahamowany czy nawet powstrzymany, kiedy moi-ki poszukają sobie innych panów.

— Jeżeli w ogóle to zrobią — mruknął Justin, przez cały czas wyglądając przez okno.

— Masz rację — stwierdził Corwin. — Prawdę mówiąc, Troftowie o wiele bardziej od nas wierzą, że tak się stanie, byli tylko pewni, do czego to doprowadzi. Mam wrażenie, że ich metody stawiania prognoz w dziedzinie biologii są bardziej zaawansowane od naszych.

— Jak wszystko inne — zgodził się z nim Joshua, nieco krzywo się uśmiechając. — Hej, patrzcie! To przecież Almo z cicią Gwen!

— Tu jesteście! — odezwała się Gwen, kiedy przecisnęła się przez tłum i podeszła do nich. — Myślałam, że będziecie obserwowali z tej galerii w drugim końcu korytarza.

— Stąd o wiele lepiej widać pasażerów — wyjaśnił jej Corwin. — Już zacząłem się bać, że nie zdążycie.

Pyre pokręcił głową.

— Właśnie się z nimi pożegnaliśmy. Innym już dawno kazano odejść, ale dla nas zrobiono wyjątek. Nigdy nie przestanie mnie dziwić, co to znaczy być bohaterem.

Pozostali zachichotali. Corwin zauważył, że wszyscy oprócz Justina, który tylko leciutko się uśmiechnął. Niemniej i u niego dostrzegał pewien postęp. Rany po przeżytych niepowodzeniach — prawdziwych czy urojonych — były nadal widoczne, ale chociaż już nie krwawiły. Z uwagi na samopoczucie Justina, Corwin bardzo chciał, żeby Propozycja Moreau okazała się sukcesem.

— Jonny mówił, że udało ci się namówić Troftów do pożyczania nam kilku swoich wojskowych transportowców w celu ewakuacji osadników z Caeliany — mówił tymczasem Pyre. — W jaki sposób zdołałeś tego dokonać?

Corwin wzruszył ramionami.

— To wcale nie było takie trudne. Powiedziałem im, że jeśli Qasamanie mimo naszych starań nauczą się latać do gwiazd, będą stanowili zagrożenie i dla Baliusan, i dla nas. W ich najlepiej pojętym interesie leży zatem nie tylko pozwolenie nam na zasiedlenie nowych światów, ale także udzielenie niewielkiej pomocy. Zwłaszcza wówczas, kiedy dzięki nam nie muszą pokrywać kosztów prawie pewnej wojny.

— Idą — odezwał się nagle Justin.

Wszyscy odwrócili się i spojrzeli przez okno. Grupa pasażerów udających się na Kubhę — a raczej na Esqulinę, jak ją teraz oficjalnie nazywano — przemierzała właśnie niewielką odległość dzielącą stary budynek przylotów od czekającego statku. Niemal na samym czele Corwin zobaczył idących rodziców. Chrys podtrzymywała trochę Jonny'ego, obejmując go w pasie, ale oboje kroczyli bardzo pewnie. Udawali się na nową planetę...

Stojąca nieco z tyłu Gwen westchnęła.

— Wiecie, oni muszą być chyba szaleni — powiedziała, nie zwracając się właściwie do nikogo. — Emigrować z jego artretyzmem... i to na nie znany, dziewiczy świat...

— Nie całkiem nie znany — przypomniał jej Pyre. — A poza tym cieplejszy klimat planety poprawi stan jego zdrowia w większym stopniu niż cokolwiek innego w cywilizowanych okręgach Aventyny.

— I nie będzie musiał zajmować się polityką — mruknął Justin.

Corwin popatrzył na niego, zastanawiając się, co mógł wiedzieć jego brat na temat tak zawsze drażliwej dla rodziców sprawy. Twarz Justina jednak tego nie zdradzała. Właściwie to nieważne — pomyślał Corwin, z trudem powstrzymując się od wzruszenia ramionami. Liczy się tylko to, że rodzice będą mogli spędzić swoje ostatnie dwa lub trzy lata razem, z daleka od najgorszych wspomnień z Aventyny. I z daleka od samej Aventyny — dokładnie na takim samym nie tknię-

tym przez cywilizację świecie, na jakim kiedyś się w sobie zakochali. To była ich jedyna szansa, by mogli zaznać w życiu jeszcze trochę szczęścia. Corwin miał nadzieję, że z niej skorzystają.

Całą piątką patrzyli, jak Chrys z Jonnym wchodzi na pokład "Menssany". Później Joshua cicho westchnął i wspął się na palce, żeby spojrzeć w drugi koniec korytarza.

— Myślę, że z tamtej galerii mielibyśmy o wiele lepszy widok na start statku — powiedział, wskazując kierunek pozostałym. — Pójdziecie tam ze mną?

— Jasne — rzekła Gwen. — Chodź, Almo.

— Widziałem już tyle startów, że wystarczy mi i w tym życiu, i w następnym — mruknął Pyre.

Nie sprzeciwiał się jednak, kiedy Gwen ujęła go pod ramię i poprowadziła ku galerii.

Justin, wpatrzony w okno, pozostał, kiedy tamci troje odeszli, a stojący za nim Corwin przez czas potrzebny na kilka uderzeń serca rozmyślał, czy jego brat wie, że on też tu stoi. Później Justin otrząsnął się z zadumy i popatrzył za oddalającymi się bliskimi mu osobami.

— Sądziysz, że i oni będą kiedyś razem? — zapytał.

— Kto? Almo i ciocia Gwen? — Corwin wzruszył ramionami. — Nie wiem. To zależy od tego, czy Almo będzie chciał zrezygnować ze swoich obowiązków jako Kobry na tak długo, żeby zaakceptować obecność kogoś innego w swoim życiu. Wiesz nie gorzej ode mnie, jak poważnie traktuje swoją pracę.

— Tak — powiedział w zamyśleniu Justin, a później przez długą chwilę nic nie mówił. — Zdajesz sobie chyba sprawę, że jeśli się nie uda... Tata z pewnością już umrze, nim Qasamanie odkryją nasze nowe światy, ale mama prawdopodobnie będzie żyła.

Corwin zrozumiał, o co mu chodziło.

— Nie wiem, Justin. Jeżeli mojoki ich opuszczą, nie pozostanie nic, co mogłoby zjednoczyć Qasaman w czymkolwiek, czy to w dążeniu do wojny, czy w czymś innym. Zwłaszcza że Qasamanie zapewne przestaną się rozwijać, dopóki nie przyzwyczają się do nowej sytuacji. A jeżeli podzielą się na mniejsze grupy albo państwa, nie wiadomo, czy wówczas będą chcieli z nami walczyć, czy handlować.

Justin pokręcił głową.

— Zapominasz, do czego są zdolni. Ja ich widziałem, Corwin, i wiem, że dopóki nie zgaśnie ich słońce, dopóty będą chowali do nas urazę w sercach. Ta nie-

nawiść i żądza zemsty będą jednoczyły ich zawsze, bez względu na to, pod jakimi innymi względami będą chcieli ze sobą współzawodniczyć.

— To możliwe — kiwnąwszy głową, stwierdził Corwin. — Ale tylko wtedy, jeżeli będą cierpieli na taką samą paranoję, jak teraz.

— A dlaczego miałyby się zmniejszyć...? — zaczął Justin, ale przerwał, kiedy przyszła mu do głowy pewna myśl. Na jego twarzy odbiło się głębokie niedowierzanie. — Myślisz, że i to może być sprawka mojoków?

— A dlaczego nie? Wiemy przecież, że kiedy chcą, potrafią wzmacniać lub tłumić ludzkie emocje.

— Ale co na tym zyskują, jeżeli zmuszą swoich myśliwych do podskakiwania na widok każdego cienia?

— No cóż... — zaczął Corwin, a wargi drgnęły mu w lekkim uśmiechu. — Gdzie wolałbyś żyć, gdybyś był przekonany, że cały wszechświat chce ci wyrządzić krzywdę? W mieście na pozbawionej drzew równinie czy w wiosce otoczonej gęstym lasem?

Justin otworzył usta, zamrugął... i głośno się roześmiał.

— Nie wierzę w to — powiedział.

— No cóż, możliwe, że się mylę. — Corwin wzruszył ramionami. — Ale możliwe też, że za sto lat Qasamanie staną się wzorową społecznością, z którą będzie można handlować czy nawiązywać normalne stosunki dyplomatyczne.

— Miejmy nadzieję, że tak będzie — odrzekł Justin i ponownie odwrócił się w stronę okna. — Szkoda tylko, że rodzice opuszczają nasze stare gniazdo.

Corwin położył dłoń na ramieniu brata.

— Będziemy za nimi tęsknili — rzekł cicho. — Ale cóż... są na tyle dorośli, że mogą sami decydować o swoim losie. Nie martw się i chodź teraz do innych. Rodzinę wymyślono po to, żeby razem można było przeżywać trudne chwile.

Odwrócili się obaj i ruszyli długim korytarzem w stronę galerii.